

I

Najtrudniej jest mu napisać pierwsze zdanie. Pan Korbas pisze list do telekomunikacji z pytaniem czy możliwe jest zainstalowanie telewizji kablowej na terenie ogródków działkowych. Bo ma tu jeden stary telewizor, jeszcze czarno-biały, ale działający, a już go oczy bolą od krzyżówek i głupich jolek. Jest wczesne sobotnie popołudnie. Pełnia początkującego lata, ptasie pohukiwania i ćwierki, obowiązkowo tępe słońce. Cisza poprzytykana świstem przejeżdżających za parkanem aut. Ale ich nie widać, więc jest tak jakby ich nie było. Pan Korbas jest na wakacjach. 150 metrów kwadratowych wybiegu, ogródek owocowo-warzywno-kwietny, ścieżka wysypana chrzęszczącym żwirem, domek letniskowy z werandą.

To na niej siedzi teraz pan Korbas i stara się napisać list. Coś mu tu ciągle przeszkadza. Stół na werandzie jest plastikowy, lekki. Wiatr nim chybocze, zwłaszcza, że podłoga z drewnianych desek jest nierówna, a jedna z nóg stołu właśnie utknęła w szczelinie między dwiema sękatymi belkami. Pan Henryk poprawia nogę. Bo pan Korbas ma na imię Henryk. Stawia nogę od stołu na desce. Ale dalej. Odsuwa więc szklanki, program telewizyjny, którego treść stała się inspiracją do podjęcia powyższego wysiłku. Wiatr targa kapeluszem ogrodowego parasola, niedomykające się drzwi wejściowe potrzaskują w zawiasach. Pan Henryk drze i tak nieprzydatny program, podkłada zwitek papieru pod drzwi, robi się ciszej. Siada z powrotem do stołu, dopija zimną herbatę, zachłystuje się fusami, które uleciały z dziurawej torebki, żeby go zaskoczyć i podduścić. List nie jest treściwy. Na razie w prawym rogu pan Henryk napisał datę. Która rychło może się przedawnić. W

1

takim hałasie nawet krzyżówki nie dałoby się rozwiązać. Pan Henryk pręży umysł, poci się i kapituluje. Bo do tego potrzebna jest tężyzna umysłowa. I cisza.auta jednak jeżdżą za ogrodzeniem, brzęczą owady, siadają na ramionach i gryzą, kradną pokarm; te wakacje mieszczą się w środku miasta i wszystkie próby kamuflowania tego skazane są na głośną klęskę, nie pozwalającą zebrać myśli. Szanowni państwo. Parasol kręci młynki nad głową, kubki po jogurcie się przewracają. Piszę do Państwa w sprawie montażu telewizji. Butelki po fancie terkoczą na wetkniętych w ziemię kijkach. To są strachy na wróble. Chociaż wróble już wyginęły zadziobane przez kruki i wrony, a dokończone przez gołębie. Ale coś trzeba było zrobić z tymi butelkami. No więc nikt się ich nie boi i nie można się przez nie skupić. Zdjąłby je, ale nie da im triumfować. Ptakom. Zaraz ma tu być Halina i na pewno będzie krzyczeć, więc pan Henryk dopisuje tylko, że kablowej, podnosi się z leżaka i zaczyna sprzątać. Zbiera ze stołu kubki po jogurcie i szklankę. Wyciąga z niej torebkę po herbacie, wyciska to. Między palcami przecieka mu herbaciany miąższ, ale i tak odkłada torebkę na słońce do przeschnięcia. Odkręca węża, płucze kubek i odkłada go na szczyt plastikowej piramidy podobnych. Pani Korbas się zdenerwuje, ale trudno. Kubki mogą się przecież przydać. Nieraz potem sama je brała i nalewała kotom mleko. Więc on je musiał potem jeszcze raz myć i znowu odkładać i czekać aż kot skończy pić, bo by Halina niechybnie wycpnęła kubek do śmieci. Nie żeby nie mógł go wyjąć, ale to już przed sąsiadami głupio, bo kosz wspólny no i przecież bez przesady, kim on jest, żeby po śmietnikach grzebać? To samo jest jak gazet nie wyrzuca. Ona się dziwi, a przecież już od dawna planują zamontować na działce kozę - taki piecyk - żeby móc grzać i zimą też przyjeżdżać. Potem będzie narzekała, że nie ma czym palić. A akurat spalić to można wszystko, ale to już z tyłu, w narzędziowni pan Henryk ma to

wszystko. Bo jakby zobaczyła, to by puściła z dymem, ale całą działkę. Temperamentna jest. Ta jego żona.

Porozmyślał z zadowoleniem, powspominał. Albo pudła. Dobrze palą się pudełka wszystkie kartonowe, po herbatach, kaszkach, ryżach. Ulotki specjalnie zabiera od tych, co rozdają na ulicy, bo chce dać im zarobić, w końcu to straszna praca, a z ulotki można zrobić wszystko, dlatego bierze kilka. A z jego słoików to co rusz Halina korzysta. Najpierw wywala, a co jemu uda się odzyskać, to potem ona zabiera i w tym a to ogórki kisi, czasem dżem usmaży. Lodzka to raz nawet na długopisy sobie wzięła, ale to chyba akurat była puszka. Poprosi Lodzie, żeby napisała mu to pismo. Skończyła szkołę, mało jej, uczy się dalej, jak chce oglądać telewizję, to niech też się trochę wysili. Może zacznie częściej przyjeżdżać. Może w ogóle zacznie przyjeżdżać. To nie dla niego, to pisanie, nie w ten upał.

Pan Korbas wybiera numer telefonu córki, wysłuchuje poczty głosowej o treści „cześć tu Lodzia, możesz powiedzieć mi coś miłego jeśli chcesz” i jak zawsze zgorzony próbą kontaktu z córką, odkłada komórkę pod ceratę na wypadek deszczu. Pewnie siedzi w szkole. Pan Korbas odkręca kurek, rozwija ogrodowy wąż i celuje ostrym strumieniem wody w ledwie ślaniające się gladiole. Fiołki pod tą demonstracją mocy gną się wpół. Po całkowitym zrównaniu ich z ziemią, pan Henryk znudzonym gestem kieruje wodę w stronę trawnika. Chcę mieć takie natryski jak sąsiedzi, myśli przy tym. Same się włączają, automatycznie. W dzień. I w nocy. Ale gdzie się Halina zgodzi na natrysk. Natryska mi tylko jadę w twarz. Pan Korbas uśmiecha się do swojego żartu, zakręca kurek i przechodzi na tył działki. Tam to ma. Narzędziownia. Jest właściwie magazynem, do którego wstępu bronią żonie dwie kłódki i dodatkowy skobelek. Tu jest prawie wszystko. A obok chciałby mieć jeszcze więcej - szklarnię. Prawdziwą ze szkła, a nie foliową.

pomidory i sałatę, trochę ziół. W kącie stałyby gumiaki, łopatka i nawozy. Zimą może by nawet dało radę jeść świeże warzywa, jakby podciągnąć tu energię z domu, zabezpieczyć, uszczelnić, mógłby tu sobie przychodzić porozmyślać, pokopać, poprzესadzać, nie tylko w marzeniach.

Pan Korbas westchnął, wizja szklarni spłynęła mu sprzed oczu jak ostanie krople z wiotczącego stopniowo w rękach, gumowego węża. Poczuł gęsią skórkę pod koszulą. Było spokojnie i dziwnie cicho. Jakby próżniowo. W oddali coś się zakotłowało, przez ciało pana Henryka przepłynął dreszcz. Nadeszła fala szumu, niespokojne korony drzew poplątały swe gałązki w węzły. Pan Henryk spojrział w niebo. Zerwał się smagający wiatr, porwało woreczki foliowe, uszykowane by zaraz schować je do szuflady. Gladiole poległy. Ich czarne sylwetki odcięły się poziomo pod słońce. Butelki nabite na kijki zatańczyły dziko. Furtka z nieprzyjemnym szczęknięciem uderzała miarowo o ogrodzenie, ni to się otwierając ni to zamykając. Nieszczęście wisiało w powietrzu.

„Cześć tu Lodzia, możesz powiedzieć mi coś miłego jeśli chcesz”. Ile razy dziennie można o to prosić? Sonia wrzuca telefon do torby: zła, że kiedy raz udało jej się wstać na czas do szkoły, to nikomu innemu łącznie z wykładowcą, wstawanie się nie powiodło.

Sonia Sień, 25 lat, 169 centymetrów wzrostu, włosy w kolorze rozcieńczonej coca coli, blada z wyboru, nieródka. Oczy ma po ojcu, tłuste i niebieskie, nabiegłe krwią. Ladaco, choć nie wygląda.

Ósma rano. Na dworze czerwcowe światło rozgrzewa się na całodzienne, czerwone hajcowanie. Razi w oczy. Sonia siedzi pod salą i czeka aż coś się wydarzy; na zajęcia, albo na większą zwawość swojego ośrodka decyzyjnego, żeby zrobić cokolwiek, iść do domu, zjeść kanapkę, czekać dalej. Wybór ostatniej opcji dokonał się niejako automatycznie, więc siedzi akrobatycznie przyczajona, nogi pozwijane, ręce za tyłkiem, czuje się i wygląda jak gotycka świątynia, sklepienie żebrowe jej klatki piersiowej pulsuje rytmicznie, wsporniki ramion są naprężone, kręgosłup wygięty w ostry łuk. Pod kopułą czaszki odbywają się procesy myślowe, mające na celu uporanie się z nudą i czasem, który z każdą minutą jest coraz bardziej spóźniony. Sonia przypomina sobie dzisiejsze okazy ludzi z tramwaju, których dołącza zaraz do swojej kolekcji.

Dziewczyna z tramwaju numer 1 jest w ciąży. Ma tlenione blond włosy, bardzo żółty blond z bardzo ciemnymi odrostami, lekko przetłuszczona grzywka w kolorze żółtka. Ładna, bez makijażu, niebieskie oczy, ciekawy nos. Ręce silne, dużo wijących się żył, opalone. Dół ciała drobniejszy, zmięte, brudne dżinsy i czarne adidas. Podkoszulek biały, też pomięty. W ręce siatka foliowa, w niej majonez i jeszcze coś więcej, nie widać, bo nadruk. Miejsce ustąpiła jej pani numer 2 w brzydkich laczkach patrząca mocno na wszystkich. Numer 1 jest silnym okazem, poradzi sobie ze wszystkim, nawet z dzieckiem. Numer 2 nie poradzi sobie z niczym.

Sonia nie może otworzyć oczu przez słońce i przez rozmarzenie, powlekając mgiełką jej wzrok. Naprzeciw sal wykładowych, wzdłuż całej długości korytarza ciągną się metrami okna. Te brudne szyby, w które uderza światło żeby się odurzyć i dalej przyświecać już otępiałe i mgliście, są powalane i zamulone odciskami palców i włosów, wyskrobanymi hasłami i smugami nieznanego pochodzenia, odkrywającymi swą tajemnicę dopiero w pełnym słońcu i jeśli się na nie w ogóle patrzy. Oprócz tego odgradzają Sonię od wysokich tonacji wyjącego dość ponuro wiatru. Obrazek za szybą jest przez to leniwie melancholijny, przytłumiony i nieco zafałszowany.

Sonia usiadłaby na parapecie, ale jest zakaz i w tym celu naznoszono doniczek z kwiatami. Wydaje jej się, że siedzi na złym korytarzu, trudno. Bezskutecznie usiłuje kupić sobie kawopodobny napój z automatu. Nie udaje jej się, więc lekko kopie w maszynę i siada z powrotem pod parapetem.

Za oknem mrówczo kręcą się ludzie w niebieskich kombinezonach. Tłumione przez brudną szybę dochodzą Sonię ich pogwizdywania i nawoływania. Całość zalewa głuchy szum wiatru. Sonia przykleja nos do szyby. Jak robaczki, robotnicy dźwigają na plecach kawałki bliżej

nieokreślonych gruzowych konstrukcji, uginając się pod ich ciężarem w jedną stronę, by zaraz pod naporem wiatru odgiąć się w drugą. Wszystko co metalowe zrzucają na tył wielkiego tira. Co robią z resztą - tego Sonia nie widzi, bo to się dzieje za kulisami szkolnego podwórka. Trudno w tej krzątaninie dojrzeć jakiś porządek albo cel. Wygląda to na duży chaos i pożogę. Gruzy, kurz i zawierucha, rzucają ludźmi, wszyscy wpadają na wszystkich, kamyki i żwir lecą im w oczy. Wydaje się, że napięcie i atmosfera kolizyjna zwyczajnie, ale brak walk oraz usta złożone w ciup charakterystyczny dla wesołego pogwizdywania świadczą o czymś innym.

Sonia spisuje krótką notatkę z tego zjawiska po czym zauważa, że dłużej nie wytrzyma z nudów. Nikt ze znajomych nie podjął podobnych do niej działań, nikt nie przyszedł dziś do szkoły, co umożliwiłoby im wspólne i radosne spędzanie czasu. Zeskakuje więc z parapetu i idzie piętro wyżej na inny korytarz, do innej sali, w której może się coś dziać. Ale nic. Sonia próbuje pierwsze drzwi po prawej. Zamknięte. To samo kolejne i kolejne. Leci na górę.

Wykładu nie było na żadnym z korytarzy. Nie dało się tylko sprawdzić trzeciego piętra, bo zaczęto zdejmować dach. Fotorealistyczny fresk zajął miejsce znajomego szkolnego sklepienia, ukazując Soni pełnię grozy nieboskłonu, gorącą kulę o parnym oddechu. To tutaj też, na trzecim piętrze mieściła się siedziba generalna niebieskich kombinezonów, to stąd wynosili, na plecach, na taczkach, schodząc po dostawionych żelaznych stopniach lub zrzucając przez okno wprost na szkolne podwórze, większe odłamki szkolnych murów. Przez ogromną dziurę w ścianie, która wcześniej była oknem, wypadał na zewnątrz wielki rurociąg, szyb skonstruowany z powielonego modułu lejka o sporej średnicy, którym mniejsze fragmenty i okruchy gruzu zsypywane były wprost do wielkiego blaszanego kontenera. To na pewno ma jakąś nazwę, ale Sonia nie wie jaką.

Pył unosił się aż do trzeciego piętra zatykając gardło i osiadając kurzem na zębach i językach, utrudniając porozumienie, zapychając samogłoski i wysuszając śluzówki, powodując bolesne tarcie przy wypowiedzianych słowach. Ból zresztą bezsensowny, bo słowa nie miały szans by przedrzeć się przez łoskot i echo nieprzerwanego strumienia gruzu, zwielokrotnianego przez każdy segment plastikowego szybu.

Zawiadowca był tym bardziej nieosiągalny, że wyposażony w słuchawki odcinające go na głucho od dźwięków kuriozalnych zdarzeń. Jego ekipa zgodnie nie wchodziła w interakcje z Sonią, która była teraz intruzem na terenie szkoły. Nikogo już w niej nie było oprócz niebieskich mrówek i smutnego jednak widma rozpadu państwowej instytucji. Automaty na coca colę były puste, choć jeszcze przyjmowały monety albo wydawały resztę z niczego.

Wszystkie sale były zamknięte na klucz albo pootwierane na oścież i w różnym stopniu splądrowane. Brakowało ławek, krzeseł i większości wyposażenia. W sali od bioniki, zwykle zawalonej pod sufit wykresami i planami, szablonami makiet i makietami szablonów, panował chaos innego niż naturalne pochodzenia. Jego skutki rozpoczęły oblężenie szkolnego korytarza przy pomocy armii konstrukcji ciężkich i trudnych do sforsowania wzrokiem z powodu niejasnej budowy i pokaźnych gabarytów, wspomagane przez formy lekkie i eteryczne, kompozycje z kalki, mające iluzję optyczną i kruchością szkieletowej konstrukcji. Gdyby nie rozprężenie tego zwyczajowego, bionicznego nieładu w niespotykaną dotąd w tej sali konfuzje i bezład, Sonia zauważyłaby pewnie, że architektonicznych makiet i projektów jest w zasadzie mniej niż zwykle. Nie wiedziałaby jednak, że to co sprytniejsi studenci w ramach zabezpieczenia swej przyszłości, coraz bardziej wyginającej się w czasie i przestrzeni w wielki znak zapytania, zebrali swoje

nadpsute zniszczeniem portfolio i pewnie już w tej chwili anonsowali całemu światu swoją gotowość wszelkiego rodzaju partycypacji we wszelkiego rodzaju przedsięwzięciach w oparciu o swoje albo cudze, lecz na szczęście odratowane ze szkolnej sali dokonania. Ta sala zresztą i tak nie interesowała Soni, bo ona bionikę zaliczyła już w zeszłym roku, ale nie pamiętała już po co przyszła do szkoły i które to zajęcia powinny już trwać od przeszło trzydziestu minut. Przebudowa szkoły może. Albo ekspansja terytorialna gmachu uczelni na sąsiednie kamienice.

Sonia wyciąga kanapkę, która ma na po zajęciach, odwija sreberko, podchodzi jeszcze do okna. Mrówki odjeżdżają ciężarówką przez bramę wjazdową automatycznie zaciętą, za to zawsze otwartą. Zlizuje masło z dolnej wargi. Dobre, solone. Przez okna dalej nic nie słysząc oprócz szumu, ale rozpogadza się, kryzys jakby minął, nadeszło pogodzenie się i uspokojenie. Robotnik stojący zaraz pod oknem, ściąga żółty kask, przeciera spocone i liche owłosienie, wyciąga papierosa i zapala. Jak oni trzymają te fajki, że im nie powypadają? Między kciukiem i środkowym. Inni też popalają, podpijają z termosów, ale żaden nie rozstaje się z łopata albo łomem. Za oknem panuje niebieska stagnacja, ale nie dałoby się tego udokumentować, ani przedłożyć gdziekolwiek, bo każdy swoje narzędzia trzyma jakby w pół ruchu. To jeszcze ciekawszy gest niż ten papierosowy.

Sonia połyka ostatni kęs i z żalem wtyka srebrną, aluminiową kulkę między zimne żebra kaloryfera. Zachęcona brakiem świadków też zapala papierosa. Zaciąga się nieznacznie, porannie. Zajmuje jej się włos ze zwichrzonej grzywki. Iskra pnie się jak po loncie pozostawiając z włosa szczątek zwęglony i kruchy, o wyglądzie pajęczej nogi. Śmierdzi. I zajmuje się kolejny. i cały warkoczyk. tak. parzy twarzoczaszka. ale brzydki kolor. ale. wszystkiego. mogłoby tak być.

To wszystko jest zbyt dziwne dla niej i przytłaczające, chce już iść do domu. Po drodze mija porozstawiane w dziwacznych miejscach mopy, porzucone w pół ruchu ścierki i miotły, kapitulujące wobec nagromadzenia anomalii i kuriozów tej świeżej, szkolnej anarchii. Popycha nogą drzwi zawsze zamkniętej auli. Otwarte. No, no. Dziwna niesubordynacja szkolnego personelu. Ktoś naznosił tam całą roślinność doniczkową uczelni, nie licząc kwiatków z parapetów, oczywista. Okna są wyciemnione, elektryczne kaloryfery, pocące się szkielety, hajcują pełną parą, atmosfera jest tropikalna. Sonia przedziera się przez bujne zarośla, uprzednio stacjonujące pod dziekanatami, włosy zaplątują się jej w mięsiste liście filodendronu, pokryte poranną rosą, co musi oznaczać niedawną, gęstą i intensywną bytność dużej ilości osób w auli. Przedziera się do okna, maże palcem po zaparowanej szybie „oddychaj” żeby nie zapomnieć, że trzeba. Napis ścieka smugami skroplonej pary wodnej.

Spod okna rozciąga się widok na odleglejsze rejony niezdobytej dotąd auli. Jej horyzont ginie w mroku raz po raz rozświetlanym przez mrugające, choinkowe lampki, ich girlandy dowcipnie porozpinane wokół portretów nieżyjącego już ciała pedagogicznego. Pośrodku sali, gęsto ścieśnione stoły i ławki, porzrzucone dookoła krzesła, obrus na stole, brudny i pomięty, poznaczony śladami butów i abstrakcyjnymi plamami barwnych alkoholi. Wzorki i szlaczki, misternie wypalone przez dziesiątki papierosów, tworzą na stole rysunek, coś na kształt mapy i planu, demistyfikującego imprezę, która jest jego autorką. Się bawiono. Pożegnalny raut. Nic nie zostawili, zagrychy ani popity. Chociaż, chociaż. Spod powalanej krwistą pomadką chusteczki, wyłania się talerzyk z dwoma kawałkami lekko przysuszonego ciasta drożdżowego. Usta Soni zalewa ślina. Uwaga jednak! Ciasto domowej roboty! Niby jak z cukierni to też robione rękoma. Ale jak domowej to jednak jakoś

gorzej. Jakaś żonka pewnie, z przeterminowaną obrączką ugniatała składniki, weszły jej pod nią kawałki jajka, zebrały wszystkie bakterie i wirusy i wróciły do reszty ciasta, wtopiły się w smaczne atomy i być może kryją się teraz w tym przedostatnim albo ostatnim kawałku. Nie, dziękuję. Sonia wbija paznokcie w miękką tkankę ostatniej na stole mandarynki. Sok strzyka jej w twarz, cieknie strużkami za rękaw swetra. Mandarynka jest dobra. Słodka i pełna soku. Jej miąższ jest napięty, a nie wysuszony i gumowy, czego Sonia się w mandarynkach obawia. Bo szkoda wyrzucić, ale zjeść taką to też problem. Oblizuje palce i wyciera je w sweter. Dobra, idziemy dalej.

Tajemnice zaczynają się mnożyć. Bo dalej zaczyna się las tropikalny, rośliny praktycznie biorą aulę w posiadanie, powietrze jest ciężkie i wilgotne, kaloryfery szaleją, jest się w dżungli. Można z łatwością zaobserwować nową biocenozę i ekosystem auli, mikroklimat palmiarni o zapachu kurzu. Można się tam było zgubić i tak też robi - nie wie jak to się stało, ale wychodzi z tego buszu przez toalety. Brakuje chyba kawałka korytarza i innych fragmentów szkoły, utworzył się przez to skrót. By nie ryzykować niczego, Sonia kieruje się raczej w stronę wyjścia, nasycona już dziwnością zdarzeń, ale jeszcze trochę ciekawska, jeszcze głodna. Główne schody są gęsto szczerbate, więc zamiast schodzić, zjeżdża po poręczy jak po spiralnej zjeżdżalni, która na pewno nie byłaby dopuszczona do użytku przez instytut naturalnego planowania rodziny. ała. Skrzydło grafiki wybebeszone, tylko prasy i inne maszyny stoją. Bo ciężkie. Obok, na malarstwie podobne spustoszenie. Na środku zdezelowana martwa natura z brakującymi, kluczowymi elementami kompozycji typu czajnik, butelka po winie. Ślady szybkiej ewakuacji, trop prowadzi do kantorka, którego demontaż, przeprowadzony został chaotycznie, pod dowództwem niczym. Kradzież, wandalizm. Ramy obdarte z płócien, ze strzępkami materiału, nędznie zwisającymi kawałkami dawnych,

jeszcze nędzniejszych obrazów. W gardło gryzie wciąż intensywny zapach terpentyny i farb olejnych. Sonia uwielbia ten zapach. Zaciąga się pożądliwie. Na pewno głębiej niż zaciąga się papierosami.

Portiernia o dziwo czynna. Świeci się, telewizor gra, dziad siedzi.

- przepraszam, co się dzieje? nie ma zajęć ani pięt, to jest jakiś remont?

- ja t'wdaje tlko klcze.

Dziad wyjada resztki kanapki z otłuszczonego papieru, owiniętego w woreczek. Sonia patrzy ze zrozumieniem. Trochę okruszków mu upada na blat portierni. Zbiera je ramieniem i na podłogę. Ale kilka mu jeszcze zostaje na przedramieniu flanelowej koszuli w czarno-czerwonej kratę. Jest spokojny.

- ale właśnie wszystkie sale są pootwierane a nikogo nie ma w całym budynku.

- tż wszstkie klcze zbrne.

Facet popija łyk z białego, ale czarnego od herbacianego osadu kubka. Sonia zauważa, że wielowarstwowość osadu tworzy ładny rysunek na aluminiowej ścianie. Głęboka sepia u dołu rozrzedza się stopniowo, a przy krawędzi poprzez beże kończy się w bieli obtłuczonej emalii. Nie chce jeszcze odchodzić. Wciąż czuje nienasycenie. Podoba jej się w takiej szkole. Nie czuje niepokoju i najwyżej to ją niepokoi. Czuje podekscytowanie i płynące z tego zdenerwowanie. Wszystko zalane ciepłutkimi endorfinami odczuwanymi w dole brzucha. Facet nie chce jej nic powiedzieć, a może nie umie, jest jeszcze bardziej odklejony od biegu wydarzeń niż ona. Nikt nie odbiera od niej telefonów. Rzadko ma taką palącą potrzebę nawiązania kontaktu ze światem jak teraz, a właśnie teraz świat nie odpowiada. Może z zasady nie odpowiada, ale ona o tym nie może wiedzieć, bo nigdy się do niego nie odzywała.

Wychodzi z budynku zaskoczona, ale nie znowu aż tak bardzo. Nim

znajdzie się na ulicy, emocje opadną, puls uspokoi się. Takie rzeczy się pewnie zdarzają.

Siada na pustym przystanku, który w pełnym słońcu eksponuje swoje wstydlive zakamarki oblane moczem i posypane popiołem z setek papierosów. Nie ma nawet skrawka cienia, żeby można się było schronić przed własnym potem. Sonia zamyka oczy, a kiedy je otwiera obraz jest bledszy, niebieskawy i wyblakły od słońca jak prześwietlona klisza. Zsuwa tenisówki ze spoconych stóp i wyciąga nogi prawie na drugą stronę ulicy. Czuje łaskotanie w zagięciu pod kolanem, to jakiś robal, strzepuje go odruchowo, w panice. Osa. Nie zdążyła w nic użądlić, albo nie trafiła. Może wstrzyknęła swój jadowity ładunek w obojętne powietrze zbite w gorącą bryłę, w której już i tak trudno się poruszać, a teraz jeszcze komuś trafi się dryfująca w atmosferze, zabójcza plama.

Sonia wzięła z powrotem tenisówki, prędko, bo oszołomiona osa leżała na razie na grzbiecie wierzgając w furii, ale rychło stanie na nogi i rozpocznie kontratak, szturm na boscie nogi i pewnie tym razem celny. Tylko, że osa przewróciła się już na nóżki, ale dalej stała w miejscu. Sonia pochyliła się nad swoją ofiarą, która puściła trochę soczku, a może były to jej maleńkie flaczki bez których pewnie nie będzie w stanie polecieć dalej, ani w ogóle ruszyć się z miejsca, schować pod ławkę, żeby nikt jej nie rozdeptał. Jednym czułkiem badała mokrą plamę pod sobą, wykręcając go nienaturalnie. Może był złamany. Podnosiła dupkę miarowo i bardzo gwałtownie, podrzucała odwłok w konwulsjach, a może były to kompulsje.

Soni robi się przykro, bo to był wypadek. Nie chciała zrobić osie krzywdy. Jest jasne, że nigdy już nie zrobi kroku. Można by ją dobić, bo Sonia nie jest pewna czy osy przypadkiem nie czują bólu tak samo jak ludzie, a może nawet gorzej. Nie, niech lepiej ktoś inny ją rozdepnie przypadkiem.

Chociaż dzisiaj nie ma zbyt wielu ludzi na ulicach, jest pusto, może jest niedziela, może dlatego nikogo nie ma w szkole. A co jeśli ktoś na nią nadejście, ale jej nie rozdepnie, a za to rozwlecze jej ciało po płytce chodnikowej, rozniesie jej żółto-czarne paski, które wciąż będą się same podrzucać, co będzie wyglądało głupio i strasznie, ale czego i tak nikt nie zauważy?

Na horyzoncie majaczy drgająca w upale, przysadzista sylwetka tramwaju. Niech ktoś inny to załatwi. Osa bada czułkami teren. Tramwaj skrzypi boleśnie. Ściana gorąca spotęgowana ciepłem maszyny uderza Sonię w twarz. Drzwi otwierają się z chrzęstem. Osa podrzuca tyłkiem. Sonia rozgniała ją tenisówką, przyduszając do chodnika z całą siłą, na jaką pozwalają jej mięśnie tydek, trochę jakby rozdeptywała niedopałek, ale bardziej. Chrząst pękającego odwłoka. Plusk wylatującej zawartości. Siada teraz przy oknie i jeszcze zerka na przystanek, na ciemną kropeczkę osiego truchelka. Jest jej smutno, ale nic innego nie dało się zrobić.

Renata sika do wanny podczas kąpieli. Tak lubi. Ma już 32 lata, ale nie chce powstrzymywać tej drobnej przyjemności. Oprócz moczu leje do wanny duże ilości płynu do kąpieli oraz obficie korzysta z żelu do mycia ciała z passiflorą. Na wypadek gdyby do łazienki wszedł Roman. Zapach detergentów dominuje nad zapachem ciepłej uryny. Bez nich, spotęgowany przez ciepłą wodę w wannie, kłębamii przemieszczałby się po całej łazience w postaci szczynowych oparów. Wtedy przewinienie stałoby się oczywiste. To trzeba inaczej. Ale Roman i tak rzadko wchodzi do łazienki kiedy ona się kąpie, chyba, że już naprawdę musi. Wtedy wchodzi nic nie mówiąc, udaje, że wcale nie wchodzi, mina jakby w łazience nikogo nie było. Załatwia wszystko szybko i już go nie ma. Nie myje rąk. Zwróciłaby mu uwagę, ale tak jakby jej nie było w tej wannie, więc mu potem powie. Przecież niektórzy piją swój mocz dla zdrowia. Taki naturalny kosmetyk może się sprawdzić. Ludzie robią kremy z łożysk i z napletków. Ciało wie najlepiej co ciału sprzyja. Organicznie dbać o organizm to jak oglądać swoje oko. Pod mikroskopem najlepiej. Ale teraz Romana nie ma w domu i Renata bez obaw oddaje się drobnym przyjemnościom. Czyta książkę w ciepłej wannie pełnej aromatycznej piany. Czasem zdarza jej się zasnąć i wypuścić książkę z rąk. Budzi ją wtedy dopiero stygnąca w wannie woda, dookoła pływają skrawki papieru, literki wirują samopas w szyku nowych zdań i historii zaczerpniętych ze śnionych właśnie kawałków opowieści. Przyklejają się do ud i brzucha, stają się ofiarami

intensywnego słowolóstwa, bo gdyby zostawić je na wolności zatkałyby odpyływ i Roman by ją udusił. Ale tym razem nie zaśnie, zrobiła sobie kawę. Czyta fragment tekstu; czuje zapach kiszonej kapusty i jakby wodociągów. Czyta dalej, ale nie pachnie już. Wraca do tamtego fragmentu, przy którym poczuła ten zapach. Znowu pachnie. Czyta dwie strony dalej i nic, nic. Z ciekawości cofa się i tam znowu pachnie. Naprawdę tak jest.

Renata nie gotuje Romanowi, ale pierze. Pralka jest ważna. Pranie odbywa się codziennie, białe na przemian z kolorowym, na przemian z czarnym. Aha, i kolorowe jest po kolei. Niebieskie i podobne razem, czerwone i podobne razem itd. Czarnego dużo jest, bo żałoba. Rodzice. Białe, bo pościel, ręczniki i bielizna, zwłaszcza Romana kalesony, duże slipy i podkoszulki. Proszki – wiadomo - są osobne do kolorów i białych, a do czarnych jest tylko osobny płyn, bo czarny to jednak jest jakiś kolor. Powinny być osobne proszki do każdego koloru, kupowałyby takie. Stać ją z renty po rodzicach. To jest pewien błąd na rynku chemicznym, jakieś niedopatrzenie. Ten brak. Bluzka w kolorze czerwonego wina, którą dostała od Romka na trzydzieste urodziny jest już raczej alizarynowa. Tylko pod kołnierzykiem, przy szwach i mankietach zachowały się pasma pierwotnego, bordowego koloru tkaniny. Wszystko przeżarte czystością. Taką złą jakością. Teraz kuca przed pralką, wyładowuje całą jej zawartość na podłogę. Segreguje. Od razu odrzuca wszystko co kolorowe albo czarne. Dziś pierze białe. Do pralki wkłada z powrotem swoją bluzkę, staniki pakuje do specjalnego woreczka pralnianego, żeby nie uszkodzić koronek, Romana koszulki, białe skarpetki, swoje majtki, kalesony. Slipy Romana. Bierze je do ręki i przewraca na lewą stronę. Podnosi do nosa. Kwaskowy zapach, nie za wiele czuć. Pewnie to jakieś sprzed kilku dni. Poszuka świeższych, może są z wczoraj. Ale nie ma.

Pewnie nie doniósł jeszcze do prania. Albo o zgrozo, może nawet nie zmienił. Trzaska ze złością drzwiczkami pralki, cyk, cyk, cyk, ustawia funkcje na najdłuższe pranie. Ze wszystkimi bonusami. Wirowanie, ściskanie, ugniatanie, płukanie. Potem wciska start.

Woda ciurkiem splywa do pralki, bęben wanny rezonuje głucho ten zwiastun lepszego. Czystego. Zaciąga się proszkiem, ledwo unika wciągnięcia go nosem, tak łapczywie chce wąchać. Ociera nos z białej otoczki. I płyn. Nalewa trochę więcej niż wskazuje miarka. Roman nie lubi jak tak mocno pachnie, ale to niech sam sobie pierze, jak ma specjalne preferencje. Renata woła Kastora i Boni. Teraz pójda na spacer. Zakłada czerwony polar, idzie do swojego pokoju i staje przed lustrem. Lustro jest bardzo ważne, chociaż nie tak ważne jak pralka. Osadza ją w rzeczywistości. Czuje się częścią otoczenia. Jak wie, że Roman ma nockę i na pewno nie wróci do domu, to czasem staje nawet nago przed lustrem i ogląda. Wyrzuca wtedy psy z pokoju, żeby nie patrzyły, bo nawet jej jest dość ciężko z początku, ale łatwo można przywyknąć. Gdy już się oswaja z tego rodzaju kontaktem, podchodzi do lustra i całuje się w usta. Bardzo chciałaby pocałować się w szyję albo w policzek, ale to jest za trudny manewr.

W końcu szykuje się do wyjścia, przypina smycze i bezsensownie informuje psy, że czas na spacer, choć one z właściwą sobie intuicją zastygły w oczekiwaniu już przy wciąganiu przez Renatę proszku. Renata postanawia nie informować o dalszych zmianach jakie mają rozbić napięty i pilnie przestrzegany harmonogram dnia. I tu psy dają się już nabrać. Bo ich pani po wyjściu z bramy kamienicy nie skręca, uwaga w prawo, ale właśnie w lewo. Czy psy też czują to napięcie? Ten dreszcz emocji? Tę rewolucję obyczajową

która staje się ich udziałem? To stąd to podniecone merdanie ogonem? Czy to radość przed nieznanym, czy raczej kompulsywne dodawanie sobie otuchy? Nie przejdziemy dziś koło szkoły, uliczką wysadzaną kocimi łbami, ani koło wędkarskiego, apteki i ogólnospożywczego. Nie odczytamy oferty wyklejonej na szybach sklepu z art. metalowymi. Mało tego. Nie przejdziemy przez skrzyżowanie, żeby spokojnie i będąc niezauważonymi przez nikogo przejść po pasach skrzyżowania i uspokoić się w parku im Jana Pawła II. Nie będziemy obserwować jak w parku nie ma ani rowerzystów, ani wrotkarzy, rolkarzy czy deskarzy. Albo jak niewiele jest mam z wózkami i jak rzadko można spotkać spacerowiczów z psami. Dzisiaj idziemy w lewo.

.....

Portier wychodzi zza swojej lady i robi nieznaczny obchód dookoła swojej budy. To się pusto zrobiło. Rzeczywiście coś martwa ta szkoła. Ani sprzątaczek, ani też bałaganu. Panuje logika braku.

To go uspokaja. Za dwie godziny kończy zmianę, choć mogłoby to być i za pięć. Nie spieszo mu ani z domu, ani do domu. Z pracy ani do pracy. Jest dogłębnie spokojny, prawie obojętny. Akceptuje swoje położenie w czasie i przestrzeni.

Poza tym Roman lubi swoją pracę. Urzęduje sobie w portierni o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych, na której wraz z wymieniającymi się z nim portierami zdołał zgromadzić dobra zapewniające komfortowe pełnienie służby. Jest tam stary fotel z zielonym obiciem, radio będące na emeryturze, odkąd w kanciapie pojawił się telewizor i stos gazet o bardzo różnej metryce, jak i tematyce. Jest czajnik elektryczny, zapasy kawy i herbaty, cukier oraz głęboko schowana buteleczka z rumem do tak zwanej herbatki z prądem. Są cztery kubki; wszystkie wystrzępione, z brązowym wnętrzem, bo nigdy nie myte, a tylko płukane. W umywalce która mieści się zaraz obok drzwi, zaopatrzonej w mydło i mimo wszystko w płyn do naczyń, porozsypywane są krótkie i ostre włoski po goleniu z nocnej zmiany. Stoi w niej też kubek, który Roman dostał na gwiazdkę od Renaty z wymalowaną myszką zamknięta na klódkę w wielkim, czerwonym sercu. Pod nią jest napis: „więzień miłości”. Dodatkową atrakcją dla jego kolegów po fachu jest telefon z którego można przecież prowadzić rozmowy prywatne, co również stanowi niezawodną formą zabijania czasu. Ta opcja jednak Romana nie dotyczy. Roman bardzo lubi swoją pracę. Jest spokojna, cicha. Dzień dobry, do

widzenia. Wszyscy są grzeczni, nie trzeba niczego udowadniać, przymilać się, wyrabiać się. Trzeba siedzieć na krześle, wysiedzianym już tak solidnie, że w zasadzie mogłoby samo się siedzieć za ladą portierni. Nie grozi mu awans, nie ma nadziei na utratę pracy. Nocny portier to ulubiona zmiana Romana. Wtedy wszystko staje się jeszcze bardziej spokojne i intymne. Bo jeżeli już kogoś w tej szkole się spotka nocną porą, to jest to na tyle niezwykle, że wywiązuje się rozmowa, poufała, ciepła. Łączy ich noc i nietypowe położenie, tak dalekie od łóżka.

Jest prawie 10 rano, Roman zaraz kończy nockę. Mimo to jest wypoczęty, udało mu się uciąć sobie całkiem zaawansowaną drzemkę, wzbogaconą dodatkowo o sny, co nieczęsto mu się zdarza. Śniła mu się szeroko pojęta zagłada, kolejna wojna z sąsiadami z zachodu. Przebywał u nich w wiosce, w jakiejś knajpcie. Było dużo narodowości, ale tylko Roman wiedział o końcu. Gadali do niego po francusku, jakiś mały chłopiec w firmowym fartuszkę sprzedawał ciasta i lokalne przysmaki z zaotłuszczonej, szklanej ludy. Dopiero się przyuczał, a Roman wiedział, że nie zdąży się już nauczyć. To były bardzo ciężkie chwile, ale piękne. Gdy spojrzął na wyszczerbiony kubek w zlewie, przypomniał mu się jeszcze dalszy kawałek snu. Sięgając do kieszeni, żeby zapłacić chłopcu za jakiegoś przeterminowanego frykasa, wyciągnął zamiast pieniędzy dwa duże, trzonowe zęby.

Roman wsiada w dziewiątkę, która zawiezie go pod dom. Nadchodzi dzikie lato i najpierw pojawiło się właśnie w tramwajach. Lekki zaduch, trochę mniej powietrza i ubrań i już wychodzi kto się jak i czy myje. Lepiej się drążki tramwajowe, strach dotykać. Ale nie tylko w tramwaju. Całe miasto objawia swoje wstydlive zapachy, a jest ich cała gama i różnorodność. Na przestrzeni

stu metrów zawiewa jebliwie kontrastowymi woniami od dopiekanego przez szybę kebabu do zapachów bardziej prywatnych i intymnych, które nie powinny hasać samopas. Ale o 10tej rano tramwaj jest wystarczająco pusty i przewiewny, by móc się zrelaksować podczas podróży. Roman zamyka oczy, słońce muska go pieszczotliwie po twarzy, ale nie może tak naprawdę go dotknąć, bo Roman znajduje się za szybą. Jest bezpieczny, a jednocześnie zaznaje słonecznych atutów. Czuje się zwycięsko.

Na klatce zagląda do skrzynki; rachunek za gaz, gazetka tesco i ulotka usług ślusarskich. Władczo wtyka klucz w zamek. Zdecydowanie przekręca. Pewnie pcha drzwi. O. Renata zrobiła obiad. Roman wertuje garnki. Pyry, gotowana marchew, buraczki. Nakłada sobie sporą porcję wszystkiego, do tego z lodówki wyciąga kilka plastrów polędwicy sopockiej i siada przy stole. Odsuwa stertę gazet, rachunków, szpulkę czerwonej nitki. Je. Mogłoby być ciepło. Ale już nie mógł wytrzymać z głodu, a nie chciało mu się czekać na powrót Renaty. Dokłada sobie buraków, beka. Z zadowoleniem odstawia talerz, po drodze łązienka, a potem już pokój Renaty. On nie ma swojego pokoju. On sypia w dziennym, na kanapie przed telewizorem, bo jest rozkładana. Nie ma wielu rzeczy. Ubrań sporo, ale i tak mu się mieszczą na jednej półce wszystkie, na płycie ma specjalny stojak od podłogi do połowy ściany. Te, które nie weszły, położył na szczycie tej piramidy i też dobrze. Książek, które ma, trzyma u Renaty, a i tak nie czyta, bo nie ma czasu. A jak ma to na pysk pada, że nawet telewizje ciężko mu oglądać.

No więc chodzi do Renaty w odwiedziny jak jej nie ma, bo jak on sam nie ma swojego pokoju, to przecież nie będzie siedział bez ruchu cały dzień. Łóżko zaścielone, fotki stoją, szafa ok, w szufladzie wiadomy porządek. Leżą sukienki i bluzki, spodnie poskładane w kostkę są na półkach w porządku chyba kolorystycznym. W szufladzie stosik grubych frotowych majtek,

nieruszany teraz, bo lato. Obok kupka bawełnianych, tu rotacja jest spora, Roman już wie, które są Renaty ulubione, bo te są najczęściej nieobecne. Ma też czerwone figi z matyry i koronkowe, falbaniaste, ze sznureczkami, czyli trzy pary majtek muzealnych w których Renata nie chodzi. Są na specjalne okazje, a takich nie ma. Spokój i przyjemna perystaltyka w jelitach. Krew odpływa do trzewi i Roman czuje, że musi wracać na kanapę, żeby odpocząć.

Tramwaj linii numer 2, wagon drugi, trzecie siedzenie od końca po prawej stronie. Przy oknie. Szyby lepkie od rysunków dzieci brudnymi paluchami i łoją z włosów przysypiających pasażerów. Kluczem wydrapane, że marian to konfident i brutal też i jeszcze jakieś literki. W powietrzu czuć ciała i oddechy, ciała i ich tajemnice oraz ziemniaczki z koperkiem.

Sonia usiadła naprzeciw autora tych zapachów; śpiącego, opartego o okno tramwaju. Jest uwięziona, nie może się przesiąść, bo nie ma gdzie, a poza tym nie chce być nieuprzejma. Pod lewym okiem facet ma rozcięcie, z którego leci mu krew. Policzki ma usiane czerwonymi wybroczynami, a może są to krosty. Z nosa też mu leci - wydzielina w kolorze i o konsystencji budyniu waniliowego. Ciężko dynda, kołysząc się do taktu tramwaju, a poniżej na wysokości ust ten wytwór fizjologiczny przechodzi stopniowo w cieknąca ślinę, która już bardziej wartko niż to co powyżej spływa po brodzie i dalej śmiało broczy ku kurtce. Facet pocharkuje przez sen nieświadomy, że wytwarza trzy rodzaje wydzielin ze swojej jednej twarzy. Sonia próbuje nie patrzeć i udawać, że jej tu nie ma, że nigdzie jej nie ma. Chce jej się płakać i rzygać naraz. Nad jej głową pochyla się dziewczyna uwieszona drążka od siedzenia. Krótkie włosy ma wygolone tuż przy szyi, przedziałek na środku, kosmyki wpadające w oczy. Na nosie metalowe, złocone okulary. Na tle szyi postukując o nią, wiszą długie do ramion kolczyki z drobnego łańcuszka, do tego ciasny fioletowy golf. Trzeba to będzie potem zapisać. Sonię ostatecznie zatyka na widok wisiora świętego wyciągniętego na golfie. Łańcuszek drobny i niebezpieczny jak paciorkowiec.

Bo Sonia nie lubi biżuterii. Nie lubi nawet tego słowa, to chyba przez to „ż” w środku. Jest jakieś drobiazgowo, detaliczne. Tam się na pewno zbiera brud, w tej dziurce, w tej kropce. Molekuły naskórka, niemytego ciała, kurzu, roztocze, wszystko w takim oku łańcuszka. Najgorsze są antyki, a przynajmniej używane. Kolczyki. W dziurze ucha. Że to nie gnije taki metal w mięsie jednak. Niech tylko nikt nie prosi żeby mu zapiąć łańcuszek czy co tam. To jest niemożliwe. Monety? Najgorsze brązowe. Najwięcej wszystkiego na nich. Jasne, że płaci w sklepie, sytuacyjna konieczność. Ale jak jej położyć na biurku, to już przez chusteczkę i to do kosza. Jeszcze zależy jaki nominal, no piątkę to nie. Brązowe są najgorsze, powinni to wycofać z obiegu. Kiedyś to miało sens, ale teraz nic nie kosztuje poniżej srebrnych, więc po co?

Zza szyby tramwaju nic nie widać, bo jest oblepiona reklamą przeciwigazowego jogurtu. Świat trochę przeziera przez malutkie dziurki wykonane maszynowo, choć według niektórych, pewnie tak zwaną techniką manualną, upierdliwie zaznaczając, że przez dzieci. Dziurki te, powodują wśród pasażerów dezorientację, stopniowo następuje ogólny oczopląs optokinetyczny, wszyscy dostają zezą, optozajoba i nie mogą trafić z siedzeń do wyjścia i odwrotnie. Powstaje tak zwany tłok w tramwaju. Zator. Czop. Wszyscy naruszają wszystkim ich nienaruszalną przestrzeń osobistą. Dotykają się niechcianymi dotykami. Zapachy ciał mieszają się w osobliwie wonne kompozycje, a mimowolne zapasy starających się utrzymać równowagę ludzi, sprzyjają napiętej atmosferze. Niektórzy jadą bez trzymanki, podtrzymywani przez tłum. Ich stopy nie dotykają podłogi, ale nie ma to nic wspólnego z zaufaniem, za to dużo z brakiem miejsca. Siedzący rezygnują z wysiadki na swoim przystanku, nie będąc w stanie stawić czoła tym, którzy stoją i będą stali, albo postawić stopy na podłodze jazdzącego tramwaju.

Do siedzeń przykuwa ich poczucie winy i niemoc. Przynajmniej tak im się wydaje. Nie wiedzą, że i tak są jednym ciałem z resztą pasażerów, z całym tramwajem, że stopy im przyrastają do podłogi, a plecy do siedzeń. Nie zauważyli jak ręce trzymającego się górnego drążka pasażera zamieniają się w jego przedłużenie, jak wszystko stapia się w jedną masę. Nie słyszeli o Tetsuo, ale da się to nadrobić. Wszelkie próby wydostania się z pojazdu są tak karkołomne, jak wybieranie psiego gówna spod buta patyczkiem do uszu.

Wielki kottun ciał buszuje po tramwaju szczepiony razem, wściekły i pstrokaty jak esowo-floresową tapicerka siedzeń MPK. Ciżba wdeptuje sobie nawzajem obcasы w oczy. Niektórzy jeszcze trzymają się drążków tramwajowych lub siedzą w fotelach zagazowani przez jogurt, ale większość jednak leży już pod fotelami, zbiera manatki, które im powypadały z toreb, ciągnie się za włosy, czołga do drzwi wyjściowych, ale one też zostały zalepione jogurtem aktivia, lekko na haju, lekko w tramwaju, wyjścia nie ma, ale wiedzą to tylko ci, co jeszcze mają oczy, reszta pyta o drogę, ale zostają skierowani do pojemnika na zużyte bilety i inne papiery, żeby sobie tam pogrzebali i znaleźli raczej gumy do żucia i uwalone chusteczki, żeby sobie to uformowali w kulki i wsadzili sobie jako oko.

Bywa często, że w zatłoczonym tramwaju i to niekoniecznie w lecie, kiedy wszystkie ciała odtają, emanują silną wonią wysiłku, stresu i higienicznych zaniedbań; bywa, że na terenie wagonu da się poczuć zapach pasztetu lub przejrzałych bananów, produkcji ludzkiego ciała. Zawiała kwestia etymologii tego zapachu przysparza problemy natury poznawczej jak i estetycznej oraz rzecz jasna ogólnie pojętej ontologii, zwracając jednak uwagę na kwestię skatologiczne. Teraz też poczuć można by ten zapach, gdyby tylko dało się oddychać.

Tramwaj oblepiony jest reklamami do tego stopnia, że pozostaje tylko maleńki kawałek wolnej szyby, przy której tłoczą się wszyscy, by nadzorować w jakim punkcie miasta się znajdują i by nie przegapić swojego przystanku. Ten mały kwadracik okna i tak nic im nie daje i wciąż nie wiedzą gdzie są, bo każdy ułamek krajobrazu miejskiego przepływający im przed oczyma, choć wydaje się znajomy, to jednak trudny jest do osadzenia w topografii miasta bez szerszego kontekstu, ciągu dalszego kamienic, ulic i charakterystycznych punktów usługowych. Gdy w końcu orientują się, że to tu, następuje maraton z przyspieszeniem odwrotnie proporcjonalnym do hamującego właśnie pojazdu. Prędkość pojedynczego pasażera jest nie do obliczenia w tych warunkach, a skoro nie wiadomo, czy uda się wysiąść i czy będzie to tam, gdzie się planowało, to lepiej prewencyjnie deptać po współpasażerach. Zwłaszcza po tych, którzy w amoku braku danych na temat swego położenia w przestrzeni, lecz za to poddawszy się presji tłumu, tak samo mocno chcą wysiąść jak my, ale których wiek, sprawność fizyczna albo lokalizacja w pojeździe nie jest tak dogodna jak nasza.

Na to wszystko patrzy Sonia, która siedzi w wagonie drugim, trzecie siedzenie od końca po prawej stronie. Zgroza. Nie ma wystarczająco brzydkiego słowa na to. Czas ewakuacji. Szamotanina przy drzwiach, ale niegroźna. Wyjście. Na chodniku plamy z deszczu. Szaruga, breja, chryja, pomyje obśliniły chodniki całego miasta w tempie znacznym. Cały naród ogląda piłkę nożną. Na placach i wszędzie stoją duże ekrany, to taki obywatelski obowiązek, lokalna fiesta. Budki z hot dogami, baloniki i ciepłe piwo. Publiczność skanduje jakiś niezrozumiały bluzg, zadowolony ze swych decyzji prezydent na żywo ogląda ten mecz. Kibicom mało, ciągle skandują: jeszcze jeden! To nie jest Soni przystanek. Będzie musiała teraz długo iść do

domu, ale ona już nawet nie stoi, ale ją niesie, jest niesiona przez ludzi po jej prawej i lewej, którzy idą w odwrotnych kierunkach, co skutkuje tym, że i tak się nie rusza z miejsca, lewituje ponad poziomem butów. Próbuje płynąć przez tych ludzi, ale to nie zyskuje aprobaty, strzepują ją z siebie i już leży plecami na ziemi. Zdzierają z niej kurtkę, gdy próbuje wstać, już jej nie złapie, już spłynęła ludźmi do studzienki kanalizacyjnej, już komuś robi za ponton, za namiot na koloniach podziemnych, na kempingu podmiejskim. Sonia rozpycha się łokciami, toruje sobie drogę, ma dosyć cudzego potu na swoim czole, cudzej śliny w swoich ustach i oczach. Krzyczy, a kibice nagrywają to na komórkę i puszczają jej to w różnych konfiguracjach i tonacjach, a nawet polifonicznie. Nadają to z głośników, zagrzewając naszych do walki.

W końcu Sonia musi upaść ludziom pod nogi, wiadomo było, że tak się to skończy, już prawdę mówiąc nie mogła się doczekać, żeby sobie odpocząć. Teraz tylko jeszcze muszą mnie podeptać, wiem, wiem. Najgorzej jak deptają po głowie, bo jest twarda, jakby nie wystarczyło, że chodnik też jest twardy. I ona się najdłużej rozłupuje. Jak płyn mózgowo – rdzeniowy zaczyna ciec, to już jest dobrze, teraz to mogę sobie tutaj tak leżeć, bo on rozmiękcza wszystko na taką ciepłątką papkę, już jest w miarę miękko, jakieś tam chrząstki coś. Szarych komórek nie widać na tle chodnika, inaczej już by je dawno rozkradli, bo to chodliwy towar. No i wkurwiające jest to, że teraz każdy sobie jej trochę weźmie na podeszwie buta do domu i trzeba będzie uczestniczyć w tych wszystkich szopkach, wigiliach, seansach domowych i to we wszystkich naraz, ile się slangów domowych nałyka, ile smrodków kuchennych a ile obciętych paznokci z dywanu ją pokłuje. Nasłucha się hymnów narodowych przed obiadem, zobaczy co się jada na obiad, nitki spaghetti z poprutej flagi narodowej, do tego drzazgi z jej drzewca, do popicia woda święcona chyłkiem podwędzona z kościoła. Po obiedzie modlitwa, a

potem wszyscy tknięci duchem świętym włączą telewizor, ale ona nie widzi ekranu z dywanu, bo jest zbyt gęsty od syfu, ta ulica jest zbyt gęsta od syfu. Sonia ciężko oddycha, łyka syf i łyka ulicę.

A kiedy jest już z dala od niebezpieczeństwa i kiedy widzi, że ulice są puste i że znowu jest słońce; idzie do domu jak najwolniej, żeby ta droga powrotna niepostrzeżenie połknęła jak najwięcej czasu, żeby zmęczyła się jak najbardziej i po powrocie do domu od razu, jeszcze w butach i kurtce zległa na łóżko i natychmiast zasnęła. W ten sposób pozbędzie się lub chociaż skróci kolejny dzień.

Kształty. Z chodnika spoglądają na nią białe twarze widziane we wbitych, wdeptanych w chodnik gumach do żucia. Małe czaszki gumowe łypiące i lepij w nie wdepnąć żeby już się nie gapiły.

Sonia marzy, żeby móc wyskrobać siebie chociaż do siedmiu pokoleń wstecz. Żeby mieć pewność. Chce nie być, ale wiedzieć, że nie jest, inaczej nie będzie w stanie tego docenić. I kiedy akurat rozmyśla o tym, co było gdyby jej mama była skutkiem skoku w bok jej babci, a ona sama skutkiem skoku w bok jej matki i że trzeba by wtedy przesadzić całe drzewo genealogiczne, aż zostałby z niego najwyżej genealogiczny krzak, drogę przed nią przecina ten chłopak w kolorowej bluzie z kapturem na głowie. Przygląda jej się akurat gdy ziewała rozdziawiając usta jakby połykała świat, choć wolałaby raczej zrobić z nim coś odwrotnego. Gdzieś już widziała tego chłopaka. Z czymś jej się bardzo kojarzył, ale skończyło się na niedokojarzeniu, bo Sonia była już w domu, a ciało zaczynało właśnie sygnalizować głód. Będzie jej się tą ulicą odbijać jeszcze przez długi czas.

Byle się nie odbijało pustym żołądkiem. Sonia jeszcze przynależy do wczoraj, chociaż zaczęło się już jutro i także jej mieszkanie nie zapomina jej o tym przypomnieć.

Etap pierwszy: kuchnia. Tylko jedno życie. Żeby go przejść, trzeba rozwikłać zagadkę pejzażu kuchennego, umyć podłogę, zedrzeć z niej zaschniętą skorupę upadłego nań pożywienia, całego jadłospisu sprzed kilku tygodni. Sonia rozpoczyna szturm na lodówkę, której buczenie spotęgowane jest przez echo pustki, która w niej siedzi. Lodówkowa kakofonia nadaje stary szlagier pt. „brzęczy, buczy i jęczy”, w zespole na wokalu są muszki owocówki, które dokarmiane nie umierają nigdy i już się nauczyły gdzie szukać pokarmu. Sonia otwiera wieko lodówki, wzniesca się kurz i pył, wzniescają i podniecają się muszki, księga została otwarta, a tam zapis o upadku, o końcu. Soniny pawłowizm jest zdezorientowany, pomimo głodu ma sucho w ustach, dziury w zębach świecą pustkami. Nawet w lodówce siedzą owocówki, dreptają po arбуzie, który jest już gdzieś puchaty od pleśni. Barwy dopełniające psującego się owocu są bardziej egzotyczne niż on sam, więc trzeba go szybko zjeść zanim stopią się w bury monochromatyzm, który zmyje z owocowej krainy wesołe miasteczko grzybów, porostów i płazów.

Przy podniesieniu arбуza, muszki wznoszą się również gęstą i wkurwioną chmurą, wypełniają lodówkę zgrzytem i jazgotem swych małych dupek, nie do końca najedzonych. Udają magnesy na lodówkę. Reszta nieprzerwanie dokonuje ostrej eksploracji arбуza, odpoczywa albo umiera na pestkach, bądź poddaje się z rezygnacją procesowi dekompozycji.

Sonia i tak chce go zjeść, choćby te ładniejsze, różowe kawałki, ale arbuza rozrasta się w zaburzonej fermentacji, w schorowanych wykwitach łapczywego miąższu, mnoży się w oczach, niemalże zasklepia się jak brocząca fetorem rana i staje się prawie zamknięty i świeży. Więc Sonia wysiorbuje najpierw posokę z zaropiałego owocu, bakterii beztlenowych dotąd nie miała w menu. Zapach ptomain lekko ją odurza, a zakręt w głowie pozwala zbagatelizować genzę smrodu. Przedramionami płyną jej małe strumyczki, wpływają za rękawy bluzy, trochę łaskoczą. Zamachnęła się nożem na arbuza, ale on już i tak nie mógł być bardziej martwy, więc tylko klapnął tępo na brudną podłogę i ochlapał stopy Soni jadowitym sokiem, a nóż zbyt miękko i szybko przeprawił się przez wiotki owoc i napotkał godnego siebie przeciwnika – jej kciuk. Świeża krew i świeże mięso. I tak stała się kozłem ofiarnym swej kuchni i jej mieszkańców, całego pierwszego etapu. Zatrute rzeki na jej rękach robią za dowód, a nawet powód. Kąsająca szamotanina, muszkom wyrastają zęby i pięści, arbuza wzbogaca kompozycję podłogi kalejdoskopem pstrokacizny. Następuje natychmiastowa ewakuacja, tracisz pierwsze i ostatnie życie, jeszcze się nie zaczęło, a już game over, kurtyna spada z pomrukiem zadowolenia.

Ale. To jeszcze nie amen, ani nawet w imię ojca czy syna, droga do łóżka znarowiona, a ta wilgoć to wcale nie, och! To nie woda święcona. Lepiej schronić się przed niebezpieczeństwem w jeszcze nie wystygłym łóżku. Czeluście pościeli już od progu pokoju skarżą się swym wywróceniem na nice, w ich chłodnych masach i między poduszkami znaleźć można walający się gdzieś gdzieś popcorn, słoną niespodziankę nigdy nie zmienianej pościeli. Poduszki opite zapachem łaju, na ich poszarzałej bieli bielą się delikatne płatki łupieżu i okruszki, różne farfocle. Skulone i ściśnięte pod nimi ładunki

obsmarkanych chusteczek higienicznych uwierają w głowę przy leżeniu, plamki z zaschniętej śliny o różnokolorowym nasileniu dekorują jaśka, wymiętego i pachnącego przeżutym i wyzutym, wyplutym snem.

Pochopna decyzja mięśnia abduktora skutkuje nazbyt wygodną pozycją horizontalną, której efektem jest natychmiastowy reset umysłu, który na niewiele się zdaje, bo między zwojami mózgowych kabli grasuje wirus, który powoduje, że generują jej się w głowie slajdy, filmy, wizualne empe trójki i się wyświetlają na przeciwległej ścianie, przygody Koszałka Opałka w wersji reżyserskiej, cały ten śmietnik co go ma pod biurkiem jej się wysypuje do głowy, bilety tramwajowe, przez które musiała zapłacić karę, bo ich nie odbiła, gumy do żucia, których nie wyżuła, więc jej to teraz nie pachnie z buzi niczym, tak jak kiedyś, ma to wsadzone we wspomnienia białe, bielusieńkie, tak czyste jak przyjazd ojca świętego do kraju, ma to w klaserze na znaczku pocztowym, jak go witała białym kremem, z białej kremówki na białej brodzie, mimo brudu na brodzie, brodziła paluchem w tej breji na brodzie, bo brud był biały, więc nie był brudny, dopiero za paznokciami zszarzał, ale i tak go wyjadła, komunię świętą przejadła, zmieszała jej się w brzuchu ze wszystkim co zjadła i chociaż to było ciało boże i choć tak bardzo, bardzo się starała, by strawić je całe, żeby niczego nie musieć wydalić z siebie, to nie wyszło i zrobiła coś, czego nie wypada i jednak teraz musi przykłękać nawet przed toaletą, nawet przed toaletą. I teraz też jak klęka to ma twarde te kości w kolanach i kafelki są zimne i twarde. Jak się klęka na kafelkach w łazience to bolą twarde kolana i jest zimno. Twarde kafelki w łazience są zimne jak się na nich klęka i bolą kolana. Twarde kolana bardzo bolą na zimnych kafelkach. Klękanie na zimnych kafelkach jest bolesne i twarde.

No więc w lewo. Na początek mijamy sklep z bielizną. Po osiedlu krążą plotki o praniu pieniędzy, które się tam odbywa, a na wystawie nie zmienianej od miesięcy pożółkły już staniki i wyblakły pończochy; manekinowi opadły majtki w blade różyczki. Ale teraz wystawa jest pusta. Widocznie w końcu ktoś wykrył spisek i zamknęli sklep. Renata tu nigdy nie kupowała i tak. Nie tylko ze względu na te plotki, ale Renata w ogóle rzadko kupuje bieliznę. Prawie nigdy. To znaczy właściwie wcale. Nie żeby nie było ją stać. Po prostu nie ma potrzeby. Nosi ten sam rozmiar od młodzieńczych lat, a że nosi oszczędnie to jej starczą do dziś. Następny sklep to dewocjonalia. I proszę. Kolejna likwidacja. Do ozdobnych krat witryny wciąż przytroczone są chorągiewki apostolskiej stolicy, chrystusa pana zmartwychwstałego i barw narodowych. W głębi sklepu pusto i mrocznie.

Renata przystaje, wyczyzcza rękawem okrąg w brudnej szybie i zagląda do środka. Bo to ją akurat ciekawi. Zaraz za rogiem kościół, tyle uroczystości każdego miesiąca, więc co się stało? Czyżby brak powołań kapłańskich, laicyzacja narodu, chrzest już niemodny?

Renata nie chodzi do kościoła, więc nie zna plotek. Zapyta Romana co o tym sądzi, on wyprawia się dalej w miasto, więcej wie, widzi co się dzieje. Dewocjonalia i co dalej? W lewo na rynek, prosto w dal czy w prawo w stronę parku? Renacie zdaje się, że choć idą przed siebie, to psy jakby lekko odciągały ją w stronę pasów na prawo, w stronę cieplej i dobrej rutyny. Takie odnosi niejasne i bardzo mgliste wrażenie. Ale i tak idziemy na rynek, na zakupy, po gazetę, pomidory, kalafior i bułki. Na przykład.

Idą przed siebie, a płyty chodnikowe zaczynają się im niebezpiecznie chybotać pod stopami. Są jakby poobsuwane, ta ulica jest zbyt często uczęszczana, zbyt mocno. Renata stara się nie kłaść całej powierzchni stóp na chodnik, omijać wyrwy w ziemi, przeskakiwać przez pęknięcia, ziejące dość znaczną jak na warunki uliczne otchłanią.

Winiąc się w duchu za ryzykanckie decyzje postanawia sforsować jeszcze przejście dla pieszych, zakupić gazetę i skończyć z tą brawurą. Kiosk. Nie może tak iść i po prostu wrócić. To będzie dziwne zachowanie, społecznie chyba napiętnowane, skoro bezcelowe. Musi kupić przynajmniej gazetę, chociaż nie czyta gazet. Parę metrów jeszcze i dojdzie do brzegu ulicy, obmywanego podmuchem pędzących w ściśle określonym celu aut. Nagle jednak czuje się osaczona. Krawężnik jest za ciasny jak na potrzeby tej ulicy. Dookoła ciasno otaczają ją przechodnie, tłum ludzi postanowił razem z nią czekać na zielone światło. Nie odstępują jej na krok i wcale się z tym nie kryją. Ktoś wbija Renacie łokieć w plecy, inny zasłania jej sygnalizację świetlną. Nic nie widzi, stara się nic nie czuć, ale wieje jej w twarz zapach spalin i pana obok.

Jest to nieprzyjemna woń, nie śmierdząca, ale zbyt prywatna. Jak zapachy mieszkań. Jak czasem wstępuje do sąsiadki, pani Wieży, żeby jej coś pomogła w domu, przywierała gwóźdź czy zamontowała wieszak, to tam też tak pachnie. Nie tak samo, ale równie intymnie. Już wiadomo jak pachnie u tego obok. Renata uważa, że u niej w domu nie pachnie, chyba, że praniem. A przynajmniej ona tego nie czuje jak wraca ze spacerów z psami. Ale może dzisiaj poczuje. Teraz stara się nie czuć rozcieńczonych perfum, których zapach owinął się wokół niej ciasno jak celofan. Stara się nic nie widzieć, co połowicznie się sprawdza, bo pyłek, sadza, czyjs łupież wpada jej do oka. Renata płacze. Ale każdy myśli, że to miejskie warunki i zanieczyszczenie

środowiska, więc nikt nic nie zauważa. Psy prowadzi Renatę na pełne pasy, które mają ubytki w swej bieli, uliczną próchnicę, są podarte i krzywe.

Przejście dla pieszych wypłuka ją prosto pod kiosk, przed którym staje pod ostrzałem spojrzeń i pokrzykiwań kioskarki, że gazety codziennej już nie ma, ani tej, ani tamtej, ani żadnej, że wszystko już dawno wyprzedane, a dodruku nie będzie i nie będzie też gazety jutro ani pojutrze i popojutrze. Więc trzeba kupić coś innego, ale ona nie zdążyła się namyśleć co można kupić w zamian i za to spotyka ją teraz kara, ludzie na nią mruczą, chrząkają, kaszlą i smarkają ponaglająco. Kioskarka coraz bardziej wychyla się w stronę Renaty, coraz bliżej się przysuwa. Podsuwa swój oddech i tak macha rękoma, że w szczególny sposób ukierunkowuje bieg swego oddechu, który raptem uderza Renatę, jest to cios srogi, ta nie upada jednak. Stają jej przed oczyma wszystkie kolory prania, jakie musi uprać w tym tygodniu, rzuca się biegiem przez pasy, jest czerwone, akurat nic nie jedzie, ale Renata tego nie wie, bo zamknęła oczy, ogląda w głowie pranie, bordową bluzkę, jak to możliwe, że ona blaknie, skoro używa najdroższych produktów na rynku, psy biegną za nią, smycze łopoczą na wietrze. Nigdy więcej nie będzie w lewo.

Co tobie? Roman widzi Renatę potarganą, spoconą. Spódnica tyłem do przodu jej się okręciła, rajtuzy opadły i pofałdowały się przy kostkach w drobne zmarszczki. Płaszcz rozchełstany, włosy też. Renata dość spokojnie odpowiada, bo się sama odpytała z tego pytania już na klatce schodowej i wyszło, że robiła zakupy, zwłaszcza zależało jej na gazecie, ale już nie było. I psy trzeba było wyprowadzić. Nie, żeby Roman to wiedział, bo to zawsze ona z nimi spaceruje. Nastawia wodę na herbatę, ale Roman wybiera kawę. Siada przy nim przed telewizorem.

Tam korytarzem szpitalnym idzie pulchna pielęgniarka, przed sobą pcha wózek z posiłkami dla pacjentów. Wręczając talerz życzy każdemu smacznego. Poprawia im poduszki, czesze włosy. Sprawdza temperaturę, podaje leki, pyta o stolec. Obmywa spocone czoła sterylną watką. Robi echo serca, sztuczne oddychanie oraz lewatywę. Z ekranu parują ciekłokrystaliczne atomy, cząsteczki o zapachu pasty do podłogi i lizolu sączą się z naelektryzowanego pudła. Cicho tyka defibrylator. Zegar wybija koniec serialu. W telewizorze musi być bezpiecznie.

Halina Korbas czuje się jak samolot który może sobie najwyżej pojeździć w tę i we w tę po pasie startowym. O lataniu nie ma mowy. To jej mąż jest tym trefnym lotniskiem.

Pani Halina chciałaby. W jej życiu nic jednak nie jest możliwe odkąd pan Henryk przeszedł na rentę, emeryturę i zasiłek, a ona wyrabia teraz półtora etatu. Nie chodzi zresztą o pracę. Praca to jej jedyna odskocznia od tego co w domu, to właściwie klasa biznesowa w tym nie latającym samolocie. Pani Halina mogłaby mieć nawet dwa etaty, albo mieszkać w szpitalu, byle tylko nie musieć wracać co wieczór do ciasnego mieszkania na osiedlu, gdzie nie da się nie spotkać męża, którego ekspansywność gwałtownie ostatnio wzrosła i dalej ma tendencje zwyżkowe. Nie chodzi nawet o to, że już się z mężem nie kochają, chociaż się nie kochają. Nie chodzi nawet o to, że się nie lubią, choć się nie lubią. Chodzi o to, że pan Henryk zdziwaczał. Ona się go wstydzi. Żeby chociaż z domu nie wychodził, już by ona po pracy zrobiła zakupy, wyniosła śmieci, choć i z tym problem, bo od czasu renty Henryka domowa produkcja śmieci ustała prawie całkowicie. A nie, że on łązi, pokazuje się, ta broda nie ogolona, ubrania niezmięte miesiącami. Wszyscy ich tu znają, w sklepie, sąsiedzi, znajomi z pracy też, z osiedla. A ten łązi rozwleczone, nieogolony, nieumyty i znosi do domu te sterty śmieci.

Dawniej zbierał tylko znaczki i monety. Trzymał je w klaserach, na półce, więc nic nie mówiła. Kolekcjonował wszystkie serie filmów na dvd dodawane do gazet codziennych oraz przewodniki po najpiękniejszych miastach. Sama czasem coś obejrzała, dziecko niech książki czyta.

Lubił przechowywać butelki po dobrych alkoholach, ale te były dość

nawet estetyczne z wyglądu i goście mogli na własne oczy zobaczyć co w domu się pija. Bo jakby otworzyć barek, to zaraz trzeba by częstować. Lubił też pocztówki i płyty z muzyką klasyczną i rozrywkową. Miał nawet ciekawą kolekcję ulotek ze szkół języków obcych, ale teraz to już zbiera wszystkie ulotki, które dają na ulicy.

Halina przecież nic nie mówiła na kolekcje długopisów i podstawek do piwa, ale znoszenie do domu woreczków foliowych po niewiadomo czym i kolekcja zużytych biletów i paragonów mogących się niby przydać w razie reklamacji to już gruba przesada. Chleb chce Henryk reklamować? Masło? Papier toaletowy?

Najpierw mu kradła, podbierała. Trochę tego, trochę tamtego. Wtedy jeszcze kolekcje były niekontrolowane, składowane chaotycznie, w pudełkach i puszkach, ale potem Henryk zaczął zbierać też pudełka i puszki. Poza tym szybko się zorientował i zaczął prowadzić rejestry. Notuje każdy nowy egzemplarz czegokolwiek. Każda kolekcja ma swój własny zeszyt, z czego utworzyła się kolekcja zeszytów. Halina nie wie co on tam w nich bazgrze, ale musi to robić skrupulatnie, bo zaraz wie, gdy coś zniknie. Najgorsze są egzemplarze premierowe, dla których Henryk nie ma rubryki w swoich rejestrach. Wtedy kupuje nowy zeszyt, wpisuje je i w ten sposób rozpoczyna nową kolekcję.

Halina boi się robaków. Boi się, że zalęgną się gdzieś między kubkami po śmietanie, a woreczkami po pieczywie czy ciastkach. Bo co jak nie domył dokładnie? Budzi się czasem w nocy, bo jej się wydaje, że coś dziwnie szura, może to myszy, tu nigdy nie było myszy, najwyżej mole. Budzi się w niej bunt gdy musi doglądać porządku. Na bałagan nie umie sobie pozwolić. A właściwie na brud, bo jej definicja bałaganu została mocno zweryfikowana przez porządki Henryka. Jego nieład jest misternie zorganizowany,

najmniejsza interwencja Haliny, jej porządkowanie, wprowadza chaos w panowaniu Henryka.

Bo trzeba to tak nazwać. W domu Henryk panuje absolutnie. Salon jest już cały jego. Zawarli między sobą milczący pakt, na mocy którego Halina nie interweniuje na terenie dużego pokoju. Nie wchodzi tam w ogóle, wzięła telewizor do sypialni i cześć. Pewnie zostało w salonie sporo jej rzeczy, ale trudno byłoby dokopać się do nich poprzez wyboistości terenu. Nieważne.

Czasami po kilka dni nie widuje męża. Umościł sobie legowisko wśród swoich gratów, które jaskrawo kontrastuje z nieskazitelną sypialnią Haliny. Dostał materac, na którym spała Łódźka, całe łóżko nie weszło. Dookoła materaca leżą stosy tygodników, programów telewizyjnych, gazet codziennych i krzyżówek. Wszystkie posegregowane chronologicznie i tematycznie. Na półce nad materacem stoją słoiki z monetami. Dla monet zagranicznych i nie działających w obiegu ma specjalne kasetki, a w słoikach są zwykłe miedziaki. Każdy słoik zawiera inny nominał. Henryk obiecuje, że jak się zapełnią zaniesie je do banku i zamieni na banknoty, ale ona w to nie wierzy.

Od materaca można wąskim korytarzykiem wczołgać się pod wielki stół pełen kartonów archiwalnych magazynów, opakowań po margarynach, puszek, kapsli, butelek, opakowań po lekach, zużytych baterii, piszących i niepiszących długopisów, zużytych zapalek, starych doniczek, albumów przyrodniczych, serii płyt z kursami obsługi komputera, uprawy ogródka, encyklopedii zdrowia, seksu, snów, chorób, lęków, leksykonów mody, starych modeli samochodów, historii przemysłu kolejowego, lotnictwa, historii broni, umundurowania, medycyny niekonwencjonalnej, są tam też mapy samochodowe, mapy kraju i zagranicy, mapy topograficzne, miejskie, historyczne, plany podziemi i bunkrów, mapy nieba i wnętrza ziemi.

Po drugiej stronie stołu, od strony balkonu, Henryk trzyma kartony z niedziałającym sprzętem RTV i AGD, trzy pary nart, które dawniej zwykli rodzinnie zabierać z sobą w góry, jest kilka piłek, wszelkie akcesoria sportowe, przez paletki do badmintonu, ping ponga i tenisa, rolki i wrotki, dwie pary łyżew, trzy siatki na motyle, 2 namioty, zestaw do gry w golfa, po dwie maty do ćwiczeń, karton piłeczek pingpongowych, po wiatrówkę i bile do gry w bilard, choć nie ma stołu. No, ale jest za to inny stół, jadalny, ten który jest główną kwaterą Henryka, jego siedzibą, centralą, przy której zakotwicza się na długie godziny, by wertować swe księgi, katalogować nowe nabytki, sprawdzać, czy kolekcje są pełne, czy niczego nie brakuje. Rejestrować nowe okazy. I oczywiście oglądać to wszystko wciąż i na nowo.

Bywa, że Henryk całymi godzinami nic nie je, Halina przysięgła sobie, że nie będzie zastanawiać się, co z jego naturalnymi potrzebami, bo Henryk nie bywa w łazience. No, ale ma przecież balkon. Kiedyś jeszcze zanosila mu resztki po obiedzie czy kolacji, ale z czasem trudno było go znaleźć w tym królestwie. Zbyt wtopił się w krajobraz swego pokoju, stał się elementem kompozycji, jak niezbywalny element, który gdziekolwiek poza swoim środowiskiem naturalnym mógłby wywołać skrajne emocje. Halina czasem słyszy zza ściany ciche pomruki rachowania, mnożenia, pokątnej matematyki bełkotliwe obliczenia skomplikowanych działań, których wynik zawsze ją rozwściecza. Henryk dużo czasu spędza jednak na działce. Ale. Ponieważ i ją powoli zamienia w melinę, Halina nie jeździ tam często. Szczerze mówiąc nie pamięta kiedy była tam ostatnio i wcale się tam nie wybiera. Z natury stara się być zdania, że nie ma nic do dodania, ale w obliczu nawarstwiających się symultanicznie z warstwami śmieci dziwactw męża, planuje rozmowę. Planuje poważną rozmowę. Poza tym zamierza dowiedzieć się, czy Lodzia jeszcze w ogóle mieszka w domu. Halina nie pamięta kiedy ostatni raz ją tam widziała.

Jej córka jest jeszcze gorsza niż mąż. Córka - widmo. Córka - pasożyt. Nawet dziecko się Halinie nie udało.

Sonia obudziła się, zrobiła makijaż i poszła dalej spać, ale nie aż tak bardzo, bo tylko pod kocem, a nie pod kołdrą.

Sen. Jakaś tajemnicza sprawa szkolna, raczej tajemna. Mała szkoła, gdzieś. Chyba na odludziu, sporo zieleni dookoła, bardziej szarości, która się pewnie zazieleni, ale nie o tej porze roku. Teraz jest szaro, błotniście i chmury wiszą tak nisko, że nie ma co się czesać, bo i tak wiatr odgradza włosy w sobie tylko wiadomy układ przedziałków. Jej siostra nie żyje, choć przecież Sonia nie ma siostry. Nie wiadomo co się stało. Być może jednak żyje. Wszystko jest pogmatwane, nie ma winnych, są raczej kozły ofiarne, siostra sama nadzoruje śledztwo. Każe zwrócić uwagę, że w niecce za szkołą jednak jest wyryte jej imię i nazwisko, taki jakby grób. Ta niecka wygląda jak miejsce chocholego tańca Wyspiańskiego. Taka sceneria i kolory, może mniej fioletu, więcej metaliczno-grafitowych szarości. I Lodzia też nie żyje. Właśnie o to chodzi w tym śnie, że nie była to zbrodnia, ale też nie zwykłe umieranie. Było to niewiadomo co. Zgroza. Ktoś wezwał karetkę. Jej wycie przebija się przez uliczny jazgot i jak Sonia otwiera oczy, to nie, to niby niemożliwe, ale jednak.

Przejeżdża sobie palcem po gałce oka i zbiera poranny szlam. Jest taka historia, która nie ma końca, się sama powtarza jak stary dowcip, wcale już nie śmieszny, jak hasło w krzyżówce na g na 5 liter. Poranek. Szybka przebieżka od wątku do wątku, co już było, a co by jeszcze trzeba było zrobić, jakoś sobie wypełnić harmonogram dnia i nocy, związać koniec z końcem i początek z początkiem oraz sobie radzić z lękiem o niepewne jutro, bo akurat jutro jest już dzisiaj i by sobie dodać animuszu można na przykład

włączyć TV, żeby coś się w końcu stało, żeby ktoś coś powiedział, żeby jakiegoś zagęstnika dodać do powietrza. Przydałby się jakiś mały rozgardiasz, cokolwiek, niech ktoś to zacznie za nią.

Chwyta po omacku pilota spod materaca, ale na razie jeszcze nic się nie zaczęło, bo nie ma baterii w pilocie, kurwa są pewnie w emerytowanym budziku, Lassie proszę wróć, uwolnij orkę. Sonia wydłubuje sobie resztkę nocnej nadprodukcji wydzielin z oczu i stara się trzymać je otwarte. to obwieści etap drugi czyli siad pionowy na łóżku. Dla ułatwienia sobie zadania można ziewnąć, ewentualnie przeciągnąć się, choć to lepiej na stojąco, a tak daleko w porannym maratonie do łazienki jeszcze nie jesteśmy. Nieprzyjemną częścią jest widok własnego pokoju, duszny zapach i dobijanie się słońca przez zakurzone zasłony. Coś jest nie tak, ale nie wiadomo co. Coś ją trapi. Jak by tu ułożyć to lego, gdy ono, każdy klocek jest z innej firmy, i nijak się nie szczepiają, każdy jest nędzną podróbką, na tym zbudować można tylko połamańce i wykolejeńce. Ten dzień jest pęknięty już od samego początku.

Oczy otwarte zbyt gwałtownie.

Ała.

Kontynuujemy wegetację, przypominając sobie podstawowe fakty: Sonia nie ma pieniędzy na śniadanie, ma długi i pokój, na który ją nie stać. Ma ten swój za duży pokój za 6 stów, w którym jest miejsce do robienia wszystkiego, ale ona rzadko zapuszcza się poza obręb łóżka.

Ogląda tylko filmy z martwymi aktorami i czyta książki ludzi, którymi chciałaby być. Albo ich znać. I tylko z nimi spędza czas. prawdziwych nie może wytrzymać. Szuka pracy na leżąco. Jest teraz stara. Ma już 25 lat, więc jest już na wszystko za późno. Na część rzeczy jest już za stara, na resztę już za późno. I ciągle chce być kimś innym niż jest. Chce być białym krukiem, ale zamiast tego jest tylko białą kobietą.

Wspomina wczorajsze, a raczej sprzed przebudzenia wypadki. Było smutno, a teraz jest jeszcze bardziej smutno. Chodzi o ten smutek co zawsze, ale trudno go opisać, więc potem to sobie przemyśli. Jest z powrotem u siebie ze współlokatorem, którego na szczęście nie ma i którego już dawno nie było, a którego dźwięków smsa nienawidzi, którego dźwięków telefonu nienawidzi, którego tembru głosu nienawidzi, na którego nigdy nie patrzy, bo nie.

Sinatrę sobie włącza. Z wczoraj zapamiętała dwie osoby, które zapisuje w zeszycie.

Pierwsza. Azjatka. Podejrzewa, że Koreanka, bo piękna. Chude ramiona, z dolinami i wzniesieniami mięśni, takie ramiona jakie Sonia chciałaby mieć. Pełne, łakome usta koloru cappuccino. Stopy baletnicy, tak myśli, chyba halluksy, dość zniszczone, zużyte, ładne stopy. Miała całą historię o niej wtedy, siedziała naprzeciwko niej w tramwaju, już nie pamięta o co w tym chodziło. Była na pewno zdenerwowana, była czymś zniecierpliwiona i narwana. Nic więcej nie pamięta.

Ale i tak lepsza była ta druga. Z lotniska. Okropne lotnisko, hala sklepowa, pusta, bez echa. Była wysoka i chuda, ta dziewczyna. Spodnie miała obfite jakby to była spódnica, czarne w groszki, skórzaną kurtkę w dziwnym nieokreślonym kolorze i fasonie, długie, falowane ciemne włosy. Jaśniejsze ich kosmyki błyszcząły od słońca w świetle syczących jarzeniówek. Twarz w kształcie kwadratowego serca. Błada z czerwonymi ustami i cierpieniem. Chyba miała za dużo bagażu, coś było nie tak. Chowiała twarz w dłoniach, nie chcieli jej odprawić. Jej facet chudy, wysoki bogaty murzyn w kapeluszu pocieszał ją od niechcienia. Dłońmi o palcach jak jakiś architektoniczny szkielet tłumaczyła mu niemo, bo Sonia była daleko by ją

słyszeć, że ma rację w swym nieszczęściu, że naprawdę jest źle. Sandały, wystające spod spodni palce. Piękna. Sonia tak się za nią oglądała, że czuła się podejrzana o wszystko, choć nigdzie nie leciała i nie miała nic do oclenia. Znalazła się tam przez przypadek, wsiadła w zły tramwaj, albo wszystkie tramwaje jechały na lotnisko. Chciałaby lecieć tym samym lotem co ona, to by było gwarantem, że nie spadną, albo przynajmniej, że jeśli tak, to że nic nie szkodzi. Ale ona by pewnie leciała gdzieś dalej. I nikt na pewno by nie spadł.

Od jej powrotu ze szkoły do domu minęły dopiero dwa dni. Szybka i cicha kalkulacja w temacie jednostki czasu. Wynik jest niepewny, najpewniej zły. Potem się tym zajmie, teraz czas na przyjemniejsze tematy.

Ale o czy to ja myślałam? A tak. Ktoś wchodzi, a ja dyndam z sufitu. Raczej bym spięła włosy, ale nie przebierałabym się specjalnie. Nonszalancja w każdej sytuacji. Sonia wyobraża sobie niechlujnie narzucony podkoszulek, odsłaniający jedno ramię, chaotyczna fryzura, niedokończony warkoczyk, spinka z czarnym kwiatem. Musiałaby postawić krzesło na krzesło, żeby w ogóle uskutecznić taką akcję, sufit ma tu około trzech metrów wysokości, nawet ponad. Sznureczki od getrów smętnie powiewające, ledwo dotykające podłogi, sznureczki z pomponikiem różowym, dziura na pięcie typie zrogowaciałym naskórkiem. To by nie wyglądało dobrze. Wołałaby, żeby potem już nic nie robili z jej ciałem, żeby nawet jej nie przebierali, a już na pewno nie myli. To jest kwestia, która ją zawstydza i psuje całą wizję i na tej myśli zawsze kończy rozważania, zawsze tak samo.

Łazienka, prysznic.

Wszystko szumi i pulsuje, ciało i krew i włosy. Od tego jest dobrze zacząć dzień, wymaga to pewnej odwagi, choć na nic nie zdaje się szorowanie, bo to wciąż tylko skóra i skóra. Brak opcji: wypluć jelita i

wypucować je szczotką od butelek, wypłukać cały ten syf zalegający w zakamarkach, resztki zgniętego żarcia sprzed kilku miesięcy. Żaden prysznic nie wypłucze ogromu smrodu, którego nawet nie przeczuwasz, że ci siedzi w brzuchu. Te zapachy wydobywające się z ust nie są w porządku. Mięso źle trawi mięso. Żeby tak przez pępek móc zajrzeć do środka, wywietrzyć żołądek, wywrócić na lewą stronę, wytrześć ten brud za okno. Sonia boi się ludzi, którzy się nie boją, że z słuchawki prysznic zamiast strug wody wypełzną im prosto we włosy zwoje glist. Woda w rurach szumi, wlewa jej się do ucha ten hałas. Zatopiło się w nim to, o czym było myślane przed chwilą. Już nie pamięta.

Wolałaby kąpiel i to najlepiej w wodach płodowych swojej matki. Można by wszystko zacząć od początku. Odpocząć. A tak, jej włosy oblepiły słuchawkę od prysznic, zakneblowały zupełnie odpływ, że stopy taplają się w ciepłych i lepkich mydlinach. Wyciągnąć ten syf palcami, spaghetti z włosów, jeszcze jakieś fufle oprócz tego. By się zwymiotowało siebie. Łazienka pogrąża się na chwilę w czarnych oparach myśli, ale nie ma tak. Zakłada porannik w chmurki i deszczyk, prujący się frotte, o krawędziach tyleż obszarpanych, co czarnych. Parzy sobie kawę bez mleka i bez cukru. Wyciąga baterie z budzika, który i tak pokazuje jakąś godzinę z przeszłości albo przyszłości i nabija nimi pilota.

W telewizji dudni wywiad z nieznaną polską aktorką, o tym, że aby zagrać rolę weterynarki w najnowszym serialu trzeba przecieź choć trochę lubić zwierzęta, na co aktorka, że ja uwielbiam zwierzęta, wychowywałam się wśród nich od dzieciństwa, mieliśmy w domu psy, koty, chomiki, zwierzęta grają ważną rolę w moim życiu, nie wyobrażam sobie mojej przyszłości bez nich, a na planie spotka pani także duże zwierzęta: konie, krowy, nie boi się pani kręcenia tych scen. Boję się najbardziej kręcenia tyłkiem przed

kamerami, a oprócz to owszem, tak – to będzie prawdziwe wyzwanie, gdy pojawią się sceny ze zwierzętami z gospodarstwa rolnego, trzoda chlewna i bydło. Ponadto także gram w zespole muzycznym, w którym jednak nie tylko śpiewam, ale też piszę słowa piosenek i muzykę i myję kolegom instrumenty i ścieram ze stołu i poleruję ekrany telewizora od drugiej strony, bo mam wejścia. A ty wejdź na stronę i zobacz jak z tylnej ćwiartki przedniej jakości wołowiny robi się mieloną goleń w maszynie do golenia całej powierzchni ciała, sto procent lepszej świeżości i nie musisz iść do lasu, wystarczy do łazienki.

Ale Sonia woli siedzieć na materacu, w pipę kłuje ją fioletowa wsuwka do włosów. Rozgląda się po krajobrazie legowiska. SkoŹtuniona pościel jest za plecami, tego nie widać. Wyciąga przed siebie nogi, skopuje wyleńnięte i niemal płaskie od wyleżenia poduszki na podłogę, czy raczej w to co jest na podłodze. W nogach leży zeszyt z niedokończoną notatką, która jej się wymyśliła na pograniczu snu, nie do odcyfrowania na jawie. Przygląda jej się trochę. Dziwne, typowa reakcja na decyzje powzięte podczas bezsennej nocy, na strony zapisane bez skreśleń, jednym ciągiem. Zielony pisak, którym sporządzała swe nocne spostrzeżenia puścił farbę i bełkotem zielonego tuszu zaproponował jej test Roscharcha. Wygląda to źle. Rozwarta przed nią codzienna gazeta epatuje nieaktualną od tygodnia nudą, pomimo zwodniczo świeżego zapachu farby drukarskiej. Zaciągniecie się. Tak. Dobry papier. Ile trzeba się zaciągać zanim strona przestanie pachnieć? Bo dopóki pachnie to głupio ją czytać, nie można się skupić. Sonia prostuje nogę i zrzuca kłębek ciuchów, kobaltowe džinsy, koszulkę w pączki i jeszcze jakąś bieliznę brudną sprzed kiedyś tam. Jest 15.46, za późno na porządny dzień, ale za wcześnie na nocne zajęcia. Dobra pora na posiłek. Zakłada burą bluzę, topi głowę w czarnej dziurze kaptura, ponura nonszalancja. Sypie do miski czarne płatki

śniadaniowe, gorzko czekoladowe. Ziewa głośno i przeciągle, ostatnią nutę przechwytuje dźwięk nadchodzącego smsa. Lodzia. Ale dziwne, dopiero się śniła. Wieczorem będzie koncert. No to uratowana, poukładało się samo.

Potężny, włochaty, niedźwiedziaty. Kostropaty. Małe szparki oczu, nieuczczesane brwi, zmierzwione rzęsy. Zarost w nieładzie. Kucyk oraz pejsy. Górskie buty, polar, koszulka z napisem „*let's get united*”. Na to koszula flanelowa w czarno-czerwonej kratę. Kroci chleb niedźwiedzimi rękoma, na myśl o posiłku włoski na dłoniach stają mu dęba. Grube pajdy pszennego chleba opadają miękko na drewnianą deskę, poznaczoną rysunkami licznych przygotowań do posiłków. Margaryną wypełnia Roman wszystkie dziurki i szczeliny w kromkach, nakłada grube plastry suchej krakowskiej. Starannie rozprowadza majonez po każdym plasterku kielbasy. A teraz najlepsze: z rozbrajającym przekonaniem zatapia zęby w kanapce, odrywa spory jej kawałek, dociska zębami stawiające opór skórki chleba. Czynność ta powtarzana jest przez Romana wielokrotnie, kolejno ze wszystkimi sześcioma przygotowywanymi kanapkami. Popija herbatą. Roman zawsze popija na samym końcu. Nie lubi mokrego jedzenia w buzi. Zostawia pół szklanki herbaty do popicia leków. Podchodzi do szafki ściennej i otwiera swój specjalny asortyment. Za oknem nad dachami świeci oszalałe słońce, wciąż niezmordowane, pomimo późnego popołudnia. I chyba już lipca. Renaty nie ma. Psów też nie. Roman uspakaja się stopniowo osiąganą sytością. Pralka co jakiś czas daje sygnał ostrym piśnięciem, że skończyła prac i domaga się rozładunku. Roman ignoruje ją, przechodzi do łazienki, staje przed sedesem, sika. Nie myje rąk, wychodzi.

Wchodzi do pokoju Renaty. Są tam zdjęcia w ramkach. Na jednym z nich jest mały Romek w krótkich džinsowych spodenkach, które znów są w modzie, ale teraz byłyby na niego za małe. Obok Renatka w białej sukience, z

koronkowym gorsecikiem. Roman zagląda Renacie do szafy. Czasem tak robi. Tam w kostkę poukładane ubrania: spódnice, koszule, spodnie, nic nie wisi. Nie ma Renata takiej przegródki w szafie na wieszaki. Jakby mu powiedziała, to by jej kupił. Wyciągnięta szuflada z bielizną kojarzy mu się z trumną pełną nakrochmalonej bielizny. Mama leżała w takiej trumnie pełnej koronek. Roman boi się dotknąć, boi się chrzęstu materiału. Boi się połamać majtki, staniki. Tak. Z bielizny Renaty Roman mógłby zdawać egzamin. I dostałby piątkę. Ale udaje, że w ogóle tego nie pomyślał. To w ogóle nie jest tu napisane.

Teraz włącza telewizor i ogląda telenowelę. Serialowe poczucie humoru nawet Romana wprawia w zażenowanie. Przełącza kanał. Reklama margaryny. Ale on lepiej potrafi wypełniać ubytki w pieczywie tłuszczem roślinnym. Kanał muzyczny. Ogołoczone z ubrań kobiety tańczą Romanowi taniec godowy. W głowie odtańcowuje im, a w telewizji czarnoskórzy tancerze robią to naprawdę. Tak by Roman nie potrafił. W telewizorze musi być niebezpiecznie.

Wieżowiec Adria góruje nad jednym z miejskich osiedli swoją koślawą i groteskową postacią nowoczesnego starca. Błyszczący szklistymi oczyma okien, pochyla się raz w lewo, raz w prawo, a raz na boki, bo zależy skąd patrzeć. Pomimo tego i tak staje w szranki z miejskim ratuszem i niektórymi co mniej skromnymi wieżami kościołów. Wieżowiec miał być perłą miasta, i to prawdziwą. Jak wielka to podróbka okazało się bardzo rychło. Adria zaczęła się chylić, przechylać i wahać jak wahadło zegara odliczającego czas, który pozostał jej jeszcze, zanim runie. Błąd architekta odkryto późno, bo po pierwszym przechyle z mieszkańcami już na pokładzie. Sztorm – medialny i socjalny - rozjuszył wieżowiec do granic jego wertykalizmu. Mieszkańcom odmówiono odszkodowań i nowej, prostej wieży, mieszkańcy odmówili ewakuacji, budynek zapoznawał się w praktyce z teorią grawitacji i to już od lat. Adria, która już dawno powinna upaść, stała nadal, czasami tylko bardziej a czasami mniej.

W tym to budynku mieszka matka Janka Wieży. Wysoka, chuda i zgarbiona. Kołysząca się na wysokich obcasach i na wietrze. Rzadkie w nieładzie włosy. Gdy zajmuje siedzące miejsce w tramwaju, stojący nad nią pasażerowie wnikliwie studiują jej liche owłosienie, tłustą u nasady, lejącą się białym wodospadem włosów, przedwczesną siwiznę. Mama Janka Wieży ma czterdzieści parę lat, połamane włosy, paznokcie i przeszłość. Nie ma o czym mówić. Matka Janka Wieży ma syna. Nie aż tak znowu dużo od niej młodszego. Ale pani Wieża daje mu wszystko, czego zapagnie. Ostre od krochmalu koszule, w pokoju śliską od pasty podłogę, lampkę przy łóżku świecącą w oczy całą noc. Gorący chleb prosto z piekarni codziennie parzy

go w palce. Mieszkają z Jankiem w dwupokojowym mieszkaniu na szóstym piętrze i cały widok z okna mają zawsze zaciemniony przez pochyłość budynku. To przez to Janek od dziecka był chęlny, biały jak kreda i bity w szkole. Mieszkańcy, których okna wychodzą na feralną stronę, żyją w nieustającym półcieniu, który jedynie pod wieczór pogłębia się, by zniknąć w mrokach nocy. Mieszkania trzeba więc doświetlać już od rana, nawet w słoneczne dni, rozżarzając je coraz bardziej im bliżej jest do zmierzchu. Mieszkańcy ze strony cienia częściej zapadają na depresje, krzywicę i choroby oczu, niż mieszkający od strony przeciwnej. Wzrok mają przemęczony od sztucznego światła, oczy łzawią gwałtownie, gdy tylko wychodzą na rażno oświetlone ulice.

Oprócz widoku z okna, kładącego się przed nimi cieniem, nie mają ci pechowi mieszkańcy zbytnio czego oglądać, bo pod ich oknami od dawna nie dzieje się nic, nie rośnie żadna roślinność, krzaki uschły już dawno, trawa pogniła, bo choć w tym miejscu pada mniej, niż obok reszty wieżowca, to za to wszystko też gorzej schnie, więc szybko zrobiło się tam piwnicznie i zatęchle. Stopniowo coraz mniej dzieci mieszkało w wieżowcu, bo ich rodzice, którzy może nie mieli równo pod sufitem, ale bardzo chcieli mieć, zmieniali adres w obawie przed nieprzewidywalnością tej kuriozalnej architektury. Te, które pozostały, straszły się wzajemnie „terrarium pod balkonami” albo „terytorium cienia”, stopniowo przekształcając ten teren w mityczną krainę, jakiś podwórkowy Hades; planowały podróże pod ciemiste krzewy albo pikniki pod wiszącymi balkonami. Co kreatywniejsi rodzice grozili dzieciom strąceniem ich najważniejszych zabawek w otchłań pod balkonami, tym samym generując sobie potomstwo grzeczne i poukładane, ale bardzo lękliwe, czasem tylko zza firanki zerkające w dół, ale tylko nocą, kiedy i tak nie

było widać gdzie co się kończy, a gdzie zaczyna. Dziecko matki Janka Wieży niczego się nie bało, dlatego zazdrościła innym sąsiadom potomstwa z szeroko otwartymi oczyma, dzieci czujnych i kruchych jak gałązki trzeszczące pod oknami, tak grzecznych, że płaczących zaraz po przebudzeniu.

Mieszkanie matki Janka Wieży jest trochę jak sklep z meblami. Całe wyposażenie i wszystkie sprzęty wyglądają jakby przyjechały prosto z fabryki, lśniące, już niemodne, ale nieprzemijalnie nowe. Strach usiąść w fotelu. Rzadcy goście mamy Janka W. parzą sobie dłonie gorącymi filiżankami z kawą, bo nie mają odwagi odłożyć ich na stolik. Nie ruszają ciasta z obawy przed zbombardowaniem dywanu okruchami i połamanymi kawałkami lukru. Wyobrażają sobie, że kiedy wyjdą, mama Janka W. obłoży wszystko przezroczystą folią, ciasnym celofanem, żeby przedłużyć przeterminowaną świeżość skórzanych obić, lśniących blatów itd. Gdy wstają od stolika, żeby uciec z tego rezerwatu, mają wrażenie, że nawet głębokie fotele, uwolnione spod ich tyłków wzdychają cicho ulgą o zapachu skóry, powoli pozbywając się odkształcenia w kształcie ich pośladków. Potem jeszcze tylko zbrukanie podłogi, stratowanie dywanika w przedpokoju, by już na klatce schodowej oddać się orgii tupania, ekscesywnego oddychania i łajdackiego opierania się o drzwi windy, żeby odzyskać równowagę estetyczną, do czego kontrast lamperii półpięter i zasuszonych kaktusów pochylających się tępo z dawnych doniczek, a teraz popielniczek, nadaje się fest.

Szóste piętro jest w sam raz, skoro jest winda. Widać pół miasta w oddali, ale tego co dookoła, to nie bardzo, ale kto by patrzył tam prosto w dół, oprócz samobójców? No chyba, żeby zajrzeć sąsiadce na balkon, przypilnować, żeby psy jej się za bardzo nie wychylały, podpatrzeć rośliny, czasem pana Romana, który wychodzi na chyba potajemnego papierosa i

czasem się nieprzyzwoicie drapie, bo myśli, że nikt nie widzi. Mama Janka Wieży wszystko widzi. Brud na tym ich balkonie też. Sąsiadka tylko na wiosnę sprząta, ona nie. Ona na balkonie co sobotę, łazienkę co drugi dzień, a resztę to codziennie. Dlatego nie może pojąć jak oni te kudłate psy mogą w domu trzymać. To trzeba by sprzątać dwa razy dziennie. Jej jamniczek to jednak co innego. Zresztą i tak go nie lubi, Janek dostał go dawno temu na komunię i jeszcze jakoś się trzyma. Rybki to co innego. Same się wyprowadzają na spacer po akwarium, jedzą mało i tanio, chociaż wydalają nieestetycznie. Psują swój rybi wizerunek, zakłócają symetrię, ośmieszają się tymi nitkami kału. Mama Janka Wieży zaraz to wyławia jak tylko zobaczy. Ciągnie się to i wije. Długo nie chce odpaść czasem. Albo osiąga trzykrotną długość samej ryby. Janek się z niej śmieje, a to on powinien to robić, jego rybki.

Zaczęło się od mieczyka. To była pojedyncza samiczka, którą trzeba było szukać po akwarium, tak się chowała w tej roślinności. Dlatego potem mama Janka Wieży wyrzuciła większość tych glonów i zostawiła tylko kamyczki i muszlę. Mieczyk miał na imię Pelusia i szkoda, że nie był samczykiem, bo potem w książce o rybach sprawdzili z Jankiem, że samczyki mieczyka są ładniejsze i mają mieczyk. Poza tym Pelusia szybko nauczyła się pływać na grzbiecie, a ponieważ Janek nie chciał się zgodzić, żeby spuścić ją w toalecie, pozwoliła mu spakować rybkę do pudełka po zapalkach i zakopać na ciemnym podwórku. Janek nie płakał jakoś bardzo, odprawił z kolegą Bartkiem skromny pogrzebik, żalobną wartę pod mrocznymi balkonami i prawie zapomniał o rybce. Ale jednak tylko prawie: po dwóch dniach postanowił sprawdzić co się z nią dzieje i odkopał truchelko. Do tego czasu Pelusia zdążyła puścić soki i zabarwić pudełko na pomarańczowo. Oprócz tego pobrudziła pomarańczowym sokiem Janka i jego drobne paluszki i zmoczyła cały kartonik pudełka po zapalkach lejącą galaretką swoich rybich

zwłok. Potem kupowali już tylko gupiki, bo więcej się ich mieściło w akwarium, no i nie miały koloru. Teraz mama Janka Wieży nie wie już nawet które pokolenie u nich pływa, ani od ilu lat trwa już ta hodowla. Gupiki nie składają ikry, więc łatwo je odchowić. Wyławia malutkie rybki sitkiem albo łyżką i do słoika. Jak podrastają, wpuszcza je z powrotem do akwarium. Musi je izolować, bo duże ryby jedzą małe ryby. Mama Janka Wieży nie może pojąć jak można zjadać własne dzieci.

Wyjście.

Jest sobota albo niedziela, weekend, ale dzień jest i tak bezimienny. Jest taki sam jak wszystkie inne. Miasto praży się jeszcze w słońcu, w jego ostatnich świetlistych ciosach. Miasto swędzi, pot i łój jełczeją zgodnie w zapchanych ciałami tramwajach, w kieszeniach potnieją bilety i rozkładają chusteczki jednorazowego użytku. Na ulicach pustki, na chodnikach jeszcze gorzej. Albo lepiej. Jest cicho. Ćwierka ten jeden ptak, którego Sonia zawsze rozpozna i bardzo lubi, ale nie wie jak się nazywa, ani jak wygląda. Topnieją w słońcu szyby sklepów zagranicznych sieci handlowych, wywożą je, kończą współpracę, kasują z tego kraju, zdzierają promocyjne naklejki, depilują wszystko z kurzu. Byłe okna wystawowe zieją niebezpieczną pustką, każdy się boi w nie zaglądać. Ale Sonię to nie interesuje, widzi coraz więcej pustych witryn, przestrzeni, które nie pełnią żadnej funkcji, łypią tym, czego już nie mają, łypią brakiem; na ludzi, którym coraz bardziej burczy w brzuchach i którzy pobożnie spuszczaają głowy w obliczu takiego spustoszenia. W ulicach da się zauważyć głębokie nacięcia spowodowane stopniowym usuwaniem szyn tramwajowych. Znowu remontują, albo może demontują. Z tych ran szarpanych w chodniku, spomiędzy obluźwiających się płyt chodnikowych zaczęły w końcu wypływać zaległości w pracy miejskich sprzątaczy, wszystko się wydało. Pokłady petów, guzików i skasowanych biletów z ubiegłej dekady chyba. Bystrzejsi wzrokiem dostrzegą obgryzione paznokcie i zatęchłe włosy. Bogatsi wyobraźnią raczej. Przystanki są oblepione ludźmi, ludzie przystający nagle na środku ulicy, ludzie uśmiechający się tępo w niebo. Wszyscy siedzą w słońcu zrobieni chyba alkoholem. Ciekawe czy tak wcześniej zaczynają, czy

jeszcze z wczoraj ciągną. Pociąganie nosem, zaciąganie się nimi, ich zapachem, nie wpływa dobrze na samoocenę. Przypomina o znikomości ciała, o jego nieustającym rozkładzie, który przystosowani społecznie ludzie zmywają z siebie co dzień poprzez słodką pianę z szamponów i kremów pod prysznic. Ci tutaj są jak leci, hodują soki, pozwalają rozkwitać gruczołom, cały czas pamiętają, że są i dlatego to jest smutne.

Umówiły się z Łodzią na wiadomo którym skrzyżowaniu. Tramwajem nie pojedzie, bo nie ma już szyn na tym odcinku. Generalny remont miasta o którym zapomniano uprzedzić mieszkańców. Jakoś niewielki ruch, w ogóle niewiele się dzieje w centrum. Co to jest za dzień? Sobota? Sonia zapaliłaby, ale nigdzie nie widać sklepu. Właściwie masę sklepów pozamykano, chyba kryzys jednak dostał czkawki. Nawet kosze na śmieci stoją puste, nie ma się co z nich wysypywać. Światła uliczne nie działają, nie wiadomo, czy stać czy iść. Ok, nawet chętnie pójdzie piechotą, poprzygląda się tym anomaliom, animozjom między miastem i jego mieszkańcami. O, jest jeden sklep, ale kolejka taka, jakby za darmo dawali, może jest jakieś święto, słyszała rano dzwony, ale oni nieustannie w nie tłuką i teraz też słyszy donośny grzmot, groźny, ale jednak jakoś kojący, dostojny i głęboki. Przez tę wyczyszczoną przestrzeń, Sonia już z daleka widzi Łodzię jak kiwa się na łańcuchu obok trawnika. Dresowa bluza, dół od piżamy chyba albo może to są legginsy. Okropna, sprana spódniczka w łabędzie. Tenisówki, zrolowane skarpetki, siniak. Wrastające w tydki włosy.

- Masz fajki? - wita się Łodzianka. Wszyscy wyjechali na wakacje, żaden sklep nie jest czynny.

Sonia łączy się w bólu, można by kogoś na ulicy poprosić, ale tego się nie robiło od czasów podstawówki, a dzisiaj to już łatwiej byłoby chyba coś samemu wyhodować na balkonie.

- Dobrze, że cię wyciągnęłam z tej chaty, zgnijesz tam dziewczyno. Do szkoły byś poszła, nie wiem, do pracy. Tej szkoły już nie ma. Co ty powiesz? No popatrz, wszystko likwidują. Nie, to raczej remont, chyba będzie nowy budynek, jakaś renowacja. Tę knajpę koło mnie też zamknęli. A właściwie była otwarta na oścież, ale strach wejść, siedzą tam teraz tacy. Piją tam. A chciałam zobaczyć o co chodzi.

Leniwie kierują się w to miejsce. Ono jest naprawdę niedaleko. Mijają tylko sklep żelazny i potykają się o byty szyld pasmanterii. Zbiegają ze skarpy. Z góry na pazurki. Podnosi się piach i kolanówki Łodzi zmieniają kolor. Przechodzą przez tory i oto są. Nieczynna nastawnia. Wygląda jak mały pałacyk. Bogata sztukateria na biało-różowej elewacji, z odcieniami szarości, grafitowa dachówka. Taras. Tradycyjnym tłem takich krajobrazów są rzadkie okazy śmiecia, połowicznie zdegradowane opakowania produktów dawno pożartych przez historię kapitalizmu, niedostępnych już w sklepach, a przez to wywołujących jęk nostalgii, podróże w czasie i skwapliwy sentymentalizm, chipsy ruffles, oranżada w proszku, plastikowe butelki browaru Jabłonowo. Wszystko to wyeksponowane na żyznym gruncie zbutwiałych szmat, zapleśniałych butów i stopionych słońcem siatek. Żywa tkanka niekończącego się rozkładu, którego historia jest zawiła, i co rusz przytrafiają jej się punkty zwrotne, nowe epizody w postaci kolejnych skrawków ubrań albo świeżej porcji moczu, która ewaporując pociąga za sobą kolejne wydarzenia, mineralizację łachmańskiej ściółki, tworząc z niej stopniowo solidne tworzywo przypominające w końcu asfalt, niosące echo przy stukocie kroków. Etap asfaltu będzie miał jednak miejsce kiedy naszych bohaterek

dawno już tu nie będzie. Stanie się to wtedy, kiedy nikogo już tu nie będzie, co pozwoli temu podłożu z syfu stopniowo, powoli acz systematycznie, kończyć się, skisnąć i wyparować, zniknąć z powierzchni kolejowego nasypu, który sam będzie stawał się coraz bardziej mglisty i niepewny własnych torów.

Lodzianin Korbas. Drapie się w kolano i świeżo wyczyszczone paznokcie są na powrót brudne. Tak. Napis na murze „Kroin” jest jebliwie seledynowy. Lodzianin patrzy na niego jak dziecko na pierwszą komunię. Robi zdjęcie komórką. Będzie jej się wyświetlało jak Kroin zadzwoni. Tylko jeszcze nie mamy jego numeru. Na razie zapisuje zdjęcie jako tapetę. Na drodze ewolucji gatunek ludzki powinien rozwinąć u siebie palce zwężające się, a przy paznokciu najlepiej zakończone stożkowato, bo takie by sprawniej niż niezdarne paluchy były w stanie dotykać żywotnych ekranów i naduszać te wszystkie miniaturowe klawisze i resetować całe systemy ukrytymi głęboko przyciskami.

Nastawnia nie jest duża, ale pusta, a przez to większa, a właściwie według Lodzianina jest to dom. Niby zapuszczony, ale jednocześnie zdaje jej się, że Kroin wyjątkowo dba by na taki wyglądał, taki styl. Nie, że tylko Ikea albo meblościanka. Są tam w środku ze dwa foteliki, wyrwane chyba z tramwaju, z obiciem we wzorki à la pałeczki bakterii coli. Nie ma nawet elektryczności, chyba że czasem mruga jak pomajstrują przy korkach. Ekstrawagancja. Wszędzie stoją miski z moczącymi się w nich gazetami, liśćmi i pończochami, już raczej galaretką po nich, do których skapuje woda z dziurawego sufitu. Na podłodze porobiły się kałuże, ale teraz to już tylko zaschnięte skorupy. Lodzianin Korbas jest jednak w stanie słyszeć dźwięk tych kropel, ich echo widocznie odbija się tu od ściany do ściany od dawna i nie może przestać ani się w końcu uciszyć. Sprawia to wrażenie jak gdyby odmierzanego czasu, nie

wiadomo tylko z jakiego świata pochodzi ta jednostajna miara i do czego zmierza. Po kątach leżą nadgniłe teletygodnie, ale nie ma telewizora. W największym pomieszczeniu stoi choinka, przyprószona przez pajęczyny i kurz, że wygląda to prawie baśniowo, prawie jak śnieg. Złoty łańcuch zgaszony brudnym pyłem spływa ciężko aż do podłogi. Kilka potłuczonych bombek jeszcze wisi, większość urozmaica ściółkę podłogową. Dopomaga im potłuczone szkło, kawałki gruzu, kilka sztywnych szmat, sporo petów. Przez brud i półmrok panujący we wnętrzu tworzą ujednoliczoną kolorystycznie masę, z której wyraźnie wyróżniają się do połowy wypalone świece o połamanych knotach, utopione we własnym wosku. Spod sufitu zwisają nieużytki pajęczyn, niektóre dziurawe i pozrywane pod naporem kurzu. Tak, tu działa grawitacja. Ubytki w otynkowaniu mają swoje odpowiedniki na podłodze, nawet szafa, która mogłaby przecież stać, leży brzuchem na ziemi. Tylko kurz wiruje, zwłaszcza pod światło to widać. Aż strach otworzyć buzię, bo to wszystko nawlatuje. A były głodne, więc Lodzia Korbas wyjęła z kieszeni wymięty plasterk salami.

- Z ręki? nie, dzięki. Albo pokrój na kawałki, nie pogryzę całego naraz. Może kluczem.

Lodzia zamiast poucinać jak należy zaczęła wydzięgiwać w plasterze różne wzorki i arabeski, jakby to miała być haftowana chusteczka. Tak zresztą zaczęła wyglądać, więc szkoda było ją zjeść. Wyjadły tylko mięsne pozostałości po dziurach, które zaraz powłaziły im w dziury w zębach. Wykałaczek nie było.

- no i wiesz przychodzę tu codziennie nigdy nie mogę go zastać może skoro jest podpisany na ścianie to tu mieszka podoba mi się ten napis mam taki lakier do paznokci tego koloru poza tym to ładne imię posprzątałabym mu tutaj gdybym wiedziała że to na pewno jest jego dom no i wiesz przeglądam

różne czasopisma dopasowują sobie co za aktorzy pasują twarzą do jego imienia żeby jak go zobaczę kiedyś przypadkiem na ulicy to żeby wiedzieć że to on no i wiesz, żeby nie przegapić takiej opcji i żeby zwłaszcza on też nie przegapił no i wiesz obgryzałabym za niego paznokcie nawet bym się nim opiekowała najlepiej jakby był na wózku wtedy bym decydowała gdzie i czy pojedzie bym mu zakładała i zdejmowała buty takie które sama wybiorę bym miała dla niego różne ubranka bym mu zmieniała majtki spodnie bym mu czesała włosy myła zęby wszystkie po równo nie ma że tylko te z przodu bardziej dietę bym mu ustawiła beztłuszczową bezminerałową no bo wiesz im słabszy byłby tym bardziej ja bym się zaopiekowała wytarła watką łezki i ślinę bym go zabierała na rentgen co piątek żeby zobaczyć co on ma w środku i dlaczego tak ma i czy się to przestawia i dlaczego nie albo tak

Sonia widzi napis „do rozbiórki”, co znacznie krystalizuje całą sytuację i z tego miejsca Sonia już wie, że Lodzia niechybnie oszałała, ale nie mówi nic, żeby nie pozbawiać jej wrażeń i marzeń i nie psuć jej tej fantastycznej konstrukcji zdarzeń, którą wygenerowała mając do dyspozycji jedynie napis na ścianie. W tej ruderze nie ma nawet zamków w drzwiach, tylko sznurowadła zwisają z klamek, na sznurowadła przywiązywane są drzwi do gwoźdźcia, który wystaje ze ściany. Lodzia Korbas patrzy na to wszystko:

- jasne jasne trochę tu dziwnie ale zwróć uwagę że całe miasto do rozbiórki się nadaje no i wiesz on po prostu idzie z duchem czasu jego dom jest nawet dalej jest w trakcie rozbiórki może by gazetę kupić i poczytać co się dzieje w ogóle no bo wiesz sklepy znikają, ulice rozczochrane, już nawet tabliczek z nazwą nie ma.

Ale, że Kroin tu nie mieszka, tego Lodzia nie widzi. Zahaczyła oczyma o jakiś piksel, o ogródek który mu się wyhodował w kuchennym zlewie i tego

będzie się trzymać. Jest bujnie i zielono. Lodzia nie widzi, że jedyne ślady na brudnej posadzce, to te zostawione przez nią i Sonię. Ale przecież wiadomo, że czego nie można zobaczyć na to nie należy patrzeć, więc Lodzia bierze sobie na pamiątkę kawałek nadzienia z materaca.

- Dobra idziemy już, wrócę tu później, zawiąż sznurowadła za sobą.

Znowu ulica. Ubyło pewnie kilka płytek z chodnika. Lodzia opowiada o planach na przyszłość.

- za granicą rozumiesz za granicą jest więcej tego co tutaj i lepsze za granicą nikt mnie nie zna tu też nie ale tam na pewno nikogo nie spotkam na ulicy na pewno nie będzie podobnych ulic co tutaj jedyne co to że Kroin nie jedzie ze mną jest trudno uchwytne ciągle w biegu trudno go złapać ale staram się i wiesz kwestia założenia rodziny.

Najbardziej jej szkoda elementarza, nie chce żeby jej dzieci nie miały elementarza. Jest jednak przywiązana do tradycji i woli jak literki stoją w szeregu i porządku zgodnym z językiem w którym ona potrafi się komunikować, a taki język jest tylko jeden.

Sonia też rozważa w głowie taki pomysł. Pomysł wyjazdu. Da się udźwignąć. W sumie ok. Zawsze chciała wyjechać. Do Kalifornii. Wyobraża sobie to tak: palmy, czysty piasek na czystej plaży. Bez naskórka i paznokci jak u nas. Bo jednak największym zbiorowiskiem wszelkiego paskudztwa, brudu i wszelako pojętego syfu jest piasek. Są go miliardy ziarenek na każdej plaży i każde z nich zostało prawdopodobnie choć raz tknięte spoconą łapą, przygniezione tłustym dupskiem, obsikane, oplute, pobrudzone jedzeniem. Całe jego tony przeorane chapaniem w piłkę plażową, której wszyscy nienawidzą, ale każdy w nią gra, jest po stokroć udeптany, rozkopany, ubity, rozbity, rozbebeszony, każde jego ziarenko jest przeпосone do prawie że

rozpadu na jeszcze mniejsze cząsteczki, dochodzi tam prawie do rozszczepienia atomu, to grozi końcem świata. Ale tylko tu, a nie w Kalifornii. Tam jest prawdziwa bryza, a nie brise z odświeżacza. Dużo ciała, kolana, łokcie, wszystkie zmarszczki między palcami na wierzchu, opalone wszystko. Suburbia. Przycięte co do milimetra trawniki. Płaskie dachy i brzuchy. Motele. Na pustyni. Po schodach do góry wejście. I basen. Za dużo filmów dziewczyno. Choć to naprawdę tam istnieje, w końcu gdzieś musi. W motelowych pokojach półmrok, zaciągnięte rolety. Tępy żar, piąta po południu. Mała, bucząca lodówka pełna żółtego piwa w drobnych butelkach z przezroczystego szkła. A nie z brązowego. Podwójne łóżko w nieładzie, nuda i upał. Bzyczenie komara. Dużo piaszczystych dróg, piekące słońce. Tam zawsze mają sierpień. U nas tylko w sierpniu. Nigdzie nie trzeba iść, bo każde miejsce to jest to miejsce. Amerykańscy chłopcy też są bardziej. Jakkolwiek. Wszystkie historie wymyślone tutaj, tam się już stały. Spaceruje i nigdy nie jest dość niczego. Lenistwo w słońcu, wyciąganie nóg, długich i opalonych. Nie łapie żaden skurcz.

Udaje im się znaleźć otwarty sklep i żadnego zysku sprzedawcę. Jest drogo. Kolejka jest długa, ludzie biorą tyle na ile pozwala im portfel, skazując większość produktów na niechybne zgnicie i spleśnienie. Ekspedientki się nie spieszą, bo już im jest wszystko jedno. Rozmyślają o tym, że nie znają smaku, a czasem nawet nazw egzotycznych owoców które sprzedają, bo za mało zarabiają, żeby same mogły je sobie kupić, więc marzą teraz o tej samej pracy, ale w ciepłych krajach oraz z przysługującą im przerwą na pójście do ubikacji i wypicie firmowej kawy z papierowego kubka.

Papierosy kosztują trzy razy tyle, co normalnie. Przy wyjściu zaczyna buczeć czujnik kradzieży, chociaż nic nie ukradły. Robi się awantura, bo

kolejka żądna jest produktów i jak najszybszego wyjścia ze sklepu na słońce, którego już niewiele pozostało w lokalnym wydaniu. Więc ci wszyscy źli i głodni zaczynają się podwójnie pocić, bo też ze złości, poza tym sami również czują się okradani z czasu, więc łypią na Sonię i Lodzię, a ich źrenice przybierają kształt pięści. Na to one prezentują gawiedzi chaos swoich torebek, puste dłonie i umykają w akompaniamencie złorzeczeń i wrogich pomruków.

To wszystko przez Sonię, bo ona ma dziwaczne skłonności elektromagnetyczne. Automatycznie otwierane drzwi nie reagują na nią, więc nie może wchodzić czy wychodzić do dużych sklepów bez eskorty przypadkowych przechodniów. Na zakupy do supermarketu chodzi z własnymi torbami, nie ze względu na ekologiczny szal i ckiwe podejście do świata, ale ponieważ metalowe wózki sklepowe raczej nie godzą się na współpracę z Sonią, kopiąc ją prądem przy każdej próbie kontaktu. Za to alarmy na fotokomórkę, inicjujące wejście klienta do sklepu, ignorują ją, zaciekle piszcząc przy wszystkich innych. Ta śmieszna przypadłość jest obiektem żartów, dziwowań i teorii spiskowych autorstwa każdego, kto jest jej świadkiem. Sugerowano jej już przekwalifikowanie na karierę przestępczą, snując rozważania nad kwestią jej rejestrowalności przez miejski monitoring. Być może za sprawą swej efemeryczności mogłaby żyć z drobnych kradzieży o gumie do żucia i soczkach z rurką. Być może odrobina brawury mogłaby odmienić mętną breję jej perspektyw życiowych. Nic za to nie pomoże życiu uczuciowemu, które nie tylko nie rokuje dobrze, ale w ogóle nie ma takiej kategorii w biografii Soni. Powód prozaiczny, ale niemożliwy do zignorowania, czyli wyładowania elektryczne przy wszelkiego rodzaju kontaktach fizycznych z wyjątkiem uścisku dłoni. W tym Sonia jest naprawdę dobra, mistrzowsko

ściska dłoń. No. Każdy to potwierdzi. Rozwinęła umiejętność różnego rodzaju uścisków, wielu opcji, taktyk, sztuczek stosowanych w zależności od okazji i ściskanego. Zawsze pierwsza wychodzi z inicjatywą, żeby nie doszło do całowania się w policzki z obcymi. Bo ona po prostu woli, żeby jej nie dotykać.

Jedyna miłość Soni: K. Poznali się pod koniec ferii zimowych dwa lata temu. W dzień jej wyjazdu grali w kręgle. Kule latały w swoich korytkach, kapitulując w obliczu kręgli. Potem trzeba było iść do domu ostatni raz. To był luty, noc z trzeciego na czwarty, Sonia dokładnie to pamięta. Do domu było daleko, nic już nie jeździło, a nie miała kasy na wypożyczenie miejskiego roweru, którym zresztą nie umiała skręcać, ale wstydziła się przyznać, więc K. odpiął jeden dla siebie i kazał jej usiąść w koszu przed kierownicą. Jechali tak chwiejnym slalomem, ocierając się o słupki i pnie platanów. Bolał ją tyłek i była zadowolona. Przy Pont Morand zsiadli z roweru i dyszeli w noc. K. z braku tchu, Sonia z przejęcia. Trochę popłakiwała, więc K. chwycił ją za rękę. Kopnął go prąd, a sygnalizacja świetlna po drugiej stronie ulicy mrugała ostrzegawczo na czerwono. I wtedy K. nagle, bez zapowiedzi czy pożegnalnych deklaracji, wsiadł z powrotem na rower i bez słowa odjechał w noc. To było jak zrobienie zastrzyku bez uprzedzenia. To była dobra robota.

Papierosy zakupione za ostatnie wystraszone swoim niskim nominałem pieniądze, pachną palonym kurzem i tak smakują. Lodzia zagląda do środka, ale nie, jest tytoń zwinięty. Obie pomalowały się czerwoną pomadką Lodzi, rażącą czerwienią. Wszyscy którzy mijają je na ulicy o razu wiedzą, że na pewno nie jest tak, że każda ma własną, tylko, że jedna się pomalowała i

druga też chciała. Wszyscy patrzyli na pomadkę na ich ustach i obstawiali, że Lodzia jest jej właścicielką.

Koncert. Jest głośno. Całe ciało chce wyjść, zanim jeszcze wejdzie do środka. Drgawki, pozoła. Wszyscy się bawią i Sonia przysięga, że też się bawi, ale po prostu tego nie okazuje. Bawi się, stuka palcem o krawędź baru i przygląda się butelkom z trunkami. Szybko się upija dwoma piwami, kilkoma haustami. Myśli co by było, gdyby musiała z jakichś niezależnych od niej przyczyn wypić je wszystkie, te wszystkie pstrokate alkohole. Wszystkie whisky, giny, wódki, rummy, wina i burbony. Gdyby ktoś jej kazał. Umarłaby i byłaby to taka głupia śmierć.

Zamawia kolejne piwo. Obok niej jakaś dziewczyna tańczy jakby w amoku. Jej miękkie włosy nie ścinane chyba od pierwszej komunii świętej, przypominają fale karmelu jak z reklam batonów, ale jakby ich dotknąć, to pewnie sztywnieją, stężały karmel, za dużo lakieru do włosów. Dziewczyna tańczy swoje, jej tyłek swoje. Sonia nie chciałaby tak umieć, bałaby się, że jej odpadnie.

Nie ma w ogóle sceny na tym koncercie, zamiast tego pośrodku sali stoi furgonetka obsmarowana smołą albo czarnym flamastrem. Zwisa z niej taśma magnetofonowa, wideowa, ale to jest naprawdę, a nie na kasecie. I jeszcze jakieś sztuczne wodorosty oprócz tego, dla ozdoby. Dwóch facetów w kominiarkach bardzo głośno krzyczy i gra. Mają ładne torsy, piękne ciała, gołe, opalone torsy. Kiedy się nachylają wszystko zgadza się jeszcze bardziej, mięśnie grają lepiej niż oni, na pewno. Sonia przełyka ślinę z piwem. Ale by chciała. Żeby. Ten, który ma rakieta na szyi. Żeby ją tak. Żeby właśnie tak. O. O tak. Lodzia gdzieś poszła. Ona tu wszystkich zna. Choć w ogóle mały jakoś ten tłum. Wyszczerbiony, z lukami osobowymi, musi chrząścić, żeby być

gęstym. Dlatego się wszyscy ocierają. Oprócz tego w kominiarce na furgonetce, a mógłby się też otrzeć. Coś tam podryguje Sonia. Żeby schować

zmieszanie w ruchach, żeby nie wypaść z rytmu, żeby zasilić ciżbę, spójność zachować, żeby nie było problemów. Ale ten na aucie bardzo się rusza, skacze, wygina, tors mu się pręży, na oczach tłumy wyciskają się z porów kropelki potu. Pycha. Bardzo się rusza ten samochód, wodorosty drżą, taśma powiewa. Nie, taśma się drze, wpada pod nogi słuchaczom, a oni się na tym ślizgają w amoku zasłuchania. Wielkie cięcie pod sceną, publiczność wycięta w pień, do poziomu. Sonia pomaga wstać dziewczynie, która ląduje jej pod tenisówkami. Ruda burza włosów kołtuni jej się symultanicznie do krzyku ze sceny, piegi sypią się na ziemię. Dobrze, że usta jej nie popękają, piękne, nabrzmiałe. Ale dziewczyna chce się odwdziżyć za pomoc. O tak. Ona poniesie pomoc nieruchawym, którzy nawet nie wiedzą, że potrzebują pomocy, więc wtapia Sonię jednym pchnięciem w to, co pod sceną, w pozycje z gruntu horyzontalną, w styl motylkowy przez ludzi. Ale tam jest głośno. We wszystko, nie tylko w uszy. Rwie się tętno, puls i oddech. I włosy. A potem już bluzka i szlufki od spodni. Zaraz zgubi pasek, a wtedy zgubi wszystko.

Jest jak w basenie, to był skok do wody, jedna cząsteczka tlenu i dwie ludzi. Główna składowa: pot. Pochodzenie: nieznane. Skład potu: woda, tłuszcz z kebaba, związki mineralne, takie jak miedź, żelazo czy cynk. Substancje pomocnicze: antyperspirant damsko-męski, woda toaletowa, ślina, łojotokowe oraz atopowe zapalenie skóry, opryszczka pospolita, łupież. Paznokcie pochodzenia naturalnego, a także nie.

Wojna. Facet na aucie gulgotcze do mikrofonu. Ma niebywale kompulsywne zachowania, częstotliwość jebnięcia w instrument

nierejestrowalna normalnym okiem. Emituje ślinę w eter. On oraz Sonia oraz wszyscy inni. Ilość słuchaczy wzrasta, wygląda na to, że całe miasto kumuluje się stopniowo na tym koncercie, że są tu już młodzi i starzy, matki z dziećmi, samotni i towarzyscy, wszyscy ci, których nie było dzisiaj na ulicach, ani w sklepach, ani po klatkach schodowych. Jest pełno tych dziewczyn z tak opiętymi spodniami, że zaraz im pękną. Sonia zazdrości im ulgi odczuwanej po zdjęciu tych spodni. Na parkiecie rozrasta się mięsiste pnącze splątanych, ludzkich kończyn. Męczące patrzenie na dziewczynę która męczy się na parkiecie. Inne migawki. W jednej z nich Lodzia. Czaruje, bajeruje pod sceną. Więc w tamtą stronę czołg. Czołg, siniak na kolanie, rozmazane oko lewe, brew w nieładzie, samoocena o 60% w dół, potargana resztką ciucha, czołg.

- co się tak czołgasz? – Lodzia nadmiernie wydyma usta, nadmiernie wydmuchując niedostatek zgromadzonego w płucach dymu. Średnio umie się zaciągać, golizna jej wystaje, może by ją ubrać, każdy śmieje się ze swojej koleżanki, nasza koleżanka ze studiów, wszyscy ją znają, ona nas wszystkich zna. Lubimy się, bo jest zawsze śmiesznie jak Lodzia pokaże na koncercie pupę, albo ukradnie piwo ze sklepu. Wszyscy jesteśmy zawsze bardzo ciekawi, co nasza koleżanka Lodzia zrobi następnym razem. Kiedy pojawia się w polu widzenia, wszystkim zaraz poprawiają się humory i przechodzą w stan oczekiwania, na sensację, na rewelację. Na Lodzię wdrapująca się na scenę, pomimo bramek, wchodzącą do ekspozycji galerijnego pomimo jego kosztu przekraczającego roczny dochód pkb całego narodu.

Co tam Lodzia? Masz tu brudne, a nie, ty taka jesteś po prostu. Co tam robisz w wakacje? Kiszyniów? Dzika Republika Konga? Masz fotki? Ty się napraw Lodzia. Lody Gozo. Lodzia, weź ty się wiesz co. Co tam chcesz. Obok stoją inni ludzie ze szkoły, Milena i Ania M., i pełno ludzi, których nikt nie zna.

Sonia siada koło nich cicho jak dziecko przymuszone do modlitwy, które nie wie co powiedzieć głuchemu Bogu. W dzieciństwie zamiast z nim rozmawiać, Sonia prowadziła te mętne interesy. Myślała sobie, że on ma ten przykry obowiązek projektowania codziennie tysięcy nowych twarzy z wciąż tej samej, ograniczonej liczby elementów: ust, nosa, oczu. żeby było jeszcze więcej ludzi. Żeby go trochę odciążyć, Sonia pomagała w wymyślaniu, tworzyła w głowie portrety osób, których nigdy nie widziała, którzy jeszcze nie istnieją, twarze zupełnie wymyślone, chociaż rzeczywiste. W zamian chciała mieć tylko drobny udział w tym opiewanym w pismach procesie twórczym. wiedzieć, że Bóg gdzieś tam tworzy ludzi z twarzami jej projektu. Żadnych rozmów, tylko biznes.

Tu są same obce twarze, niektórzy mają przesrane, dostali takie, że nie sposób traktować ich poważnie. Sonia boi się, że to może być jej wina.

– Chcesz iść dalej? – pluje retorycznie słowami, z nadzieją, że trafią Łodzi do ucha, że nie zmiążdży ich łoskot decybeli. Komunikacja przebiegła pomyślnie, zgodny odwrót spod sceny wprost w ciała. Na horyzoncie jedynie dalsza część ludzi. Starają się uchwycić odpowiedni kadr. Wyjście. Żeby nikt nie włąził w kadr. Lewe oko, prawe oko. Nie da się zrobić zdjęcia pamiątkowego z tego miasta. To miasto nie chce dać się zapamiętać. Można najwyżej kupić miejskie pamiątki, pręgierz w kapsule z wodą, ze śniegiem. Jak potrząsniesz, to jest zawierucha, zamieć śnieżna. Pod pręgierzem stoją ludzie. Musi tak być, bo wszyscy zawsze umawiają się pod pręgierzem. Inna pamiątka, spod opery. Erekcja fontanny przyciąga tłumy. Woda się praży na skórkach, niektórzy prażą sobie na rękach dębowe liście. Potem wysuszone zwijają w bibułki i palą. W ten sposób to miasto odlatuje, odlatuje w dal i mieszkańcy mogą sobie wyobrazić, że w końcu się uwolnili, pojechali dalej, do ciepłych krajów i że się opalają, a te odpryski z fontanny, które na nich

68

padają, że to ulewa na pustyni Mojave i potem długo nie mogą otworzyć oczu bo im zaschły razem powieki w tym upale i lepiej żeby ich nie otwierali, bo po pierwsze jeszcze im się podraża, a poza tym wtedy się wszystko okaże, wyjdzie na jaw zła prawda i oszustwo zza zamkniętych oczu.

Otwartymi za to oczyma można zobaczyć amatorski plan filmowy. Bo znajdują się wnet w mieszkaniu studenckim, do którego Ania M. zgarnęła wszystkich, by potowarzyszyli jej na planie filmowym jej pierwszego autorskiego pornola, którego jest producentką, scenarzystką, reżyserką oraz w którym występuje jako aktorka pierwszo i jedynoplanowa, jako swoja własna dublerka i asystentka, a w gruncie rzeczy gra po prostu samą siebie: prosto i naturalnie. Ma własny sprzęt, aparat fotograficzny, statyw i lampę biurową, ale za to z ogromnym kloszem. A zatem: światło, kamera, akcja, zamiast klapsa ciach stanik nożyczkami. Pierwsze ujęcie, czyli leje się biust, sypią się włosy, przewracają się oczy. Trzy przysiady, trzask, to kolana strzelają do wtóru z podwiązką i wtedy, już po pierwszym klapsie, pada pierwszy klops na planie. Aktorka zapomina tekstu.

Miała na kartce wszystko wypisane, jakby mało tego było, ćwiczyła w domu zarówno w teorii jak i w praktyce, przed lustrem i pod blokiem. Wygłosiła kwestie „aaach”, „uh”, „taak” ze szczególnym naciskiem na „a”, w dowolnej kolejności i konfiguracji, dalej kilka rozkazów i nakazów, ale kilka elementów jej się pomyliło i złało w jeden spazm, ślinotok języka uciechy. Zapomniała kroków, ruchów, potknęła się o pończochę, upadła i oto jest, katastrofa. Ma orgazm, prawdziwy, nieudawany. A przecież ona tu kręci wideo, film, ale wcale nie dokumentalny ani przyrodniczy. Wszystko nie tak. Wymachuje włosami i rajtuzami, że to przez nich wszystko, przez publiczność tłumnie zgromadzoną w studio, nigdy nie miała tylu widzów na raz, a ma słabość do

audiencji, przyprawia ją o rozkosz. Więc zbiegają teraz schodami, uciekają śmiejąc się w brudne piąstki, myśląc o dalszych zdarzeniach bieżącej nocy.

I tu następuje przewinięcie taśmy do przodu, w akompaniamencie szumu w głowie i braku pamięci.

Scena druga.

Duże, zimne pomieszczenie, dookoła papiery, brud, sztalugi. Ani chyba, czyjaś pracownia. Jest dużo później. Jest już jutro. Znowu. Na szaropomarańczowym tapczanie śpi Lodzia w kurtce i rękawiczkach. Wszyscy mają kurtki, a rękawiczki ci, co akurat nie palą. Skąd oni mają rękawiczki w środku lata? Oprócz ich dwójki jest jeszcze w pokoju czterech facetów, w których Sonia stopniowo rozpoznaje kolegów ze szkoły, jednego tylko z koncertu, a jednego nie rozpoznaje. W kącie rozpalony piecyk emituje wokół siebie temperaturę dodatnią, więc Sonia szybko podchodzi i wyciąga do niego ręce jak lunatyczka. Na ścianie nad głową Lodzi koślawy napis zielonym markerem „zbuduj z niczego pomnik jana pawła drugiego”, pisownia oryginalna. Nad drzwiami krzyż, orzeł bez korony, do drzwi przytwierdzone te coś do wkładania flag, ale puste.

Dziwny jest ten czwarty, którego Sonia nie zna. Jest jakby dziurą. Gdyby go w ogóle tu nie było, to by go nie było mniej, niż teraz go nie ma. Paweł oczywiście węższy w poszukiwaniu instrumentów perkusyjnych, z kubłów po farbie robi sobie bębny, ktoś wspomina historię, jak bezdomny nie chciał od koleżanki ciastek i żądał chleba, bo nie da się przepuścić denaturatu przez ciastka bebe. To już ostatnia taka rozpusta, mamy denat, nitroglicerynę, to chyba dlatego tu jesteśmy. Ale, że się skończyło, to trzeba iść do sklepu, ja pójdę, Sonia chętna do asysty, chętnie zorientuje się, gdzie je wywiało, co to za ulica, co to za dzielnica.

- A co chcecie?

- Ja bym parówkę, ten. Nad piecem. Oparzył.

Paweł wymienia dalej, dokłada do piecyka, ten cały się chwieje, oparzył się aż zapachniało mięsem. Masz parówkę. Wysypują się z czegoś, co jest jakby przybudówką garażu za podwórkiem budynku, otwieranego na specjalną kartę. Sonia boi się, że przez nią coś nie zadziała, ale udało się, to chyba nie ten rodzaj energii. Stukot nóg na chodniku, chrzęst szkła pod obcasami różnego kalibru.

Podsklepowe sponiewieranie.

W nocnym pijany dziad obskubuje ukradkiem uschnięty pęczek pietruszki. Na nic mu się to nie zda, żona i tak go nie wpuści do domu, pijany przekwalifikuje wycieraczkę na poduszkę. Sprzedawczyni nawet go nie przegania. Kupują dużo alkoholu. Sonia już wszystko wie, także którędy do domu, ale Lodzia została na kanapie, więc wracają razem, na górze już cieplej. Szybko kogoś podsiada, fotel najbliższej pieca. Zatapia się w grząskich odmętach niewesołych myśli, więc zaraz dostaje wiśniówki z sokiem bananowym z kartonu własnozębnie rozszarpanego przez nagle ożywioną i całą w pąsach Lodzię. Piecyk parzy Sonię w policzki, wódka w brzuch od środka. Spierzchnięte usta szczypią od alkoholu. Pod wpływem gorąca nabrzmiały jej żyły, wystąpiły pod skórą jak poplątane zwoje kabli, przewodzących krew pod zbyt wysokim ciśnieniem do skomplikowanego sprzętu, w którym nic nie działa jak powinno. Gęsta siatka nabrzmiałych żył i niezdrowe podekscytowanie fizyczne sprawia, że Sonia czuje się jakby miała mieć zaraz zawał. Bim. Bam. Bom. Szast prast. Charczenie za mostkiem. A to nie rzeczka wcale.

Rwący potok potu po karku kapu kap, i do oka, ścina się tusz na policzku jak niemy wykrzyknik. Wydawało jej się, że stanęło jej serce, więc wstrzymała oddech, żeby nasłuchiwać i prawie się udusiła. Chłopcy

zastanawiają się czy w więzieniu można palić papierosy, czy to jest miejsce publiczne oraz jak bardzo. Przecież nie można wyjść na zewnątrz. Ktoś włącza japoński film, w którym jacyś panowie płaczą robiąc kupę. Uwagę Soni przykuwa topografia podłogi, która wygląda jak powierzchnia obrazu, jakby była pokryta wieloma grubymi warstwami farby, wielokrotnie zdrapywana i malowana ponownie. Powstały przez to małe leje, odkształcenia, wgłębienia i bruzdy. Przez czarny brud przezierają głębsze kolory, brunatności i popiele. Zamalowane włosy, kurz, grudki zaschniętej farby i inne drobne składowe brudu utworzyły jakby skamielinę, zostały uwiecznione na tej mapie, która była zapisem tajemnego życia brudnej pracowni Miłosza. Bo to jego była pracownia.

- Bo Sonia... mogę to powiedzieć? I coś im Lodzia opowiada po cichu, do ucha, muzyka gra głośno, zdradza największe sekrety, przeprowadza publiczną kompromitację. Sonia chce ratować swój honor i dobre imię, którego i tak nikt nie zna ani nie zapamięta do jutra. Podbiega do Lodzi.

- Nie, nie możesz tego powiedzieć, wypluj to – podkłada jej pod buzię otwartą dłoń, Lodzia wypluwa przeżute słowa, oblepione śliną, mokre i napęczniałe, z których nic już nie wynika. Sonia patrzy z obrzydzeniem.

- Gdzie moje imię? Połknęłaś? Lodzia dolewa wódki, pąsy wylewają jej się już na szyję, to wygląda jak jakaś choroba szyi, jak szyizm. Popijają, do jutra się wszystko zapomni.

Żeby uniknąć rozmów i mieć spokój, można się głęboko zamyślić, co jest nawet zgodne z rzeczywistością, bo akurat obmyśla się przecież projekt niekonwersowania. Nikt wtedy się raczej nie odezwie. Można chodzić na niekończącego się papierosa, akurat wtedy, kiedy inni właśnie wypalili swoje. Rozmowa przy papierosie jest czasem nieunikniona, ale rozmowy z obcymi są

łatwiejsze i bardziej niezobowiązujące albo mniej zobowiązujące. Można iść do toalety i długo czekać w kolejce aż się zwolni.

Można nie wychodzić z domu.

Błogie, samotne weekendy, toasty wznoszone za ciekawsze sny i upragniona nieobecność współlokatorów.

Sonia przygląda się wszystkim po kolei. Lodzia znowu wiedzie prym. Perkusja się rozleciała, piecyk dogasa. Oni się dobrze bawią, naprawdę. Znajdują z łatwością tematy do rozmowy. Teraz patrząc na nich z fotelowego dystansu, gestykulujących barokowo i rozmawiających w pijackim ferworze o CZYMŚ, nie mogła się nadziwić jak to możliwe, że wybrali jakiś temat, o którym rozprawiali, a który i tak był dla niej niewiadomą, bo nie brała udziału w rozmowie. Siedziała jak zawsze za daleko. O czym oni rozmawiają? O czym W OGÓLE można rozmawiać? Jak to jest, że im się to klei i każdy wie co kiedy powiedzieć. To jest jak zręczne odbijanie piłki, by podtrzymać grę i nie stracić punktów. A Sonia jest kiepska w takie gry. Sonia nawet idąc ulicą czuje się jakoś nie na miejscu, nawet jeśli jest to ulica przy której mieszka. Czasem myśli, że nie chciałaby być widziana przez siebie z zewnątrz, minąć samą siebie na ulicy. Za bardzo się garbi i im bardziej stara się przybrać normalny wyraz twarzy, tym bardziej chyba robi miny. Nie ma cierpliwości ćwiczyć przed lustrem, to jest nudne, a potem na zdjęciach wychodzi cała prawda, że i tak wygląda się inaczej niż się myślało, że się wygląda. Sonia nie jest brzydka, jest może trochę dziwna z twarzy, dlatego jak idzie ulicą, to najczęściej patrzy pod nogi. Jest to stare, dobre kłamstwo, że jak ty nie widzisz niebezpieczeństwa, to ono ciebie też nie zobaczy. To się nawet sprawdza.

Chyba, że obok Soni jest Lodzia. Wtedy można poczuć się normalnie i dobrze. Przez to towarzystwo jej istnienie zostaje potwierdzone, Lodzia jest jego świadkiem i gwarantem. Nie czuje się wtedy jakby znowu ktoś poszarpał na niej ubranie albo skołtunił jej włosy. Po prostu nie myśli o tym, że idzie ulicą, że siedzi w fotelu.

Teraz też są tu tylko ze względu na Lodzię. Soni nigdzie nie zapraszają, chyba, że czasem po prostu przychodzi z Lodzią. Wyobraża sobie zawsze niezwykle rzeczy jakie staną się jej udziałem, albo ekstatyczne rozmowy w jakich weźmie udział, albo przygody jakie mogą się zdarzyć, ale nic nigdy się nie dzieje, przynajmniej nie przy niej.

Przed okresem albo na wiosnę dominuje w niej przecucie, że akurat tym razem będą się z niej śmiać i zastanawiać się co tu robi, skoro nikt jej nie zapraszał, skoro nic nie ma do powiedzenia. Czasami snuje rozległe plany na temat tego co zrobi, albo co powie, jak się zachowa; ale okoliczności są zawsze inne, nie takie. Wszystko wygląda inaczej niż według wszelkiego prawdopodobieństwa powinno wyglądać. Więc Sonia ich wszystkich trochę nienawidzi, ale lubi tę nienawiść. I tak jest wyżej, dalej, lepiej niż oni; tylko, że nikt o tym nie wie. Katastrofa odrzucenia. Sonia jest taka silna, jest taka wredna właśnie dlatego, że jest słaba, więc nie bardzo ma inne wyjście.

Kiedy wychodzą zmęczeni z pracowni jest już rano, niedokończone, ale na pewno zaczęte. Ptaszki popiskują. Pada. Jedna kropla deszczu na centymetr kwadratowy co dziesięć sekund. Ale jednak. Idą nad rzekę, siadają na najwyższym miejskim wzniesieniu. Jest ciepło i światła ulicznych latarni kładą się niewyspaną pomarańczą na wodzie. Dopiero przy przeciwległym brzegu widać, że rzeka płynie, po ich stronie panuje bezruch. Siedzą na kawałkach gazet, żeby nie dostać wilka i piją piwo.

Słońce wstaje bardzo leniwie, wilgotna ziemia paruje. Jest mgliście i coraz słoneczniej. Dokostne zimno poprzetykane jest plamami słabego, ale stabilnego porannego ciepła. Świt. Górują nad nieruchawym miastem, uśpionym i ledwo żywym, które wygląda jak pomnik samego siebie.

Na szynach tramwajowych tańczą świetlne ogniki, rzucające przez światła przejeżdżających obok aut. Wracamy do domu, stoimy na pasach. Cztery łańcuchy migotających światełek, równoległe, błyszczące szyny ruchu dwukierunkowego nagle zatrzymują się zastygłe. Czerwone światło. Ta dziwna pora, świt, surowe ssanie w żołądku. Ptaki coś krzyczą, dopiero się budzą, albo może to oni je budzą i to jest taki protest. Jest szarawo, niewyraźnie, a z drugiej strony ostro, czernie drzew odcinają się bardziej niż normalnie na tle nieposłanego jeszcze nieba. Najgorsze jest mijanie tych, co już zaczęli, co są jakby o jeden dzień do przodu, bo my jeszcze jesteśmy na przykład na środzie czy co to był za dzień, a oni już mają czwartek rano i do pracy, ale co z tego? Nie chcemy takiego czwartku, już wolimy żeby ta środa tak nędznie dogorywała w nieskończoność. Już wolimy być przegrani, zaspani i niedobudzeni, po prostu dajcie nam spokój, dajcie nam dojść do domu nocą.

Sonia przygląda się czarnym sylwetkom ładującym swoje meble i cały wszechdobytek na ciężarówki albo dachy samochodów osobowych. Myśli o ludziach zawodowo noszących ciężary, dźwigających kilogramy za pomocą swojego własnego ciała, o całym tym jebanym wysiłku fizycznym, którego nie znosi. Przypomina sobie tych niebieskich ze szkoły, z ich gruzem. Ona cierpiała nawet wnosząc po schodach cięższe zakupy. Targanie za sobą odkurzacza osłabiało ją na resztę dnia.

- Więc już dobrze dziewczyno, idziemy prosto, idziemy tam przed siebie, nie zabłądzimy jak pójdziemy przed siebie - Lodzia prowadzi pod rękę.

To znaczy Sonia Lodzię. To nie jest bezpieczne. Wlazła obcasem w studzienkę, krótki postój, ewakuacja.

- Ale idziemy do ciebie, tak? U mnie mogą być rodzice. Idziemy do ciebie, idziemy do mnie, idziemy.

Droga do domu nie zostanie tu przytoczona z braku zarejestrowanych danych, to się jednak jakoś stało. Można było to zapamiętać, bo był to ostatni krajowy spektakularny powrót do domu. A tam. Mieszkanie nawykłe do obecności jednej tylko, konkretnej osoby zostaje zdemaskowane i odarte ze swojej wstydlivej intymności przez przybycie osobliwego gościa. Pokój nie został przygotowany na odwiedziny. Nigdy nie było takiej sytuacji, żeby ktoś obcy tu wchodził z nienacka. Pokój wpada w popłoch, ściany nad kaloryferami są okopcone ciemnym rumieńcem wstydu. Wszystko jest zawstydzone. Bałagan nie może się pozbierać. Nikt tu od dawna nie był oprócz Soni i ona się teraz wstydzi nawet klamki od drzwi. To znaczy nie, że wstydzi, ale nie jest jej pewna, bo nikt nie mógł jej wcześniej zweryfikować, użytkowaniem potwierdzić, że nadaje się do użytku, więc może to być nienormalna klamka. Lodzia jest zmęczona. Prosto na łóżko.

- Nie zaścieliłaś. Ja też nie ścielę, matka ścieli.

Rozgląda się po pokoju Soni. Nad biurkiem wisi odręcznie napisane flamastrem hasło: „umysł jest jak spadochron. nie działa kiedy nie jest otwarty”. Zaduch jest sztucznie jakby wyhodowany. W okna są wklejone fototapety; w jedno z tropikalną wyspą a w drugie z Toskanią albo Prowansją.

- Połóż się też. Ale fajnie zdjąć buty. Rajtuzy. Jak się przeciągam i naciągam stopy to mam zawsze skurcz, nienawidzę tego. Masz tu jakąś lampę? O kurwa, mogę u ciebie pracować jako sprzątaczką jak chcesz. Za darmo.

Lodzianka jednak wstaje, swędzą ją ręce. Zbiera szklanki, po pięć między palce obu rąk, wynosi do kuchni, potem jeszcze trzy co zostały, talerze. Ale myć jej się tego nie chce. Nalewa wody z kranu do pozostałych w szafce kubków i ładuje się na łóżko obok Soni, patrzącej już tylko na jedno oko, łyk, łyk. Obok niej leży kołtun z rajstop, szczotka do włosów i gazety różnej daty. Lodzianka bierze do ręki jedną sprzed miesiąca, ale wciąż nie przeczytaną, bo jeszcze widać po niej przeterminowaną nowość.

- Patrz, osiemdziesięcioprocentowa emigracja.

- To o nas? Mi tam nikogo nie brakuje, poczytaj na głos.

Odczytują z oszałamiająco pachnącej gazety, że cały kraj musi gdzieś wyemigrować, bo zamykają go, w ogóle likwidują cały. Sonia mówi, że no, coś takiego też słyszała jak stała w kolejce do sklepu, a potem się okazało, że to nie była kolejka, bo tego sklepu już nie było, a skoro nie można było zobaczyć co jest, to wszyscy chcieli zobaczyć czego już nie ma i jak bardzo nie ma i czy coś z tego można jeszcze mieć, a jak nie to chociaż jak najbardziej można tego nie mieć, żeby nie mieć bardziej niż inni, bo bardziej w obojętnie którą stronę to lepiej niż po prostu jakkolwiek mniej.

Ale nie wiedziała, że wszyscy żołnierze zostali rozbrojeni, narażeni na szykany, wysiłki, by przekonać opornych lub wahających się. Ona by się nie wahała, ale jej nikt niczego nie proponował. Przerzucenie tych tysięcy ludzi, jest problemem politycznym i organizacyjnym. W szybkim czasie udało się zebrać środki na pokrycie kosztów transportu. Dominują akcenty zgody narodowej, podkreślana jest więź, więzi wiążą, wiążą więzy.

- O jakim to jest kraju?

- O nas, o nas maleńka.

Wylegli na ulicę, odprawiono uroczystą mszę, rozruchy na wsiach, coraz śmielsze działania rewolucjonistów.

Lodzia sięga po inne gazety, te już bardziej w kawałkach, bo służyły Soni za chusteczki, ścierki i zakładki do książek. Nie spełnia standardów unijnych, ale to nawet nic, odgrzebali jakieś dokumenty, tajone postanowienia jałtańskie, że to w ogóle wielka pomyłka, że to tu stoi nielegalnie, cały kraj, budynki, krowy i pola i my też musimy się wynieść. I trzeba będzie udawać, że w ogóle nic tu nie było, całą historię na makulaturę, będą palić książki i gazety, wyskrobią nam orzelka z dowodów, podobno korona może zostać, przetoczą naszą krew na jakąś obcą, cudzą. Tylko ci zza Buga się cieszą, bo mogą tak jakby wrócić do siebie. Ale to może zupełnie nie być prawda, bo trzeba zauważyć, że to jest czytane z kolażu, ze ścinek, które Lodzia uzbierała z okolic łóżka i śmietnika, tu jest tej gazety równie dużo co jakichś ulotek, reklam; a wszystko w strzępach i akurat taka konfiguracja, taka wróżba się wylosowała.

I tak jakoś smętnie jest. Boję się maleńka.

Przytula się. Sonia jest ciepła i pulsuje. To znaczy, że ma krew, a jej serce pracuje i boi się przestać. Lodzia głaszcze Sonię, zatapia ręce w jej włosy zmierzwione i nie pierwszej czystości. Policzki ma miękkie i mokre. Sonia. Lodzia przydusza się bliżej, nie może zasnąć jeśli z czymś żywym nie styka się czołem. Zwykle to jest matka, bo matka nie śpi już z ojcem. Albo czasem termofor. Da się oszukać aż do zaśnięcia. Lodzia łąpczywie chwyciła Sonię za ramię. Jej oczy płyną błędnie od ściany do ściany. Ta to jest. Co ona tu wyprawia w tym pokoju? Teraz to widzę. Laboratorium tu ma. Ma szklanki i przewody ze słomek do picia, łączące probówki butelek, z których ulewa się to do fiolek, puszek, do talerzy z resztkami chyba marchewki i ziemniaczanego puree. Wszystko się przemieszcza, przepływa, nieugięta logika prowadzi tu eksperymenty na własną rękę, na obie ręce, prawą i lewą.

Badania ze stadiów dekompozycji pokarmu, testy na zwierzętach, na padlinie, na drobiu z pizzy. Nic nikomu nie mówi, może trzeba by to zgłosić do sanepidu jeśli jeszcze istnieje, zwłaszcza, że spomiędzy włókien wykładziny wyłania się chyba łania gatunku preroztoczego, chociaż wygląda to jak rybik. Kurwa rybik w dywanie, tego nawet ojciec nie ma na działce.

I tak sobie leżą w ciepłym inkubatorze, na miękkim materacu, na nich nikt nie przeprowadza badań ani eksperymentów. Oddychają niemalże czystym powietrzem, popijają zdatną do picia wodę z kranu i wtulone w sploty swoich chudych kończyn bezpiecznie zasypiają.

Henryk Korbas w zasadzie urzęduje w dużym pokoju, tak zwanym salonie. Rzadko kto tam wchodzi, żeby mu nie przeszkadzać, ale też trzeba wiedzieć jak do tego pokoju wejść, a to już tylko on wie, stąd ta dyktatura. Nad każdym meblem, krzesłem. Nad stołem. To jest jego największe i najsmutniejsze osiągnięcie. Bo jednak przy stole siadali kiedyś wszyscy. To znaczy oprócz niego też dziewczyny siadały. A teraz Halina w ogóle nie wchodzi do salonu, a Lodzia nawet do domu nie wchodzi. A nawet jak jest, to nie daje nic po sobie poznać. Kiedyś przychodziła na imieniny, nawet do pokoju, ale teraz nie wyprawia się już imienin, bo nie ma miejsca. Chociaż pan Henryk co roku z okazji imienin robi sobie sałatkę imieninową. Dawniej robiła ją Halina, jak jeszcze było dla kogo, jak przychodzili goście. Ale to nie jest trudna rzecz. Pan Henryk tak: kroi to co jest w lodówce, jak nie ma wystarczająco, to dokupuje warzywa, gotuje i też kroi, wrzuca. Sekretem sałatki jest pół słoika majonezu na koniec i jest: imieninowa sałatka jarzynowa. Co roku ją robi. Siada przy stole, otoczony przez swoje kolekcje i rytualnie spożywa, życząc sobie wszystkiego najlepszego z okazji imienin. Dookoła niego, na stole, słoiki i gazety. W słoikach hoduje kurz. Nie zaczął tego robić celowo. Po prostu w końcu się zakurzyły. By Halina to widziała. Warstewka liczyła sobie około pół milimetra, kiedy pan Korbas zdecydował się na hodowlę. Po prostu jest ciekaw co będzie dalej. Czy kurz wypełni cały słoik? A jeśli tak, to czy będzie się gromadził też nad słoikiem. I czy zacznie z niego wypadać. I ile czasu na to potrzeba? Ma jeden słoik po ćwikle, który ewidentnie przoduje, dwa milimetry, potem po ogórkach konserwowych jest na drugim miejscu, bo pół, a potem długo, długo nic i wyjątkowo zakurzony

jest jeden mały nie wiadomo po czym. To są takie wyścigi niezobowiązujące. Najchętniej pan Henryk zaproponowałby Halinie zakłady, takie jakby bukmacherskie, ale nie o pieniądze, tak na czysto, o honor. Żeby obstawiali który słoik wygra. Ale Halina by tego nie rozumiała, ona by te słoiki w ogóle wyrzuciła. Najgorsze, że – teraz już nie, ale kiedyś - to chciała odkurzać. Wchodziła do pokoju z odkurzaczem i chciała go włączyć, ale nie dało się nim wjechać, bo nie było miejsca. To pan Henryk wstrzymywał oddech, bo wtedy gorzej się słyszy, odczekał jej krzyki, i dalej segregował na przykład gumki. Średnicami. Zaczęło się od tego, że Halina przynosiła gumki recepturki z rynku, na przykład był nimi przewiązany szczypiorek czy co tam. Włoszczyzna. To to się zostawiało, bo może się przydać. A potem okazało się, że takich gumek pełno jest w różnych rozmiarach i kolorach, to pan Henryk zaczął je zbierać jeszcze bardziej niż Halina. Potem ona mu oddała swoje zbiory, albo sam brał, przestało jej zależeć. Miała ich trochę. Głównie brudne i bardzo stare. Nie z rynku nawet, tylko chyba po swoich rodzicach jeszcze. Bo chyba wszyscy zbierają gumki. Pan Henryk lubi układać z nich takie cebulki. Najmniejsza idzie w środek, potem coraz większe i coraz. Nie wie, którą wolałby najbardziej być. Jedną ze środkowych gumek. Jest raczej towarzyski. Łódź jest taką po środku gumką. A Halina jest ostatnią warstwą gumek, na samym wierzchu. Nieważne jak obszerne zrobiłby cebulki. Halina jest zawsze wierzchnia. Sama się odrywa. Pęka. Nie da się jej zatrzymać.

Wszystko na miejscu. Frotte, bawełna, naturalne, koronkowe, ze sznureczkami. A falbaniaste? Na maturalnych leży niedbale ciśnięta i pomięta metka z ceną 24,90. Roman czuje takie ciepłe szpony w klatce piersiowej. Ostatni raz zaglądał do szuflady przedwczoraj czy dwa dni temu, czyli w środę. Gdzie ona chodziła w tych gaciach od wtorku? Pędem skierował się ku pralce. Uklęknął przed nią, drżącymi rękoma wertował zawartość bębna żądny rozwiązania tajemnicy. Rajtuzy w groszki, ścierka kuchenna, koronkowa podkoszulka, pęczek slipów, koszule, spódnice, bluzki i spodnie i jest! Są! Falbaniaste figi. Pomięte, z piętnem dobrze wykonanego zadania. Z wczorajszym zapachem. Chwyta je w garść i wbija pięść w miękką masę dusznego prania. Zatrząskuje drzwiczki pralki, wyciera ręce w spodnie i z impetem siada na kanapie.

Ogląda dziś telewizję głośniejszą niż zwykle. Jest roztrzęsiony, nie trafia do niego przekaz reklamowy, nie pojmuję zasad teleturnieju, wiadomości go nie przerażają. Podgłośnia jeszcze trochę, ale to na nic. Roman czuje się jakby jechał pociągami, a jego oczy nie nadążały za umykającym za oknem krajobrazem. Więc je zamyka. W ogóle wyłącza telewizor. Podchodzi do szafki, w której trzyma cały arsenał broni do walki z każdego rodzaju niedyspozycją ciała. Napar z serdecznika pospolitego na niekorzystny wpływ emocji. Popija nim dwie kapsułki sproszkowanej melisy i już czuje jak jego ciało się użyźnia. Chociaż to niemożliwe, autosugestia jest silniejsza od fizjologii i Roman czuje czołowe uderzenie serotoniny.

Kuli się w kłębek na kanapie. W takich momentach żałuje, że nie ma swojego pokoju, że nie może się odizolować i że Renata w każdej chwili może

go na tej kanapie zastać w takiej pozycji i zadawać mu pytania, a jak on nie odpowie, to zaraz będzie wiadomo, że o coś chodzi, atmosfera stanie się napięta i obie strony będą udawały, że niby nic, ale jednak i ktoś to będzie musiał przełamać i lepiej żeby to nie była Renata, bo ona to na pewno zrobi w jakiś wkurwiający sposób; a on z kolei nie ma zamiaru, bo to jej wina, że on się teraz tak czuje i dlatego najlepiej by było gdyby miał swój pokój, albo gdyby chociaż wiedział na pewno, że ona nie przyjdzie.

Nie, nie może się skupić na niemyśleniu, podrywa się z kanapy, poduszka i zagłówek spadają na podłogę, podchodzi do szafki i połyka jeszcze kilka kapsułek Sutherlandii frutescens i popijając kroplami walerianowymi wraca na kanapę zamykając po drodze okna i zasuwając zastony, żeby żaden dźwięk nie był w stanie pogorszyć jego i tak już nadgnitego samopoczucia. Po chwili zresztą już mu tak nie zależy, nabiera błokiego dystansu, zaczyna coraz mniej rozumieć swoją panikę i wszelkie wyboiste myśli. Co je w ogóle spowodowało? Róg poduszki przydusza jego zamkniętą powiekę, ale to nawet przyjemne, bo poduszka jest miękka i chroni go przed otwarciem oka. Jeśli nawet spróbuje je otworzyć, to i tak nic z tego. Wyobraża sobie wnet, że mógłby tak zawsze chodzić z jaśkiem w ramionach, w każdej chwili móc zanurzyć w nim twarz, unikając w ten sposób wszelkich nieprzyjemnych konfrontacji z tym domem, jego mieszkanką, klatką schodową i sąsiadami, ale też z ludźmi w tramwaju, w pracy, z nieznośnymi studentami i profesorami, dla których musi być miły i jest, chociaż oni w żaden szczególny sposób na tę uprzejmość sobie nie zasłużyli.

Najlepsze są nocki, bo wtedy nie ma w szkole nikogo oprócz niego i portiera w sąsiednim budynku, czyli jest sam i wtedy nie potrzebowałby poduszki, chociaż mógłby i tak ją mieć ze sobą, żeby na przykład na niej siadać i żeby było bardziej miękko. Na przykład dzisiaj może. Dzisiaj zabierze

ją z sobą, dzisiaj na nockę, to za ile to godzin?

Trzeba sprawdzić czas i Roman nie odrywając poduszki od twarzy, a tym samym nie otwierając oczu, widzi zegar, z którego wycieka czas gęsto i leniwie, ten zegar na pewno się spóźnia, gdzieś już widział coś takiego. Ten ciekący czas jest gęsty i lepki jak miód, a jego krople oderwane od lśniącej mazi cyferblatu rozplývają się po podłodze i Roman zbiera je, ale robi to zbyt wolno, spóźnia się, czas przysycha do posadzki, trzeba go zeskrobywać, ale zanim pozyska taką pojedynczą jego jednostkę, to w tym czasie całe godziny rozpraszają się po pokoju, wsiąkają w mieszkanie i Roman czuje, że nie ma czasu żeby tyle zdrapywać tego jednego, sekundowego gluta, więc wraca na kanapę jeszcze bardziej spóźniony, nie do odratowania już.

Renacie udaje się zniknąć i nie zostać zauważoną. Roman tego dnia akurat pracuje na dwie zmiany. Czasami tak robi, wyręcza kolegów. Życia rodzinnego nie ma, a w kanciapie i telewizor i wygodny fotel na drzemkę w sam raz. I płacone podwójnie. Więc w ogóle się nie orientuje, nie zauważa niczego. Skierowanie do szpitala dostała już przed trzema miesiącami i cierpliwie czekała na swój termin. Nie mówiła nic Romanowi, bo nie. A poza tym też ma prawo do swoich tajemnic. Ona go nie pyta gdzie chodzi po pracy, jeśli gdziekolwiek chodzi, ale tego Renata nigdy nie wie, bo nie może się połapać w jego harmonogramie. Nie chciała lamentów. Po rodzicach to już by dla Romana było za dużo. Jej to tak nie dotyczy, bo to jednak jej choroba, ale jakby Roman zachorował, to czułaby się strasznie.

Jedyny problem polegał na tym, że w poniedziałek Roman zaczyna pracę na 10, a ona musiała być już o ósmej w szpitalu i jak tu się wytłumaczyć z tak porannego wyjścia? Z psami, owszem, ale bez psów? O siódmej to Roman jeszcze spał, więc mu zostawiła kartkę, że pojechała na giełdę kwiatową, bo kwiaty to ona przecież lubi, a do 10 rano następnego dnia wiedziała, że będzie już z powrotem. Wieczorem przed zaplanowaną akcją zacerowała piżamę, nawet ta najlepsza miała dziurkę pod pachą. Spakowała kosmetyczkę, szczotkę do zębów, krem, mydło i co tam jeszcze niezbędnego oraz przygotowała odświętne ubranie. Ułożyła je na krześle przy łóżku, złożone w kostkę, żeby rano nie szaleć, że nie ma w co się ubrać. Wybrała bordową koszulę, czarną, plisowaną spódnicę do kolan, cieliste rajstopy, mimo upału. Przygotowała też falbaniaste majtki, których nigdy jeszcze na sobie nie miała, bo jakoś nie było okazji. A w szpitalu nie chce się wstydu

najeść z powodu tych grubych gaci cerowanych na okrągło. Nie, żeby nie było ją stać. Po prostu zacerowane też są zdatne do użytku. Zerwała zawieszkę z ceną falbaniastych fig, ale nie wyrzuciła jej, tylko zostawiła w szufladzie na taką jakby pamiątkę. Może potem wyrzuci.

Zamykała drzwi od mieszkania ściskając w ręce skierowanie lekarskie do tego stopnia, że aż je upuściła. O zgrozo, nie zauważyła by tego, gdyby nie sąsiadka z góry, pani Wieża. Uprzejma, bo podniosła, a czekając aż Renata zarygluje wszystkie zamki, rzuciła porządnie okiem, bo zaraz ją spytała jak się czuje i kiedy te badania. Renata bardzo niechętnie powiedziała jej, że to już, bo w końcu była to taka jej tajemnica i choć sąsiadka jest obca, więc tak jakby się nie liczy, to jednak nie była zadowolona, że musi ja wyjawić. No, pani Renato, to trzymam kciuki, choroba na każdego może spaść, pani wie. A u was to może genetyczne być. No nic, to powodzenia i zdrowia życzę.

Tak. W szpitalu było czysto i przyjemnie. Jej świeżo wyprana koszula nocna wydawała się być nieświeża w zetknięciu z chrzęstem wykrochmalonej szpitalnej pościeli. Pościel była nieskazitelna, Renata najchętniej stałaby obok łóżka, żeby jej nie naruszyć. W czym oni to piorą? Poszewka miała fioletową pieczętkę szpitala odbitą przy guzikach, a przez całą długość ciągnął się błękitny pasek, surowo przecinający bezkres bawełnianej bieli. Ciężka rozkosz. Leżała z jeszcze dwiema paniami, jedna była po zawale, a druga nie wiadomo, bo ciągle spała. Ta zawałowa musiała być popularna, bo co chwilę miała gości, nawet w nieprzepisowych godzinach. A jak ich nie chcieli wpuścić na oddział, to wymykała się sama, że niby do toalety, ale czmych za oddział, więc też niewiele jej było w pokoju. Żeby chrzęst prześcieradeł i poszewek utrzymać jak najdłużej, Renata mało przebywała w łóżku, przesiadywała za to przy oknie oglądając z bezpiecznej oddali poranny gwar miasta z błyskami słońca w szybach aut, odgradzonych od niej szpitalną

ciszą. Żałowała, że była w szpitalu tylko na jedną noc, że po wszystkich badaniach musiała wyprowadzić się z sali, która naprawdę polubiła. Być może tu wróci, okoliczności nieistotne.

Następnego dnia rano zostaje wypisana o siódmej, po czym szybko jedzie na giełdę kwiatową, bo Renata nie kłamie. Renata często jeździ na giełdę. Wcześniej jeździła jeszcze z rodzicami. Teraz kupuje coś tam dla niepoznaki i wraca do domu. Czeką na wyniki. Cierpliwie i bez strachu. Jakoś się boi bać. Miesza sos w rytm swojego serca. Ustala sobie, że jeżeli sos wyjdzie dobry, to z nią też będzie dobrze. Ona się nie będzie nad sobą rozczulać. Wręcz przeciwnie. Ugotuje obiad lepszy niż zwykle. Z lepszych składników z lepszych sklepów. Zagraniczne warzywa z naklejką w obcym języku. Renata zeszkrobuje i nakleja je na kuchennej szafce. A co. Sos cicho bulgocze. Małe bąbelki rosną i zaraz pękają, by wypuścić zapach pieczonej papryki i koperku. Świeżego. Musi być gotowe jak Roman się obudzi. Już na stole i świeczka. Obrus zamiast ceraty. Kwiaty w wazonie. Hortensje. Serwetki do ust i na kolana. Widziała tak na filmie. Kieliszki do kompotu z wiśni. Święto, święto. Aha i najlepsze. Będzie deser. Budyń czekoladopodobny, podobny do czekolady o prawie takim samym smaku i zapachu co prawdziwy budyń, a nawet co prawdziwa czekolada. W to wiórki kokosowe, wafel w środek, kolorowa posypka i kilka wiśni z kompotu, bez pestek.

I w samą porę. Płatki nosowe oszołomionego snem Romana zaczęły pracować intensywnie już podczas snu. Na widok Renaty pochmurnieje. Cała moc i uczucie władzy jakie odczuwał we śnie wyparowują, zasilając kłęby kuchennej pary toczącej się z rondli, garnków i patelni. Budzą się ślinianki i chyżo biorą do roboty. To złości Romana. Bo wcale nie jest głodny i nie ma ochoty na obiad. Złości go sekret Renaty. A tak. To stąd ten dyskomfort. Sen

uchronił go chwilowo przed pamięcią o tym przykrym zdarzeniu. Sekretna okazja, z powodu której naruszyła porządek w swojej szafie i w jego myślach. Uśmiecha się do siebie, głupia. Miesza z zadowoleniem, jakby i sos był według jakiegoś sekretnego przepisu, a nie z puszki. Roman nie będzie dziś jadł. Źle się czuje. Było ciężko w pracy. Tak to jest w pracy. Ona nie pracuje, to nie wie.

Poranek. Sonia budzi się, kiedy zgarbione i otępiate swoją temperaturą słońce szturmuje ciężkie od brudu zasłony. Kurz pod światło nigdy nie śpi, to jest straszne. Wtedy widać w czym się żyje, co się wdycha i połyka. Skąd to się bierze, kurz? Kawałki naskórka, ubrań, brudu, a reszta? A skład brudu? Na dnie kubków wyzute liście czarnej herbaty, próbują sfotosyntetyzować sobie coś do żarcia, ale w atmosferze pokoju jest tylko pożoga, stęchlizna, brud i pleśń. Nie ma szans na żadne zmartwychwstanie. Kopnięcie w kołdrę za karę. Jest jasno, ale szaro i cieniście. Pod oknami słychać samochody przejeżdżające jakby szybciej niż zwykle. Zasłony są jeszcze zasunięte, okna pozamykane. Niech będzie inkubator. Cieplarnia. Oddychanie przez dziurkę w poszewce od poduszki. Ciasno. Chyba mamy gorączkę obie. Bo to Lodzia obok śpi, z połową ciała na podłodze, trochę spadła. Dookoła materaca rozkopane jej prawą nogą gruzy wieży z książek. Druga jeszcze stoi. Papierki i papiery. Na papierach kurz, włosy i różne kawałki czegoś, nie wiadomo czego ani skąd. Kawałki bałaganu. Brudna i czysta bielizna, butelki po wodzie, puszki. Zapach zważonego piwa, jakby drożdży. Niebieski spinacz obok spinki w kwiatki. Reszta spinaczy ułożona w Kasjopeję pod krzesłem, z którego zwisają dziury w rajtuzach i przepecone koszulki, bluzki, staniki, a wszystko upstrzone pociskami z kilkurazowych chusteczek higienicznych. Pod biurkiem zbita gęstwina kabli, ciepłych od płynącej w nich energii, która już wkrótce zostanie odcięta i kable zamrą w bezużyteczności swoich miedzianych przewodów. Wkrótce wszystko to pod wpływem żrących właściwości czasu i ptasich kup, bo pewnie osiada tu gołębie, podda się działaniu rdzy. Aha i popielniczka. Niezastąpiony element porannych takich

krajobrazów. Są nawet dwie. Zaraz obok łóżka, a druga na biurku. Ta na biurku znacznie gorsza, się przesypują w niej też obierki od ołówka i cała najeżona jest zapałkami. Ciekawe czy w pokoju śmierdzi snem. Na pewno. I całą resztą, ale to da się poczuć dopiero gdyby iść do łazienki na siku i wrócić z powrotem i paść w drzwiach pod impetem klimatu, jaki jest w tym pokoju. Klimat umiarkowanie przetrwalny. Lodzia przewraca się rzewnie na bok, na bok w stronę Soni. Lodzia ma rozarty turkusowy makijaż. Zgubiła kawałek stroju wczoraj na koncercie, jedną szelkę od spódnicy. Była bardzo zła na siebie, nie było wiadomo jak to się stało. Niech już się obudzi i sobie pójdzie. Trzeba było jej nie brać po koncercie, tylko zostawić jako dywan dla innych. Trzeba było się z nią wcale nie umawiać. Mogła się tu urządzić i zabarykadować na terenie swojego pokoju, stosować opłaty za wejście. Gdyby nie była taka podatna na wpływy i obce sugestie nie byłoby tu teraz Lodzi. Trzy cztery. Otwarte oczy. Zalepione ropą, całym porannym tałatajstwem. Zbiera to piąstką. Już widać.

Ogarnia wzrokiem ile się da, po horyzont, a ją ogarnia zniechęcenie i boska niemoc. Już nie chodzi nawet o wyjście z domu, ale wręcz z łóżka. Bo trzeba by to popakować, trochę wyrzucić, trochę rozdać. Wyjechać, zostawić pootwierane okna, niech sobie te ptaki naprawdę tu powlatują, zamieszkają, zasiedlą meble, obsrają podłogę, założą położnicze siedliska, rozpanoszą się za wszystkie czasy, za cały czas ucisku i tępienia przez przechodniów, przez rozbiegające je małe dzieci i przez te iglice porozkładane na wszystkich co ważniejszych budynkach. Ptaki wezmą to miasto w posiadanie, ptaki i szczury. Ale tu ptaki. Sonia zostawi im całe żarcie, a co. Tylko czy one się zorientują, że już nie ma co tu siedzieć, że tu już nic się nie wydarzy? Że nawet Sonia oszukuje, bo zostawia chatę, bo zostawia im klucze w zamku

tylko dlatego, że nawet im nie ma po co tu być? Rozłóży dla nich na balkonie tę starą gazetę, wczorajsze odkrycie. Niech sobie poczytają, Sonia chce mieć czyste sumienie, skoro nie da się nie mieć go wcale.

Z zamkniętymi oczami Lodzia leży przed ekranem komputera i patrzy w okno swojej sennej przeglądarki. Otwartych jest kilka snów jednocześnie i może sobie wybierać. To jest wielkie archiwum albo jej książeczka z dzieciństwa, która leży teraz gdzieś na dnie szafy, straciła już dawno zapach farby drukarskiej i tylko śmierdzi czasem, naftaliną i kurzem. Coś się wdiera między ten zatęchły papier. To kibice z innej otwartej strony, z innego snu. Drą ryja za oknem w bardzo zadowolonej tonacji. Ich laski wtórują im, choć nawet nie wiedzą, gdzie jest ekran telewizora, bo im cała aparatura wzrokowo-mózgowa uleciała do torebki, między fatalaszki i bibelotki. Teraz cienko piszczą pi pi pi, a to budzik dzwoni.

Lodzia unosi się z legowiska na jakieś 45 stopni, przeciera oczy i ziewa. Z ust śmierdzi jej przeżutym snem. Zahacza o włosy Soni i upada w następny majak. Sonia szturcha ją, jest w miarę możliwości uroczyta, muszę ci coś przypomnieć Lodzia, że to nie był sen, to wczoraj. Musisz wstać i iść. A w końcu ty mi to przeczytałaś, choć dzisiaj już nic nie pamiętasz, ale rozbierają kamienice, rozbierają ulice, wyrwali tyle płyt chodnikowych, ile zębów mają wszyscy mieszkańcy miasta razem wzięci, i zostaniesz pożarta przez to miasto jak nie wstaniesz zaraz z łóżka. Tu zaraz nic nie będzie, weźmie nas policja na przesłuchanie, odsłuchanie, osłuchanie, okaże się, że mamy raka w głowie, kraba, a ci najgorsi ostrygę, trzeba to będzie rozłupać, wiesz jak to jest z ostrygami, ale liczą się tylko świeże, reszta nikogo nie interesuje, a tu nie ma świeżych, więc wszyscy pójda precz, wszyscy pójda na zaś, tu nic nie

będzie, nie będziesz miała po czym chodzić Lodzia, nie będzie dla ciebie chodnika, będziesz musiała chodzić ostrożnie jak po wodzie, ale ty nie jesteś taka, ty nawet po krawężniku nie dasz rady, to już nie wiem co ci zostaje, nie możesz przed tym uciec Lodzia, a raczej właśnie musisz uciec, więc spadaj już, spadaj.

Sonia wiąże Lodzi trampki. Pokazuje jej kompas po dziadku, mogę ci go pożyczyć, bo możesz się zgubić w tej miejskiej dżungli. Ale kompas upada na podłogę, tłucze się i kaleczy ją w palec ta igła, krew kapie, wzbogacając deseń dywanu o akcent dramatyczny. Nagle Lodzia przytomnieje, bo boi się o dywan i szybko ściera mokre Wyborczą spod ręki.

- Dziewczyno ja ci tego nie zrobiłam.

- Nie martw się, to tylko krew to tylko kolor.

- Przypomniałaś mi taką historię Sonia, bo w kompasie, żeby działał, jest alkohol, nie? I jest to niezbyt dobrze znana sztuczka alkoholików związanych z jednoczesnym poszukiwaniem swojej drogi. Że kiedy już nie mogą dalej szukać, albo kiedy już naprawdę się zgubili i nie mają ochoty na więcej, to rozbijają wtedy kompas i wypijają z niego alkohol, a potem zdejmują przeпоconą koszulę najlepiej białą i machają. machają. I mogą chodzić nago, bo są już z marginesu, a nawet spoza marginesu, mogą chodzić jak chcą, bo i tak są brani w wielki nawias i nikt nie bierze ich na poważnie.

Sonia myśli sobie na to, że to musi być strasznie miłe być niewidzialną i chodzić w nawiasie, trzymać w każdej z rąk po kawałku nawiasu - jak tarcze - i ochraniać się idąc rano po bułki, nie trzeba by nawet zamykać oczu ani słuchać muzyki.

Sonia na dłuższą metę ma kłopoty z pozycją pionową. Dużo fragmentów ciała boli ją po wczoraj, zwłaszcza brzuch. Boi się, że jak wstanie, to jej wylecą wszystkie wnętrzności. Kładzie się znowu, a Lodzia, dobra Lodzia, idzie poszukać czegoś do jedzenia. Z zaskakująco pozytywnym skutkiem.

Więc całe rano jedzą ciasta, kupione nad ranem w cukierni z powołania, która wciąż wypiekała pełen asortyment ze świeżych składników. W ferworze i chuci kubków smakowych Lodzia kupiła wszystkiego po jednym, żeby posmakować na pamiątkę, klera, cukrowe uszko, francuskie z truskawką, kakaową muffinkę, drożdżówkę z budyniem, pączka z marmoladą, rogala marcińskiego, papieską kremówkę. Odgryzają po kawałku ciasta i smakują podczas gdy ono mięknie, moknie w ustach na słodką papkę, ciągnącą w kierunku przełyku ku dalszym przygodom układu pokarmowego, tylko małe resztki pozostawiając pochowane po zębach albo w postaci okruchów na piżamie, siedzeniu. W tym słodkim zawieszeniu zastygają na trochę omdlałe jak lukier na niedojezonych resztkach ciastek. Prawie zasypiają znowu z przejedzenia, ale lęk jest silniejszy niż spokój trawienia.

Soni przypomina się jak w dzieciństwie po kościele chodziła z mamą na pączki. Przy asfaltowej alejce osiedla, otoczonej zielonymi boiskami i skarpą stała budka, taki mały kiosk. Zza jego białych, metalowych krat, pozwijanych w arabeski, spirale i kółeczka, sprzedawano świeże, pachnące i ociekające gęstym lukrem pączki. Cały ten kiosk wyglądał jak odlany z lukru, jakby zaraz miał się stopić w słońcu i spłynąć osiedlową aleją. Przez małe okienko w kratkach podawano w serwetce z falbanką, miękkie i puszyste kule z ciepłym sercem marmolady o smaku różanym. Na cienkiej papierowej serwetce ciastko odciskało swój tłusty policzek, tworząc rysunek toporny i mdlący, abstrakcyjne albo całkiem czytelne przesłanie, ciastkarskie wróżby, w których

Sonia upatrywała tła dla całej niedzieli, wiedząc jednak, że najważniejsze już się stało, pączek został zjedzony, palce wytarte w odświeżoną sukienkę. I nie było wcale lęku, bo był to czas, gdy nadchodzący poniedziałek był po prostu jakimś kolejnym dniem, jedynie pączkiem różniącym się od niedzieli. Nie trzeba było myśleć o tym, co trzeba zrobić albo czego się nie zrobiło, albo że nie ma się nic do zrobienia.

- Lodzia wstawaj ubieraj się, tak, możemy się zamienić na ubranie, możesz założyć wszystkie moje ciuchy. Sonia zakłada długie dżinsy, jest gorąco, ale nie wiadomo jak będzie potem. Koszulka z rękawem, ale za to z dużym dekoltem. Z napisem *malibu beach*. Bluzę pakuje do plecaka.

- Lodzia, pakuj co tam chcesz, ja już tu nie wrócę, idź do siebie do domu, zobacz czy jeszcze stoi.

Lodzia ma tłuste włosy i ciemne odrosty i bardzo blond resztę. Wyciąga czarne kawałki makijażu z oczu. Wysmarkuje się w chusteczkę i wsadza ciepły zwitek do kieszeni, ale chusteczka się drze i smarki wylewają się do spodni. To były ostatnie czyste spodnie. Tak, przyjaznym się, ale bez przesady, pa, taka atmosfera jest wyczuwalna nawet dla Lodzi. Zęby umyte palcem, w przedpokoju ostatnia konfrontacja lustra z twarzą.

- Majtki mam w tej szufladzie, nie, nie znalazłam tej szelki, weź inne spodnie, patrz ile ciuchów, jasne. Wyglądasz dobrze, nikogo i tak nie ma na dworze.

- No. Umówiłam się z Kroinem na później, muszę jeszcze wrócić do domu, zrobić sobie dziób, żeby żałował, że mnie nie chciał.

- Powodzenia, trzymaj się, serio, nie zmieniam jeszcze numeru, no, daj znać gdzie będziesz, pa.

- Pan lepiej uważa na siostrę.

Sąsiadka z góry sunie schodami szybko i bezdźwięcznie. Roman podskakuje, ale tylko wewnętrznie, jakby duchowo. Nagły skok adrenaliny podrywa jego jestestwo, nie ruszając go oczywiście z miejsca.

- No, to choróbsko jest genetyczne, spotkałam ją jak szła na badania. Trzymam kciuki, proszę pozdrowić.

W drodze na przystanek, Roman orientuje się, że nie pamięta czy zamknął drzwi do mieszkania. To niby nawyk, ale nie pamięta nawet jak znalazł się tu, gdzie stoi, czekając bezbłędnie na pasach, na zielone światło sygnalizacji, które nie pojawia się, bo nie ma też czerwonego światła, które mogłoby je zastąpić. Światła nie działają, Roman wraca sprawdzić drzwi. Zamknięte.

Drogę do szkoły przebywa po omacku, na pamięć pokonuje przeszkody dnia codziennego, pozwala rutynie uprawiać się samopas. Zasiada zamyślony za ladą portierni, nastawia elektryczny czajnik, nie sprawdzając czy jest w nim w ogóle woda. Jest. Zalewa wielotygodniowy osad, smakuje prawie jak cienka herbata. Nie zastanawia go nawet, gdzie poprzednia zmiana, dlaczego portiernia była otwarta albo dlaczego siedzi prawie pod gołym niebem.

Właściwie Romanowi tylko wydaje się, że jest zamyślony, albo można by tak pomyśleć, patrząc na niego. Bo tak to się zwykle odbywa. Siedzi się nieruchomo i mruga tylko wtedy, kiedy oczy wysychają na wiór. Tylko, że w głowie Romana nie odbywa się żaden proces myślenia, nic nie iskrzy, przewody się nie stykają, napięcie nie płynie w drucikach, domino wątków stoi pokotem nietknięte, nie do przeforsowania umysłem. Głowa czysta.

Roman bez pomyślunku spogląda. Nagle powraca do kanciapy. Budzi się, zaskoczony swoją w niej obecnością, próbując odtworzyć w pamięci ostatnie wypadki. Nieład tu dziś, gorzej niż zwykle. Brud i pył wszędzie. Roman ogląda rękaw koszuli w szkocką kratę, cała powalana. Niemożliwe, żeby tak się tu szybko zakurzyło. Dopiero co miał dyżur i tego nie było. I dziwny ten kurz. Jakiś taki za czysty. Wszystko równo pokryte cienką warstewką sypkiego pudru. To są jakieś dziwne czasowe, trzask popękanych godzin i rozduśzanie minut, marnowanie szybkich sekundowych łypnięć. Ten kurz. Tego nie powinno tu być.

Roman spogląda na zegarek powątpiewając. Jego zegarek nie pokazuje daty, tylko samą godzinę. Godzina jest powtarzalna, w kółko to samo. W kółko, w kółko to samo. Można polegać tylko na kalendarzach, ale kiedy Roman zerka na kalendarz zawieszony z dala od studenckiego spojrzenia – kalendarz z panną w wieku wczesnoszkolnym i o dużym biuście - to okazuje się, że ta panna jest już pewnie co najmniej absolwentką, bo data stoi zakurzona na miesiącu kwietniu i to zeszłego roku.

Roman nie jest pewien czy to możliwe, że zapomniał, przegapił ostatnie zdarzenia. Czuje się zagubiony i nie wie jak się otrząsnąć albo obudzić. Musiałby pewnie kogoś zapytać jaki jest dzień dzisiaj i co to za kurz, ale koledzy coś wcześniej się zmywają przed końcem swojej zmiany, a Roman nie jest frajerem, i też nie robi po godzinach, też nie czeka aż kolejny spóźniony się pojawi, tylko wychodzi tak, jak kończy. Nikt na tym nie cierpi, bo ci studenci to wszyscy powinni wylecieć, nikt nie chodzi do szkoły, nikt nic nie robi, a potem, że kryzys i brak pracy i brak mieszkań i ujemny przyrost naturalny.

Czasem Roman się zasiedzi i pomimo końca zmiany dyżuruje dalej zapatrzony w wytarty blat portierni. Ale i tak nikt nie przychodzi. Czy ktoś tu w

ogóle jest uczciwy, czy ktokolwiek w ogóle tu pracuje, czy tylko on? Nic nie wiadomo.

Romanowi przypomina się sen, który często mu się przytrafia w nocy. Leży przywiązany do czegoś twardego, kozetki jakby i jedynie w wyprostowanych nad sobą rękach trzyma sztangę olbrzymią i ciężką, sporo za ciężką jak na jego możliwości. Ale trzyma. I oni chcą czegoś od niego. Nie wie kim są oni. Chcą tajemnic. On nie da, ale już nie może wytrzymać, nie może już dłużej unosić ręk, żyły niebezpiecznie mu pęcznieją, niechybnie szybko popękają. Ale jeśli upuści sztangę, roztrzaska mu ona mózg na dżem i będzie to dżem truskawkowy.

II

pierwszą rzeczą, którą ludzie zaczęli kupować masowo i w panice, to wcale nie były konserwy, zapasy krajowych specjałów czy fajki, ale narodowe flagi. po kilka sztuk, bo żeby zabrać ze sobą z sentymentu, ale żeby też zostawić w oknie przed wyjazdem. duch narodu zawsze żywy, zawsze pomysłowy i kreatywny. sprzedawcy nagle zaczęli mieć w ofercie flagi miniaturowe, kompaktowe, samochodowe i prawie w różnych kolorach i wzorach.

dopiero potem kolej na tytoń, narodowe alkohole i książki w ojczystym języku, których przyszłość była niepewna.

jakie były przyczyny likwidacji kraju wciąż pozostaje kwestią sporną i niepewną. mnożą się teorie spiskowe, kalumnie wobec byłych i teraźniejszych rządzących oraz prewencyjnie wobec przyszłego rządu na uchodźstwie czy jakichkolwiek planowanych nowotworów narodowych. podejrzane są też rządy sąsiednich państw, światowe mocarstwa oraz Watykan. w głowach obywateli fluktuują opowieści na temat odkrycia złóż ropy i diamentów na terenie kraju, na temat drugiego Klondike i Eldorado. jeśli nie widać nic na powierzchni, to na pewno jest coś pod ziemią, tam kryją się bogate tajemnice i tajemne bogactwa, coś, co narodowi się nie należy, bo gdyby o tym wiedziano wcześniej, to w życiu takich granic by nie otrzymał.

w kręgach ludowych mówi się, że wyginał orzeł biały, że to dlatego, ale co oni tam wiedzą. słyszy się, że za dużo - a inni mówią, że za mało - unifikacji, unii, uniformizacji, dzieci szepczą w dwuszeregach na boisku, że to przez szkolne mundurki.

ludzie mogliby wyjść na ulicę, zrobić strajk, albo protest, bo na rewolucję już za późno i za gorąco, lato huczy, ulice są puste, jest dużo miejsca, ale chyba tylko na ostatni spacer, bo groźba buntu nie ma się gdzie zakotwiczyć ani o kogo zahaczyć i trafia z powrotem do pomysłodawców, jak boomerang, a jest to silny cios, rozsypujący delikwentów, każdego z powrotem wpędzając do domu i prosto w fotel.

w jednej gazecie napisali, że ten rozpad jest spowodowany kosmopolityzmem, że jest jego metaforą, ale to może być plotka, bo to było wydanie specjalne, edycja limitowana i dostępne tylko przez Internet i to za opłatą. w dzienniku było, że w zasadzie nic się nie zmieni, wszystko będzie tak samo, tylko gdzie indziej będzie się działo. to pocieszające. i coś w tym jest, bo już teraz tylko niewielu pamięta za czym właściwie będą najbardziej tęsknili, a czego nie będą mieli też gdzie indziej. za językiem może. to, co ludzie przekazują sobie z ust do ust, to co mają zakodowane w ślinie, którą spluwają na ulice jako wykrzyknikiem, to teoria mięsożernego systemu, który przeszedł na urbanizm, czyli pewną odmianę systemowego wegetarianizmu. nie oszczędził ludzi, ale teraz przerzucił się na ich środowisko naturalne, ich ekosystem i biocenozę. teraz będzie im wyjadał nawet miejską ściółkę, gustuje to to w gęstych plwocinach i tłustych petach. w murach i ulicach.

krajobraz miejski mizernieje w oczach. budynki szarzeją, trudno się oddycha, przyroda więdnie. próżno wyjaśniać, że mizeria parków i ogrodów ma coś wspólnego z rozwiązaniem zarządu zieleni miejskiej. większość myśli, że to lokalne kataklizmy, skutek albo ich przyczyna, że to samo tak wcześniej

rosło boską mocą użyźniane, boskim sikiem podlewane. było kilka procesji, o tak. zatrzymano wszelki ruch, powietrze ani drgnęło, papierki i inny śmieć zastygły w pół powiewu. na autostradach nigdy nie było tak spokojnie. pasma głosów splatały się w jedną donośną modlitwę zagłuszającą nawet dźwięki klaksonów.

na tle nieba połączanego zachodzącym słońcem, które w sumie na dobre jeszcze nie zdążyło wstać, wyrastają nad horyzont spiętrzone, sine chmury, tworząc wysokogórski krajobraz w tej nizinnej krainie, krajobraz, który pęta swym górskim łańcuchem szaro-grafitowe miasto, niezdolne się bronić i stopniowo przypominające raczej lej po bombie, ale zyskujące na urodzie dzięki tym pogodowym anomaliom.

kolorowe orszaki pekaesów w wijących się tasiemczo, żałobnych konwojach, zalegają na wszystkich podmiejskich wylotówkach. ruch uliczny staje się wyłącznie jednokierunkowy, przepisy ruchu drogowego ciężko egzekwować, a ponadto nie bardzo jest komu. asfalt luzuje w upale, koła grzęzną by choć troszeczkę pokontemplować ukochane widoki, zielone pola, które w tym roku nie doczekają dożynek, które zaskoczone tą wykolejoną rutyną przekwitną albo zgniją, to zależy jak bardzo nieboskłon będzie płakał.

wszystko ma żal i chce się jeszcze pokazać, żeby dezerterskie oczy zobaczyły tą płodność bez przyszłości, żeby widziały co tracą. ale one być może najbardziej tęsknić będą za tablicami „opał węgiel karczma”, za tą złączącą w słońcu nalepką „Grochówka 500m” albo odrapanym szyldem „Motel XXI wieku”. język płacze się w pożegnaniach i obietnicach powrotu, ale chyba już tylko turystycznego.

nadeszły paradoksalne czasy mgły, wilgoci i chłodu pomimo letnich upałów. zimno nadchodziło stopniowo i podstępnie, wdzierając się za rękawy koszul i nogawki spodni, swój teren oznaczając pokąsanymi gęsiami skórka

przedramionami i łydkami. niejeden ocknął się przemarznięty i bez rękawiczek, bo niby lato. nie doceniano dotąd mocy ludzkiego oddechu, jego właściwości ocieplających. jest coraz bardziej pusto. miejskie zwierzęta, wciąż nie zorientowane w nowej sytuacji kryją się po podwórzach i piwnicach, lojalne wobec swoich instynktów. biedne zwierzęta, zwłaszcza te dotychczas dokarmiane. czeka je rozczarowanie i wojna ze szczurami. choć i tak najgorzej mają te, które osiedlowe organizacje zwierzęce postanowiły zgładzić w imię mniejszego, czy wręcz zerowego cierpienia. słynny stał się przypadek Karoliny P., która całe swoje mieszkanie zaadaptowała na hospicjum dla kotów. na kanapach, łóżku, stole kuchennym i podłodze podawała kotom śmiertelny zastrzyk w trosce o ich przyszłość. pisano o tym w gazetach kiedy jeszcze wychodziły. nigdy jeszcze nie pisano tyle o kotach, co w czasie tego masowego pomoru. były nawet zdjęcia tej kociej umieralni. zbliżenia na poduszczeni łapek, wciąż miękkie, choć już zimne. podobno zostawiła je tak i wyjechała. wciąż tam leżą, więc jak chcesz to możesz iść i sprawdzić czy to prawda.

ulice i drogi pokryły się kurzem i pyłem nieustającego bezruchu. wymalowane na biało oznakowania dróg, zaczęły stopniowo znikać pod warstwą pofałdowanego wiatrem piachu, śmieci rozpoczęły pielgrzymkę między dzielnicami, miastami i wsiami, lokując się wszędzie tam, gdzie zawsze chciały, lecz nigdy nie pozwalały im na to oddziały dozorców, śmieciarzy i śmieciarek, wywożących wszystkie te pordzewiałe puszki, różnej materii papierki, bezsenne tapczany, rozlatujące się szmaty i gnijące resztki resztek jedzenia, do miejsca śmieciowej trwogi, getta odpadków, cmentarzyska obiektów wykluczonych, skąd nie ma już powrotu w doczesnej postaci.

teraz więc, widok foliowych toreb zaplątanych w obfite zielenią czupryny drzew stał się banałem, konserwatywnym podejściem śmiecia do rzeczywistości, bezpieczną tradycją. początkowo nieśmiała alternatywa, w postaci foliówek, butelek i gazet, obsiadująca place i główne ulice; podmuch, za podmuchem wiatru przemieszczała się w kierunku bardziej odważnych lokalizacji, jak parki lub sklepy z powybijanymi szybami, by w końcu osiedlić się i zadomowić na pomnikach wieszczy narodowych, bohaterów wojennych i tych inicjujących pracę u podstaw, a nawet od podstaw. teraz mieliby dużo roboty, ale byli bezradni, przytłoczeni przez kuriozum swej formy, przez jej wagę, zaśniedziali, zasiedziali na swoich - dawniej bywało, że obsiadanych przez nastoletnią gawieź - postumentach, teraz opuszczonych, wyjawiających sekrety pomazanych pisakami ideologicznych wyznań i autografów. i chociaż w końcu stali się widzialni, po raz pierwszy w swej historii wręcz rzucający się w oczy ze swymi designerskimi nakryciami głowy z papierka po chrupkach, to jednak nie było już zbyt wielu oczu, które mogłyby się cieszyć tym widokiem.

wszyscy posiadacze zmysłu wzroku oraz narzędzi poznawczych, pozwalających na rozeznanie się w niecodziennych tych widokach oraz na krytyczną ich ocenę, byli akurat nieobecni, stali albo siedzieli w ulicznych korkach, odbezpieczali ostanie korki z ostatnich importowanych do kraju szampanów, by celebrować to niecodzienne święto, które bezimienne i nieznane nie dawało samo z siebie wytycznych co do emocji, jakimi mianoby się kierować przy wznoszeniu narodowego toastu, który rychło miał się zamienić w biały *toast* z masłem. ludzie będą więc pajęczyny ze ślinotoku na myśl o rodzimym chlebie, który nawet czerstwy jest smaczny i pożywny, można go jeść bez obaw, nie lękając się zapieczonego razem z ziarnami sporyszu, buławinki czerwonej, o której nikt nie może zapomnieć z lekcji

biologii, która jest przyczyną wydlubowywania wszystkich podejrzanych ziaren i farfocli z każdego kawałka pieczywa, z których to podejrzanych kawałków składać się będą całe zagraniczne bochny, wypieczone przez obce ręce, z nieznanej mąki, wyrosłej przy pomocy anonimowego deszczu o niewiadomej kwasowości. wszystko to wzbudzi ogólną niestrawność, w skrajnych przypadkach śmierć głodową co bardziej nacjonalistycznych osobników, którzy z lęku i lojalności wobec krajowych produktów popadną najpierw w bulimię kulturową, potem jednak w anoreksję, w a konsekwencji w niebyt - ale tylko cielesny, bo ich duch przepłynie bez paszportu i za darmo przez wiele granic do własnych korzeni, które co prawda dawno będą już robić za ekologiczne ulotki reklamowe na zachodzie, ale i tak będzie to ziemia płodna, ziemia tryskająca spermą i wodą mineralną z Łącka Zdroju, bogata w aniony i kationy, o wysokiej zawartości potasu i obniżonej zawartości sodu, nie mogąca zaszkodzić nikomu, a zwłaszcza tym, których i tak już nie ma. tak. za wiele lat kraj ten może stać się jedyną zieloną wyspą kontynentu, zaludnioną wyłącznie przez ptaki i dzikie zwierzęta. będą tu pielgrzymować wycieczki w ramach turystyki postkatastroficznej. będą mnożyły się teorie spiskowe i legendy o upadku wielkiego i mocarnego kraju.

ta likwidacja wydaje się teraz czymś strasznym, ale ludzie jeszcze za nią podziękują arenie międzynarodowej, na której została rozszarpana ich tożsamość narodowa, ich osobowość, usposobienie, cechy miłe i złe, ich mocne i słabe strony. bo nikt tu i tak nie lubił mieszkać, narzekano na masowe emigracje, ale narzekali ci, którzy też by chcieli wyjechać, ale nie wiedzieli jak się za to zabrać. nie mieli wystarczająco dużych walizek, które pomieściłyby ogrom ich nędzy, te wszystkie niespełnione marzenia, ubrania i sprzęt RTV i AGD. więc siedzieli dalej i obgryzali czarne paznokcie, modląc się, żeby innym się nie udało albo żeby chociaż nastąpiła sprawiedliwa

apokalipsa, która rozniesie szczęśliwców i ich dobra doczesne w pył.

i wtedy nadeszło zbawienie. ulga banicji, rozkosz bezsilności i zrzucenie ciężaru i bezkształtu swojego życia na karb zdarzeń i decyzji zbyt odległych i zbyt niezależnych od ich brudnych rąk. z radością i przekleństwem na ustach poddali się, żeby dokonać niemożliwego w ich sytuacji finansowej i intelektualnej, z ich brakiem wykształcenia i perspektyw.

zaczęli wszystko od nowa.

Lodzia Korbas. 26 lat, 165 centymetrów wzrostu, kobieta, nieródka. bezpłodna, mimo oszukańczo dużego biustu. cera blada, ale dlatego, że nieopalona; włosy blond, ale dlatego, że farbowane. bałagan w nosie, rzęsy w nieładzie, fizjonomia ogólnie przetrącona.

trzecie piętro kamienicy. Lodzia nie zna się na architekturze, może być przedwojenna albo powojenna. w mieszkaniu kuchnia, łazienka, dwa pokoje, itd., itp. w kuchni stół, przy stole krzesła, na stole cerata w wyblakłe słoneczniki. cukiernica pełna pozlepianego cukru. w cukiernicy łyżeczka obciążona białą skamieliną. oprócz tego na stole: zapalniczka, gumka recepturka, 35 groszy. dwudziestka, dziesiątka, dwie dwójki i grosz. grosz jest zmurszały, zielonkawy. do brzegów wygrawerowanej jedyńki przylegają molekuły naskórka wielu osób, które miały z tą monetą styczność. niektóre z nich już pewnie nie żyją, bo moneta pochodzi z 2002 roku, to już seniorka. Lodzia zdejmuje spodnie, kładzie na stole reklamówkę wypchaną produktami z ostatniego chyba w kraju spożywczaka: bułki, świeże jaja, mleko, ćwiartka cytrynowki oraz nowość na rynku, która jednak nie będzie miała okazji się zestarzeć ani przeterminować: płatki śniadaniowe Emo, nadmuchiwana pszenica w kształcie żyletek. gratis doklejana grzywka, do odgarniania z czoła. Lodzia leje olej na tłustą od poprzedniego smażenia patelnię, syk gazu, trzask pękającego jajka, skwierczenie ścinającego się białka. zapach jajeczniczy. bez cebuli, bo nie starczyło jej pieniędzy. drożyzna. chwyta bułkę wilczymi zębami. zalewa ją keczupem. bo to jest jałowe. nie jest słone. a nie ma innego pieczywa. dobrze, że nie jest tarta. ta bułka.

za oknem świeci słońce, ale słabo przedziera się przez brudne firanki i

zaciągnięte zasłony. po odstąpieniu wciąż zdaje się Łodzi jakby zasłony miała powieszona również od zewnętrznej strony okna. czyli coś jest nie tak, jest dużo pyłu. jest za dużo pyłu. jest hałas. rozbierają dom po drugiej stronie ulicy. dziwne, bo dopiero go postawili. szkoda cegieł i w ogóle budulca. może dlatego go rozbierają. może jeszcze dlatego, że za bardzo odbija światło. świecił w oczy jak słońce, strach było przez okno wyrzeć. no. to dlatego tak zapuściła firanki, taka jest prawda. żeby chociaż trochę ulgi było dla oczu, kiedy nie ma rolet. Sonia ma dobre rolety. zaciąga i jest noc w ciągu dnia. zawsze ma je zaciągnięte. może popsute.

otwiera okno. chlapie sobie w gardło wódką. to jest piękny poranek. do kuchni wpadają kilogramy żelaznego hałasu emitowanego przez buldożery i wycofujące się w popłochu żurawie, które ledwo ukończyły pracę. dźwięk szczelnie wypełnia kuchnię i uszy Łodzi. do oczu wpada kurz i pył. śmierdzi gruzem. Łodzia wyjmie z torby Vilię i robi zdjęcie. pojawia się w niej reporterskie zacięcie. włosy powiewają jej w kadrze, więc związuje je gumką recepturką ojca, pomna późniejszych zmagania z jej usuwaniem.

to, co się dzieje w mieście, jest dla Łodzi bardzo inspirujące, wypstrykuje już drugą kliszę. od wczoraj. dzwoni komórka polifoniczną wersją zabytkowych telefonów. Łodzia poprawia cytrynowką, by odebrać. zwłaszcza, że to ojciec. czyli, że nie ma go w domu, czego nie zauważyła.

- co? no. nic nie robię, jem, będę jadła. e, nie wiem. wiem, nie mogłam, matki też nie było? jezu, tego nie umiesz napisać? ci podyktuję. właśnie nie wiem, same dziury po sklepach, dziury w chodniku wybrakowany bruk, tak to za oknem burzą ten nowy blok, wiem, nie wiem i tak przyjadę, nie gadałam z nią, jak znajdę w sklepach nic nie ma, tak. a matka gdzie? na działkę? no jasne. dzisiaj nocuję u koleżanki. jutro tak. tak, no pa.

zapach przypalonej jajecznicy. trucht po kuchennym linoleum. obślizgłe pacnięcie jajek na talerz. purchawkowaty dźwięk resztek keczupu wytrąsanego z butelki. zgrzyt sztućców o szkło. mlaszcząca konfrontacja języka ze ściętym jajkiem. drażnienie kubków smakowych ostrych i słonych. będzie musiała pojechać do ojca na działkę, pożyczyć jakąś kasę. albo jak matka wróci z pracy, to się ją poprosi. to nie jej wina, że nie może znaleźć pracy, nawet po sklepach roznosiłaby CV, nawet po straganach. ale panuje raczej bezrobocie. raczej brak punktów handlowo-usługowych. trzeba się wynieść stąd i od rodziców też byłby czas.

już czuje trochę tę wódkę. na krześle w kuchni leży atlas geograficzny kraju do czwartej klasy podstawówki. Lodzia sięga po niego, bo lubi; musi czytać cokolwiek gdy je. najczęściej jest to skład produktów, które akurat spożywa, ale ponieważ jajka składają się z jajek, to zadowala się atlasem. prawie nigdy nigdzie nie była. na tej stronie też nigdy nie była. o, tu. wstaje od jajecznicy, unosi ceratę, szpera w szufladzie stołu i wyciąga z niego nożyczki do paznokci. koślavo i wyjeżdżając za granice kraju, wycina go z atlasu i chowa sobie do kieszeni. będzie na pamiątkę.

jest zła, nie najadła się. rozrywa foliowe opakowanie płatków. po kuchni niesie się chrupanie kompatybilne z wciąż nieustającym burczeniem w brzuchu. Lodzia Korbas poprawia majtki w świąteczne ozdóbki, podchodzi do brudnej szyby i przymierza dołączoną do płatków grzywkę. jakość odbicia niska, ale i tak jest niezłe. ciekawe co na to Kroin. puszcza zalotnie oko, ale umie puszczać tylko tym okiem, które zakrywa grzywka, więc nic nie widać. wzdycha.

bo Lodzia jest zakochana. jeszcze jej się podoba taki jeden, Potse. wszędzie go pełno na mieście. ma różne style fontu i różne kolory tagów. w

życiu by nie zapamiętała jak takiego zawijasa zrobić. jeszcze sprejem. czasami dochodzi na mieście wręcz do starć. wojen. Potse z Enemy najczęściej. Kroin nie. właśnie to jej się najbardziej w nim podoba. że on jest tylko raz na mieście, tylko w jednym miejscu napisany. skończony byt. że nie bierze udziału w tych wojnach. podejrzewa też, że Potse i Enemy to ta sama osoba, ale to jest kwestia do wnikliwszych badań, dla grafologa chyba, dla tagologa. Lodzia podchodzi do kredensu, przeszukuje wszystkie szafki, w poszukiwaniu produktów zdatnych do spożycia. znajduje ananasy w puszcze i marynowane ogórki. pieczywo dietetyczne, programowo czerstwe. jest resztką chleba nawet, matka chyba coś wczoraj gotowała, trzeba było od razu zajrzeć do garnków. wszystko niezwłocznie konsumuje. jest teraz bardzo ciężka, niezdatna do ruchu. jest zakochana.

a oprócz tego ma ochotę na słodczy, ale nie ma pieniędzy, więc ładuje do plecaka strój kąpielowy, mp trójkę, resztę płatków i grzywkę. podchodzi do okna, żeby jeszcze trochę sobie popatrzeć na demolkę. przez zburzoną przednią fasadę zieją jamy klatek schodowych. po prawej stronie, poprzecinane żebrami podłóg i sufitów w jednym, mieni się pozioma mozaika pokoi. parter i pierwsze piętro są białe z lamperią w kolorze szpitalnej zieleni. dalej ludzie mają więcej fantazji i w całości prezentuje się to jako blado-sino koperkowy róż. Lodzia opiera czoło o szybę, jedzenie uderza jej do głowy, członki robią się wiotkie, dopada ją omdlewająca niemoc i błogie ciepło biegnące od żołądka. odbija się ananasem. jednak jeszcze na chwilę przysiadzie, najlepiej w swoim pokoju, a że tam nie ma fotela, to chyba na łóżko. dawno tam nie była. wszystko stoi i leży, tak jak zostawiła ostatnio. oprócz biurka. tam ojciec rozpoczął panowanie ze swoimi słojami o różnym stopniu zapleśnienia. nawet fajne to. ale łóżko posłane, widać matka nie mogła wytrzymać. Lodzia rzuca swym ciężarem o miękka pierzynę. w

odpowiedzi witają ją sprężyny i huk walącej się wieży czasopism i kolorowych magazynów w którą przypadkiem trafiła plecakiem. jak dobrze. przez półprzymknięte oczy obserwuje nieregularny deseń tapety w odcieniach na różne sposoby przyrządzonego łososa. spomiędzy wzorków wyłania się kształt Adriatyku. przypomina pochylony profil kobiety z upiętym ogromem włosów. zauważyła to na globusie, już w dzieciństwie i teraz widzi na tapecie. tyle razy już ją oglądała, ale tak widzi po raz pierwszy. podobnie jest z kafelkami w łazience, tam to się dzieją historie, a może się śnią w tych mętnych deseniach.

śni jej się to miasto co zawsze. to może być Paryż, ale ilekroć Łodzi śni się Paryż, nigdy nie wygląda tak jak naprawdę, tylko lepiej. jest kilka takich miejsc, które zawsze odwiedza, kiedy o nich śni. na przykład park wyrastający z czegoś w rodzaju sceny. na tej scenie jest szklarnia na planie ośmioboku. porasta ją szaleńcza roślinność, busz roślin, chyba nigdy nie była w środku, widziała to tylko przez szybę. w kolejnym śnie buduje most i pyta Milenę co to znaczy według sennika. a potem idzie przez most z Sanią albo z Miłozem i jest przewodnikiem, bo ona zna miasto, bo to jest jej sen. most nie ma żadnych barierek po bokach, a pod spodem płynie woda, niezbyt szybko się zorientowała w tym, trzeba iść najlepiej gęsiego, środkiem. ale ten most wylany betonem w pewnym momencie zakręca i styka się sam ze sobą, kończąc się i dalej zionie przepaść. Łodzianka obiecuje, że to chyba jedyny taki most w jej Paryżu, że inne są ok. dziwi ją, że nie śni jej się ten ogromny, kruchy, najwyższy most, jakby bursztynowy albo zrobiony z pokrewnego kolorystycznie czegoś, jakby opływający miodem. jest tak wysoki i potężny, że cały Paryż kuli się pod nim i pomimo tej jego kruchości jest się na nim malutkim. nie ma tego mostu w tym śnie. chociaż tak jakby był, bo przecież dziwiła się, że go nie ma.

znalazła też jakąś zagubioną w parku parę, której natychmiast obiecała seks, a oni jej nie uwierzyli, więc poprowadziła ich do ustronnego miejsca w tym parku, którego drzewa uginały się pod obfitością jakiegoś czerwonego owocu i już, już myślała, że znalazła taki ustronny kącik, ale to, co zdawało się go osłaniać, okazało się być ludźmi. w końcu weszli do pewnego pokoju oddzielonego od parku zmiętą kotarą koloru musztardowego, ale ta para już gdzieś zniknęła, więc Lodzia dopadła dwóch facetów opartych o maskę auta. położyła każdemu rękę na rozporoku. jeden z góry powiedział, że nic z tego nie będzie i rzeczywiście, nic się nie dało wyczuć pod ręką, ale ten drugi zaraz był gotów, jego penis był jak z kreskówki, różowy i wielki. a potem z powrotem w parku spotkała chłopaków i Sonię, która miała przećpane oczy, proponowała wszystkim jakieś narkotyki, kwasa albo coś do wciągania. nikt nie chciał, ale Lodzia tak. musiała założyć skarpetki, żeby nie zmarznąć, Sonia mówiła, że nigdy nie wychodzą bez skarpetek. była tam też Milena, narzekająca na stercząca grzywkę. sterczała jej tak samo jak Lodzi, bo Lodzia ma gniazdko z przodu głowy i z tyłu też, nikt tak nie ma, a Milena miała.

potem przychodzi cześć turbulentna, bez obrazków, za to pełna sztormów i niepokoju. a potem do pokoju wchodzi matka, wciąż dźwigając wyładowane żarciem siatki. ciekawe gdzie polowała.

wracanie do domu rodziców jest zwykle zabawne przez może pierwszy dzień albo dwa, później następuje przypominanie sobie od czego się uciekło. przypominają się wszystkie sprzęty domowe, o których podczas nieobecności nie myślało się ani razu. te krzesła: czy one tu naprawdę były cały czas jak mnie nie było? wtedy zauważa się dziwne gabaryty zlewu, stołu, wszystko wydaje się mniejsze albo większe, a znajduje się niżej albo wyżej. tyle dobrego. potem już tylko zanurzenie się, byle płycej, w życiu domowym. powtórka ze slangu rodzinnego i hasel obarczających obowiązkami i

wyrażających wyrzuty. niedziela pachnąca trawionym obiadem i siedzeniem na dupie. więc Lodzia nie chce się w to mieszać, wyjada matce drożdżówkę, całuje ją, obiecuje poprawę, zbiega po schodach i idzie na przystanek autobusowy. jeszcze nie wie, że dziś nic nie jeździ.

Halina Korbias ma tylko jeden sen i rzadko jej się śni. jest zawsze taki sam. śni jej się, że potyka się o krawężnik i wtedy się budzi.

nigdy więcej gości. prawdziwy bohater bawi się sam. niedobrze jest w ogóle opuszczać zaufane pielesze łóżka. Sonia ma w głowie cały plan akcji, uważnie poskładany jeszcze w rejonach ciepłych bagien pościeli drukowanej w klocki Lego, których analiza nieraz spędzała jej sen z powiek. i jeśli w końcu sen nadchodził, to budowany na plastikowych fundamentach, karkołomny i bez sensu.

w końcu udało jej się wstać z tej błogiej ciepłoty własnego autorstwa. jest dumna, że jej ciało potrafi wyemitować tyle ciepła. Sonia wygląda przez okno. sklep „Owoce warzywa surówki”, w którym kupuje śniadania, obiady i kolacje, zamknięty, choć niedomknięty. ktoś zaczął zabijać deskami, ale chyba się zorientował, że to bez sensu. trzeba było kupić jakichś konserw. Lodzia już dawno sobie poszła. Sonia odprowadziła ją wzrokiem z okna. trochę dziwnie jej się zrobiło, ale bez przesady. mało co przejeżdża jeszcze ulicami. teraz może w końcu wszystkie roślinki wystawić na balkon. wcześniej obsiadała je sadza z aut, były brudne. Sonia żuje bazylię z oregano. zaprawia melisą. pierwotne ostatnie śniadanie. melodramat florystyczny. i w ogóle egzaltacja. czas się zmywać, jechać po tatę.

czułe spojrzenie na cztery ściany ulubionej kryjówki. w paru miejscach, emulsja się łuszczy, odslania kolejne, różnokolorowe warstwy farby, karty historii, na których ukryty jest zapis dziejów poprzednich lokatorów. dużo warstw. musztardowa, szmaragdowa, leśna zieleń, biel. w końcu jeżeli nikt nic z tym nie robi, nie skuje i nie położy jednej, świeżej farby, albo jeśli nie nadejdzie trzecia wojna światowa albo wojna nuklearna, która pokruszy ten

ostatni bastion pamięci o tych, których nikt już nie pamięta - to za kilkaset lat, w mniej więcej roku 3000, większość pomieszczeń zamieni się w bryły farby. na razie ludzie remontują, zamalowują, nikt nic nie zauważa, nie zauważają stopniowego zmniejszania się przestrzeni mieszkalnej. o pół milimetra na malowanie. wkrótce zaczną się dziwić, dlaczego metraż mieszkania się zmienił, albo nawet się o tym nie dowiedzą, bo kto to sprawdza na nowo, jak już się raz policzyło, nikt nie podejrzewa takiej farbiej kradzieży, ukradkowego przesuwania granic swojego terytorium. trzeba będzie całe miasta burzyć i budować od nowa dla przestrzeni życiowej. powstaną wielkie rzeźby wykuwane w blokach farby, które dawniej były budynkami mieszkalnymi. po skuciu zewnętrznych murów zostanie już tylko szlachetny kruszec, okaz niepodrabialny, ludzie będą się zachłystywać ilością miejsca w nowowypbudowanych mieszkaniach. po latach cieśnin. będą w szoku skakać z okien nie radząc sobie z ilością przestrzeni. nie dociera jeszcze do Soni, że problem sam się rozwiąże. przynajmniej w tym kraju.

plecak jest. paszport. kasa, klucze? sztyft do ust. witaminy dla aktywnych. coś do pisania. z lodówki resztką sera i chleb. pamiątka pierwszej komunii świętej z regału, żeby się potem pochwalić pomysłem na emigracji. otwarte okna, cip cip, ptaszki pa pa rybiki.

schodzi w pośpiechu, nie wie dlaczego w pośpiechu. i z ciężarem u obu rąk. jak była mała, to miała nadzieję, że w kamienicach jeszcze nie ma windy, bo będzie dobudowana. ale. to jest zabytkowa kamienica jak się okazało później. i. stąd. przystanek co. półpiętro. a czasem. nawet w. poł. wie. pół. pię. tra. sąsiadka też dopiero teraz schodzi. hardkor. chyba coś się tam musiało rozegrać, jakaś patologia, może zasnęła. zabiera ze sobą pieska za granicę. ciekawe jak to prawnie jest ze zwierzętami. chociaż odpowiedź w

zasadzie biega po ulicach. jest trochę chomików, trochę szcurków, tych nie szcurzych, a sklepowych. one będą miały najgorzej. prawdziwe szczury z kanałów i piwnic im nie odpuszczają. pies sąsiadki to jeden z tych, co bardzo dyszy. zawsze. pomimo tego, że schodzi po schodach, a nie wchodzi, to Sonia już widzi jego wywalony język i permanentne coś jakby zmęczenie, ale też nie. to jest tylko psie. pomimo większego obławowania Sonia rozwiera odrzwia bramy i wypuszcza sąsiadkę. ta się kryguje. bo Sonia ma bagaże. ok. dziękuję, Sonia idzie przodem. piesek dalej dyszy jej w tydki jak mały perwert. na do widzenia. pomimo już parteru. do widzenia, powodzenia. pa kamienico. a kamienica Soni była jedną z tych pięknych kamienic, na które nigdy się nie patrzy, dopóki ktoś inny nie zwróci na nią uwagi, albo kiedy trzeba się z niej wyprowadzić i wtedy w ramach pożegnania czyni się spostrzeżenia. można też sobie zepsuć humor, jeżeli w jakiś wyjątkowo ładny dzień spojrzy się w niebo mrużąc oczy i zauważy się ciemną wnękę, z której wychyla się wielka matka boska w samobójczym uniesieniu wychylająca się nad chodnik. elewacje obfitują w symbolikę i zdobienia, masońskie cyrkle i węgielnice naprzeciw świętych ze smokami. ten lokalny eklektyzm wieńczy ciężka figura sowy o gabarytach niemalże ludzkich.

Sonia idzie szybko, nie oglądając się na nikogo i na nic. oglądanie nie jest jej mocną stroną, a szkoda. zobaczyłaby więcej tego, na co wkrótce nie będzie mogła już patrzeć. nie udało jej się ostatni raz zerknąć na kiosk ruchu, z którego kioskarka wypakowywała do toreb co cenniejsze rzeczy: dezodoranty, tanie perfumy, gumy do żucia i papierosy. gazetki na długą drogę. widziałyby po raz ostatni piękną pocztówkę z tramwajem numer dziewięć w pierwszoplanowej roli oraz swój przystanek, z którego do jutra nie zostaną nawet reklamy. zobaczyłaby, że pogoda gwałtownie się psuje, że z nieba leci tynk i dziurawi parasole pozostawione w ogródkach piwnych, które

kolejno zaczynają znikać. jutro Sonia obudzi się będąc jedyną w okolicy fortecą oblężoną przez brak wszystkiego, co zwykle widać z okien.

sygnalizacja świetlna przestała działać. pasy są ładne, prawie nieużywane. ale śmietnik zapelniony. i co? i nie wiadomo co z tym zrobić. nie ma takiej nagrywarki do tego stanu tutaj. żeby ktoś inny też mógł kiedyś, później to poczuć tak samo jak Sonia. to jest trochę jak film, ale nie dokument, tylko na żywo. albo nagrać ten smród. teraz się dopiero okazuje co się dzieje, kiedy śmieciarki nie przyjeżdżają. ostatnie dni mieszkańców kiszą się, rozpleniają śmieciem i odpadem na całe miasto. ostatnia pocztówka z kraju. zapachowa, o zapachu ojczystej ziemi. za pomocą kondensacji taki efekt tylko się zdarza, a teraz akurat są warunki. postępuje egzaltacja w sercach tych, którzy jeszcze nie wyjechali. wzruszenie i żal. teraz się kocha obluźowane płyty chodnikowe, które zwykle zbierały pod siebie deszczówkę, by zdradziecko zalać buty przy nieopacznym stągnięciu na nie w słotną pogodę. albo kraty studzienek, w których dziewczętom zamierał stukot obcasów. melancholia stopniowo ustępuje ciekawości, budzi się instynkt przetrwania. w miarę zbliżania się do centrum atmosfera gęstnieje, syf na ulicach też. bo w centrum wciąż gorączka. temperatura taka, że krew się ścina. ojciec mieszka w rejonach najwyższych temperatur i najwyższych wieżowców. mieszka za kulisami tej miejskiej, przaśnej scenografii. światła, kamera, akcja. a takie światło jest tylko w sierpniu. idzie się ulicą i nic nie widać od światła. nawet komary ślepną, nie trafiają w skórę.

czy komar może ugryźć dwa razy w to samo miejsce? może z głodu? teraz się okaże które zwierzęta są najgłupsze. zobaczymy które zostaną do końca. które się nie połapią w nowych zasadach, w nowym braku zasad. jak na razie naprawdę prowadzą komary. siedzą w zaroślach, nic do nich nie dociera oprócz tydek, czasem ramion. co one w ogóle jedzą oprócz krwi?

Soni wydaje się, że słyszy dźwięk lodziarza – tego, który hurtowo sprzedaje pod klatkami schodowymi lody upakowane w białej ciężarowej lodówce. i znowu. dźwięk pod koniec, wieszczący porażkę. szybujący w dół, na łeb na szyję. może dlatego rodzice nigdy nie chcieli kupować tych lodów. bo ostanta nuta jest przegrana, niesmaczna.

w tramwaju ścisk, a więc tu się wszyscy schowali. widocznie to pierwszy i ostatni tramwaj tego dnia. na następnym przystanku wsiada dziewczyna, malutka i wątła, chude nóżki, lekko kuleje. dobry materiał. Sonia w myślach sporządza notatkę. dżinsy z niegustowną, błyszczącą aplikacją na małej pupie, buty na wielkim koturnie, żeby wyglądać na wyższą, a dzięki tym staraniom podkreślać niski wzrost. błyszczące te buty, sportowa kurtka w stylu amerykańskich czirliderek do eleganckiej torebki, chyba dodatku do gazety. włosy o wyglądzie tłustych frytek, równie żółte co karbowane, sięgające ramion. z około dwudziestocentymetrowymi, czarnymi odrostami. może mieć ze 30 lat. nawet 35. takie to mają dobrze, całe życie wyglądają jak dzieci. zawsze chude, małe i nieodpowiedzialne. takie dziewczyny zawsze wyglądają tanio i brutalnie. ich matki paliły w ciąży, co od razu widać. potem wychowywały je w lepko-dusznej atmosferze patologii, a czasem skandalu. i one przez to nie rosną ze strachu i przez te fajki od zarodka do teraz. o właśnie, dziewczyna chyba zaraz wysiądzie, bo już sobie szykuje papierosa. za duże pierścionki chybczą jej się na kościstych palcach, zaraz jej pospadają, to są bardziej bransoletki na palce. mogłaby to opatentować. wysiadła, więc za późno. szkoda.

podróż na trasie tych kilku przystanków okazuje się być jakimś chorym wożajem. działkowicze z plonami, bagaże sięgające sufitu. tramwaj bierze ostry zakręt, zaraz się nie wyrobi, zaraz to wszystko trzaśnie, może to i lepiej,

myśli Sonia, bo nie ma siły wstać ze swojego siedzenia, brać tych wszystkich siat, poza tym śmiesznie wygląda i wstydzi się ludzi. gdyby się rozbili nic by nie musiała robić, wszystko by było zrobione za nią, zabraliby ją do białego szpitala, do sztywnej pościeli, w zapach lizolu i duszonych ziemniaków. tylko tyle. czy to za dużo? ale jedziemy dalej.

gorąco. ze względu na obniżoną temperaturę na zewnątrz, która jednak przestała obowiązywać w nienaturalnym tramwajowym ucisku, gorąco zaskoczyło wszystkich i nagle cały tłum pasażerów, zawstydzony swoim nieprzygotowaniem do tak bliskich kontaktów z innymi, nieogolonym ciałem, tłustymi włosami, oblewa się potem zamiast rumieńcem wstydu. wszyscy są zestresowani, odurzeni tępą ciepłotą uderzającą w nich przez okno spoconego tramwaju. przyklejeni mokrymi tyłkami do siedzeń, mrużą oczy, łzawią, a strużki brudnego potu zastygają im na policzkach. płaczą brudem i potem czekają, aż ciepła breja zaschnie i sama się wykruszy. oddychają mętną zawiesziną soków współpasażerów, zmęczonych owadów i smrodem usychających kwiatów, które nawet nie zdążyły jeszcze rozkwitnąć, ale działkowicze chcą na pamiątkę. sami powoli zasychają. „na pamiątkę” to też ostatnio bardzo popularne i ważne słowa, ale o tym będzie później. wszystko to, co powyżej, prowadzi do nieuniknionej kłęski ostatniego kursu tramwajowego, jest po prostu za dużo światła. w końcu ostre cienie ludzi zaczynają ciąć ich samych, tak odwodnionych jak wykrochmalona pościel. są jak papierowe ludziki, jak chore orgiami, co się samo rozcina i z powrotem składa. te pozostałości po nich, te ścinki, przeterminowane ciała, zaczynają łączyć się w nowe konfiguracje, wszystko zaczyna mutować i jęczeć, pod dowództwem spoconego słońca. postępująca hybrydyzacja wszystkiego roztopia plastikowe siedzenia tramwajowe, puszcza klej spod wszelkich reklam, ogłoszeń drobnych i podeszew butów. cała grupa działkowiczów,

podróżujących w wagonie pierwszym po prawej stronie, lekko już podtopiona we własnych sokach, śmierdzi naftaliną, walerianą i tabletkami przeciwważowymi. wielkie wiertło smrodu wdziera się to tu, to tam, w różne otwory ciała, fermentuje się wszystko to, co nie jest szlamem brudnych myśli i kompostem informacji. tak ogołoconym z danych pasażerom, pozostaje już tylko roztopić się do końca, zlepć razem w tej jednej, obślizgłej masie, jak śmierdząca bomba rumowa uformowana z wszelkich możliwych resztek, z odpadków, niemożliwych do przetrawienia faktów. nad tym tętnem odpadu furkocze konfetti z nieprzetopionych biletów, świętych obrazków i uschniętych liści, opadając nań jak ciężkostrawna, sztucznie barwiona posypka, po której na zawsze będzie się wszystkim odbijać.

więc Sonia odbija się od ścian i dobiega w końcu do wyjścia. jeszcze tylko odbija jej się nawdychanym w tramwaju smrodem i już siny blask słońca przypieczętowuje bielmem jej oszołomione ostatnimi zdarzeniami oczy.

Renata jest w szpitalu, ale nie zastała go na miejscu w normalnej postaci. puka do wszystkich drzwi, nawet do tych, które oswobodzone z okowów ścian stoją dęba wśród pofalowanego linoleum niedawnych korytarzy. w rejestracji nikogo. kazali jej się zgłosić po wyniki, przyszła wystrojona i wystraszona z nerwami napiętymi jak struny, z nerwami jak pęknięte struny, wybebeszonymi, ze złamaniem otwartym nerwów, teraz nawet lekki wiaterek ją boli, wszystko ma na wierzchu. tak, szpital się rozpada. jest intensywnie atakowany przez korozję i erozję i tym podobne degradujące procesy. zapadają się nawet ściany tych pomieszczeń, które miały pozostać ściśle zamknięte. wstawione w żelbeton drzwi na zatrzaski i zamki od progu do samej ich góry, pokrętła pełne szyfrów i mosiężne wajchy nieruchawe z zasady wciąż stoją, nie tracąc równowagi nawet wobec upadających ścian, korytarzy i sufitów. tajne pomieszczenia, które schowane były za siedmioma ścianami i za siedmioma drzwiami, są albo bardzo sterylne, czyste i białe, albo zagrzybione, zapajęczone i zgaszone od kurzu. granice są ostre, kontrasty jaskrawe.

większość pomieszczeń to graciarnie, składy pozornie przypadkowych obiektów i akcesoriów do niewiadomo czego. część musiałaby być skradziona z muzeum historii naturalnej, gdyby ten kraj takie posiadał, nie tylko teraz, bo teraz już niczego nie posiada, ale nawet dawniej, w czasach świetności. ale tu nigdy nie było historii naturalnej, bo ta historia była od początku nienaturalna i chora na zaraźliwą chorobę. a teraz wszyscy zarażeni uciekają i poniosą wirusa w świat, a jemu zostawią tu bardzo dużo miejsca, żeby mógł się rozpaść, utuczyć i wyewoluować w o wiele bardziej złożony organizm. tak wynika z dokumentów, które Renata bierze do rąk i ogląda w

otępieniu, ale i tak nic do niej nie dociera, bo tak się boi, że nie wie co czyta. rejestruje wzrokiem, ale jej nośnik pamięci tymczasowo jest wyłączony. ot co, wirus wkradł się w nią chyba nawet bardziej niż w innych. gdyby tak nie było, widziałyby, że w ogromnym bioreaktorze o objętości chyba tysięcy litrów brudnawej i mętnej zawiesiny pływają komórki i pożywka dla nich, bezbronny i malutki plankton. powinna się zdziwić, że jak to możliwe, że widzi gołym okiem komórkę, mitochondrium i tę resztę jego skromnych flaków. ale nie dziwi się, bo w jej mniemaniu jest to tylko duże akwarium z brudną wodą i obfitym narybkiem.

ogląda szkielet ptaka dodo pod szklanym kloszem, ale co z tego, skoro nie łąpie powagi i uroczystości sytuacji; myśli, że to kaczka, tajny gatunek, skrzętnie ukrywany przed prywatnymi hodowcami i restauratorami. dalej stoją misterne konstrukcje zbudowane ze sprzętu laboratoryjnego, kruche mikroświaty z delikatnego szkła. dziwne humanoidalne preparaty, kawałki dzieci i dorosłych w zawieszanej i brudnej formalinie, w słóczkach uzębienie przyszłych pokoleń, dziwne kolory ich oczu i inne tajemnice państwowe. ściany pokryte są warstwami wykresów i diagramów, ilustrujących efekt końcowy pracy nad wynalezieniem nowego koloru, na który natura nie wpadła w złamanym postrzeganiu światła. szczegółowo zilustrowany jest proces powstawania koloru oraz metody otrzymywania barw pokrewnych, proporcje i przepisy na atrakcyjne odcienie. obok wiszą zapisy reakcji psychofizjologicznych badanych osób na nowy kolor w sytuacjach stresu, euforii, niebezpieczeństwa, głodu i sytości, a potem w stanie neutralnym. jest nawet nazwa robocza: kolor F20.2. ostateczne wyniki przypisują kolor stanom odrętwienia, osłupienia wywołanego długotrwałą apatią albo łagodną formą stuporu. ma on służyć jako nieinwazyjny środek pacyfikacji masowych zgrupowań, manifestacji i zamieszek oraz innych form niekontrolowanych

zachowań masowych. Renatę wszechobecność F20.2 wprowadza w letarg i umysłowo-ruchowy paraliż. nie ona była targetem jego twórców. tacy jak ona nie potrzebują żadnych bodźców, bo i tak gotowi są zastygnąć do tego stopnia, że przy byle interakcji może dojść do naruszenia integralności cielesnej i rozpadu członków na zastygłe fragmenty, w zasadzie na ludzkie klocki. można by tak postępować z więźniami czy innymi problematycznymi jednostkami, nieskłonnyimi do asymilacji czy społecznego przystosowania. te klocki z nich mogłyby potem służyć całym pokoleniom młodych adeptów medycyny oraz dzieciom i młodzieży na zajęciach z anatomii. nauka poprzez zabawę, nie wspominając już o korzyściach dla studentów sztuki analizujących dzieła kubizmu.

gdyby tylko Renata wiedziała co widzi, ale nie. ona tylko patrzy, a i to w niskiej rozdzielczości, bo nie zauważa, że już od dawna jej szkła korekcyjne straciły datę ważności, że spadek dioptrii jest systematyczny i katastrofalny i że to nie świat się stapia w kolorową breję, tylko że to ona się powoli - ale konsekwentnie - odkleja od tego na co kieruje swój wąty wzrok. jej świadectwo ze szpitalnych odkryć byłoby tyle warte, co jej chore serce, o którego kondycji nie udało jej się zdobyć informacji, ale której to wiedzy szuka na oślep wśród zdezelowanych, szpitalnych sal, nie zauważając ile po drodze przegapia i że wszystko na czym zatrzyma swoje mętne oczy, mogłoby znaleźć się na pierwszych stronach gazet, które czyta codziennie Roman. gdyby to nie Renata znajdowała się teraz w tym szpitalu, można by z tego uknuć historię na niejeden dobry film akcji albo thriller. wielka tajemnica państwowa, nieetyczne sekrety nauki. zagrożenie dla świata. ale to nie jest film, tylko szara proza, tu jest Renata, która jest zbyt nierozgarnięta, żeby docenić fabułę, w której została osadzona, by wykorzystać możliwości scenariusza.

oczy Renaty przypominają niedziałającą sygnalizację świetlną. są ciemne i niczego nie wyrażają. zmysł wzroku woli być jeszcze bardziej upośledzony w obliczu dziejącej się degrengolady, maskarady, balu przebierańców, karnawału, halloween, pochodu pierwszomajowego i wielkiej nocy, wszystko zsynchronizowane i odbywające się paralelnie. żadne tam rozszczepienie rzeczywistości, jest jedna i po prostu bardzo złożona, źle złożona, jak kostka Rubika, której nie tylko wszystkie ścianki są różnych kolorów, ale też wszystkie jej poszczególne kosteczki. najchętniej wyprałaby je wszystkie w pianie, którą toczą jej przerażone i rozwarte usta, w które najchętniej sama by uciekła, w samą siebie, w autopożarcie i samostrawienie. żeby były białe, wszystkie strony miasta, albo najlepiej papierowe, zaawansowane orgiami ze stuprocentowej makulatury. z tej czystej fantazji o odplamiaczu, o środkach piorących do białych materii, o wykrochmalonych bryłach, Renata wraca do domu i przypomina sobie o raku, którego na pewno ma w sercu, ale za bardzo bali się jej o tym powiedzieć i zamknęli szpital, zlikwidowali całą placówkę, mało tego, kasują całe miasto i pewnie jej mieszkanie też, żeby rak nie miał gdzie mieszkać, żeby ona nie miała gdzie mieszkać. to jej wina jest. jej. kiedy była mała, podejrzewała, że życie rodzinne i szkolne, w którym bierze udział jest mistyfikacją. miała teorię, według której wszyscy z jej otoczenia nosili specjalne nakrycia głowy, takie czapy o hiperrealistycznym wyglądzie ludzkiej głowy, które zdejmowali tylko w nocy, kiedy ona spała. wyobrażała sobie, leżąc w łóżku, jak cała rodzina, sąsiedzi, cały blok i dzielnica stają w swoich dużych pokojach pod pięcioma snopami światła z pięciu żółtych żarówek, wchodzących w skład pokojowej lampy, zdejmują czapy i zamiast głów mają czarne, kolczaste kudły, nieforemne i splecione. gdzieś spomiędzy gąszczu ciemności czarne węgielki oczu odbijają

po pięć świetlnych punkcików każde. a wszystko to, cała ta maskarada w domu, szkole i na ulicy, w szkolnych podręcznikach i w telewizji (tylko w tych programach, które rodzice pozwalali jej oglądać), tylko po to się dzieje, żeby nigdy nie dowiedziała się, że jest inna niż wszyscy. było to oszustwo czułe i popełniane z życzliwych pobudek. roztrząsała utrudnienia organizacyjne, wynikające z jej bytności gdziekolwiek poza własnym pokojem, trud logistyczno-synchronizacyjny, koszty jakie ponosi państwo i każdy obywatel, by podstawić rzeczywistość do wzoru, według którego ona funkcjonowała, a który był błędny i nieprawdziwy, prowadzący do absurdalnych wyników i interpretacji, fałszywych obserwacji, do wniosków kłamliwych i o poziomie abstrakcji przyporządkowanym o szaleństwo. co za emocje, gdy wchodziła do tramwaju i akurat jej się przypominała prawda, jakie napięcie, gdy bez uprzedzenia wychodziła z lekcji i szła do woźnej, że niby po kredę. zawsze gotowi; wszyscy w środku ogrywania roli w przedstawieniu, którego ona jedyna była widzem. a teraz to.

koniec świata przez raka jej serca.

Renata przeciera grube denka okularów. ma od tego wszystkiego światłowstręt. pragnie czystości, spokoju, bieli i ligniny. zaciąga zasłony. pieski, dzisiaj najwyżej na balkon wyjdziecie. już wiecie co i jak. chyba, że pan się zlituje nad wami. już ma załadować pralkę i udawać, że nic się nie dzieje, kiedy zmienia zamiar. siada na kanapie, jest zmęczona. ma chyba też migrenę, a przecież to nie jest najgorsze co ma. wzięłaby jakieś z tych Romana leków, ale nie wie które są na co. zamyka oczy. Renata chciałaby zamieszkać w pralce. tam to musi być. wśród ciepłych swetrów Romana. Spowita w miękką pościel. mogłaby od wewnątrz prac. w czasie wirowania chowałaby się w jedną z tych dziurek, których w bębnie pralki są tysiące. doglądałaby procesu czyszczenia od wewnątrz. rzucalaby się w spazmatyczny taniec razem z chustkami, ręcznikami, slipami Romana. już ona by wszystko wyczyściła. wszystko by wymyła, nieczyste zaszczości z szwów, spomiędzy splotów i oczek tkaniny. na wyjątkowo odporne resztki i plamy rzuciłaby się Renata ze swymi mięśniami prarialnymi. to są te mięśnie które wykształcają się poprzez wyciskanie ręczne prania. płukała by wszystko delikatnie, pachnącym płynem, który jest co prawda bardzo drogi, ale najlepszy na rynku, importowany, kupuje go w specjalnym sklepie z chemią zagraniczną. płucząc mogłaby sama wykąpać się przy okazji w pachnącej i gęstej mazi, sama stałaby się miękka jak bawełna, delikatna jak jedwab, czysta jak dziecko. Roman by jej nie poznał, założyłby ją do pracy i mogłaby obejrzeć jak na filmie, gdzie on pracuje, jak tam jest w tej portierni, co dokładnie należy do jego obowiązków i za co jest odpowiedzialny.

kiedy zasypia, śni jej się, że grób jej dziadków jest jednocześnie grobem dziadków Romana, co w tym śnie jest dziwne. po cmentarzu krąży Cyganki i

chcą zabrać z grobu wiązanki, podczas gdy modlą się z Romanem. Renata beszta je, by brały i nie przeszkadzały. potem przez groby toczą się małe, okrągłe cyganecki wielkości piłek do koszykówki. masturbują się z namaszczeniem i bardzo wnikliwie. jest w tym coś z dziecięcej ekshibicji, nieświadomionej i nachalnej. Roman wkłada jednej rękę między udka. wyjmuje całą moką, a wtedy Renata wstydzi się za niego i nie chce go znać.

Lodzia obiecała matce, że dojedzie do niej zaraz jutro, że ma tu kilka małych spraw i że może się spóźnić o dzień czy dwa jak zwykle. ale że dojedzie. potem poszła odprowadzić ją na dworzec, wysłuchiwała rad i nakazów, wyczuwały się. dworzec zamienił się w wielką pożegnalnię, wypełnioną tłumem całujących i ściskających się ludzi. obiecujących sobie różne rzeczy, których i tak nie dotrzymają albo tylko płaczących rzewnie. wspięły się na peron metalowymi schodami, które przypominały blachy po spalonym cieście, którego niezeskrobane resztki były jak rdza patynująca od lat masywny pomnik dworca głównego.

matka wsiadła w końcu do pociągu. Lodzia jeszcze zadzwoniła do niej, żeby zapytać czy siedzi i czy ma miejsce, matka była nerwowa, szybko ucięła rozmowę, no już, bo szkoda impulsów.

umówiły się, że Lodzia nie będzie czekała do odjazdu, bo wtedy tylko stoi się i wgapia z wzajemnością w osobę za szybą i nic z tego nie wynika, chyba że po dłuższej chwili zniecierpliwienie i zażenowanie. i jest to raczej krępujące i smutne po chwili. więc poczekała aż matka usiądzie w przedziale – zobaczyła ją przez okno i ruszyła w swoją stronę, ale jednak nie do końca stanowczo. czuła się jakby coś ważnego wypadło jej z kieszeni na chodnik, a ona mimo to szła naprzód i nie odwracała się, nie wracała żeby to podnieść. niewygodne uczucie. a jak już matka przysłała jej płacznego smsa, to po prostu musiała zawrócić. nie chciała jednak otwierać na nowo raz zamkniętej sytuacji z pożegnaniem, więc stała w ukryciu i obserwowała pociąg, który jakoś nie mógł wystartować. stanęła koło czerwonego hydrantu w pewnym oddaleniu, już na ulicy. nie była w stanie z takiej odległości rozpoznać matki,

ale wiedziała, że ona tam jest. mijają ją pełno ludzi i trochę głupio było jej tak sterczeć w bezsensownym miejscu, ale potem pomyślała, że to nieistotne, bo oni mijają ją w ciągu kilku sekund, czyli nie mogą wiedzieć jak długo ona już tak stoi koło hydrantu. a później spojrzała na ogromne wieżowce po drugiej stronie ulicy i szary kloc bloku mieszkalnego. to nawet nie była kompulsja, Lodzia naprawdę chciała strzepać z siebie ciężar tego pociągu, jego odjazdem odciąć tę niedorzeczną pępowinę. na pewno jest jednak ktoś, może w którymś z wieżowców, jeżeli ktoś tam jeszcze w ogóle przebywa, ktoś kto patrzy teraz przez okno i widzi tę dziewczynę w fioletowej koszulce, która od dwudziestu minut stoi na środku ulicy tuż przy hydrancie. Lodzia myślała o wyjęciu komórki. wydawało jej się, że dzierżąc ten sprzęt w dłoni łatwiej będzie jej stać na ulicy, będzie usprawiedliwiona i już nie taka beczynna. ale właściwie nie chciała usprawiedliwiać się przed ulicą, ani udawać, że jest na niej aktywna. chciała dziś wykorzystać swoje prawo do stania beczynnie na ulicy. prawo do publicznego odprawiania rytuałów kompulsji. co jednak, jeżeli ten jej obserwator z bloku albo biurowca też cierpi na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne i musi pozostać przy oknie aż Lodzia ruszy się z ulicy, albo co gorsza; aż zniknie mu z pola widzenia, a ten ktoś jest na przykład na dwudziestym piętrze. bo Lodzia musi stać dopóki przestanie w ogóle widzieć pociąg. tworzą więc zakłęty związek, zazębieni o sobie nawzajem. może zresztą ten łańcuch ma więcej ogniw, może ma jakąś swoją kontynuację.

pociągiem w końcu szarpnęło i ze skrzypieniem i długim piskiem zaczęło się toczyć w dal, unosząc z sobą matkę.

Lodzia nigdy nie dotarła na działkę. musiała zajrzeć do Kroina, wstąpić do niego po drodze, a to wcale nie było po drodze. bez Kroina nie chce emigrować. może wyjadą razem. przynajmniej będzie okazja, żeby się w

końcu poznać. już tyle razy chciała się z nim zobaczyć, a taki pretekst nie zdarza się często.

pierwszy szok.

napis na murze Kroin jest zamalowany innym napisem.

Potse.

Potse, Potse przez całą ścianę Potse. i jeszcze trochę Enemy, Enemy Enemy.

Lodzia gniewnie chwyta za sznurowadła, ciągnie, zbutwiałe skrawki włókna zostają jej w ręce, chowa do kieszeni na pamiątkę. nie ma go. nie ma znowu. przebieżka po wszystkich pomieszczeniach o wciąż niezidentyfikowanej funkcji. oprócz tego, że miała tu miejsce jakaś impreza, to nic się nie zmieniło. nawet jej nie zaprosił. na środku salonu tajemny krąg z puszek po piwie. ale żeby kiepować na podłogę? kręconymi, bez filtra. będzie rak. Lodzia знаła kiedyś taką, jakie ona kręciła fajki! grube i powykręcane, że nie można było uwierzyć, że to jej się paliło. umarła potem na raka z dnia na dzień prawie. a przynajmniej mogłoby tak być. a tu ze szminką pet. lepiej nie patrz Lodzia, bo ci to wejdzie do oka. zdrada! przed oczyma, ale tylko w obrębie głowy, przetaczają jej się barwne i trójwymiarowe oraz udźwiękowione wizje ciężkiej rozpusty; skomplikowane konstrukcje z ciał obracają się przed nią jak w zepsutym kalejdoskopie, przybierając figury, nie tyle wyuzdane, co niemożliwe. słowo miłość zawiera w sobie aż trzy narodowe litery. łść. obłe w brzmieniu, jakieś rybiste takie i wilgotne. nie może się udać. nie w tym kraju.

z wielkiej bezsilności, smutku, wyczerpania fizycznego i umysłowego, z powodu buntu oraz naglącej potrzeby fizjologicznej, Lodzia zdejmuje majtki, kuca i sika na dywan, zaprawiony już w takim traktowaniu. struga moczu, pod wpływem wysokiego ciśnienia i złości, pieni się przy zetknięciu z twardym

dywanem, skorupą z poprzednich form znaczenia terenu, pochodzenia organicznego. rozpryskuje jej się trochę po łydkach. pociera jedną nogą o drugą, resztę ręką i w spódniczkę to. skończyła. majtki w górę, otrzepuje nogę i wychodzi.

Halina Korbas. nie, teraz o niej nie będzie. brak słów.

spod nóg zaczęli jej podbierać płyty chodnikowe, całe połączenie asfaltu zdzierali i nawijali na wielkie szpule, których potem nie sposób było ruszyć z miejsca, nikt nie obsługiwał dźwigów, niczego nie budowano, rozbiórek nie nadzorowano. pod chropowatymi i posklejanymi z różnych odcieni i o różnej metryce warstwami asfaltu, leżał zatęchły dywan miejskich historii. cała historia śmiecenia na ulicach. tanie bilety tramwajowe, bo sprzed dekady, papierosy jeszcze bez filtra, pierwsze numery bravo ze zdjęciami niemieckich grup, o których nikt w tym kraju nie słyszał, ani wtedy ani później. smród zbutwienia bucha w twarz, wieloletnia kryjówka deszczu i pomyj zostaje zdemaskowana. niektórzy przywdziewają maski, jakie nosi się na przykład w Szanghaju z powodu smogu. tutaj z powodu smrodu, ale maski made in China są akurat te same. Sonia znajduje przystanek tramwajowy, sprawdza jak pojedzie powrotny, sprawdza rozkład, ale on postępuje nadmiernie szybko, łuszczy się jak nigdy niezeskrobywane z billboardów plakaty. ostatni tramwaj już odjechał, odpada ostatnia warstwa z rozkładu jazdy, jest nią ulotka, a w niej mowa o wyprzedażach wszystkiego i wszędzie. ktoś wyrwa Soni spod tyłka przystankowe krzeselko, i ono idzie pod młotek, tego przystanku chyba już nie ma. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne potwierdza swą przedsiębiorczość: licytuje wszystko łącznie z kasownikami do biletów. ludzie węższą przyszyły relik, więc słuchają śpiewnego głosu licytującego:

- i przechodzimy do pozycji numer trzy. jest to siedzenie tramwajowe plastikowe czerwone z roku 2001. mamy tu parę połączeń telefonicznych, proszę o potwierdzenie, czy udało się dodzwonić we wszystkie miejsca... tak. zatem możemy rozpocząć od trzech tysięcy złotych, mamy 3100, 3200,

3500, cztery tysiące u pana z przodu, poproszę o 4500, 4 tysiące mam, pani po raz pierwszy, po raz... drugi, no i 4500 złotych! dziękuję bardzo, ostatnia szansa? 4900! dziękuję bardzo po raz... drugi! i 4980, 4980 mam... po raz... trzeci!!!

jebs pięścią w kubek na śmieci.

- gratuluje panu w wiosennej niebieskiej kurtce, sraczkowatych spodniach i zielono szarych sportowych butach oraz w czarnej czapce z daszkiem. nabył pan siedzonko tramwajowe czerwone wraz z opłatą aukcyjną będzie to 4982 złote, gratuluje, do widzenia, następny obiekt to śmietnik tramwajowy firmy Siemens z napisem „papier”!

Sonia nie czuje się źle. nic się w niej nie zmieniło, zmienia się tylko otoczenie. można zaobserwować systematyczne pustoszenie ulic, stopniowe wyciemnianie miasta i coraz głośniejszą ciszę. wydaje się, jakby codziennie była niedziela, z wyjątkiem obwodnic i przecinających przedmieścia autostrad. tam trwa wielodzienny piątek. to tam przeniósł się ruch i wigor. to tam się teraz dzieje. nie są pobierane opłaty za przejazd, więc ludzie stoją w korkach na A2 i tym podobnych, wcale nie złorzecząc, a pozdrawiając się wzajemnie nostalgią cieknącą z tęczy i tymi spojrzeniami budując tęczę po świeżej ulewie narodowego płaczu i lamentu, na przekór szarudze i beznadziei. ludzie po raz kolejny okazują się być organizmami o psychice niebywale elastycznej, zdolnej dostosować się do wszelkich zaistniałych okoliczności i egzotycznych zawirowań historii i mało tego, przetrwać. dla wielu to w sumie szansa na lepsze, dla reszty i tak nie mogło być gorzej. wyczerpani kryzysem, wyjedzeni przez nienasycony system, ale wprawieni w emigracji, udają się na nią wspólnie ramię w ramię po raz kolejny i ostatni, z bohaterstwem udając się na wygnanie, z pięściami

zaciśniętymi wokół narodowych chorągiewek, masowo nabywanych przed wyjazdem, z malutkimi flagami powiewającymi z samochodowej anteny, wzbudzając podziw i uznanie zagranicznych sąsiadów, demonstrując raz jeszcze swą siłę i niezłomność.

Sonia chce jeszcze odwiedzić Milenę, zanim pójdzie do taty, bo nie wiadomo co będzie potem, czy ojciec jest w ogóle w domu, może już dawno wyjechał. włącza sobie jedyną piosenkę, którą ma zawsze przy sobie, żeby poczuć się lepiej, albo chociaż źle. odebrano jej jedną z ulubionych fantazji na temat własnej śmierci, której mnogość konfiguracji, powodów i technik, była dotąd tyleż misterna, co groteskowo przemyślana. która miała być karą dla wszystkich, których Sonia kocha; a pogrzeb miał być huczny, a grób kwiecic się kolorowo ciętymi kwiatami, równie martwymi, co Sonia leżąca poniżej. fantazja ta nawet z niej samej wyciskała łzy, co dopiero z innych. ale teraz nic z tego. wszyscy się rozproszyli, mogłaby nawet skoczyć z ratusza i nikt by nie zauważył. Sonia wstydzi się przed samą sobą tych egzaltacji, ale fakt nie zostawienia listu, ta tajemnica, ten żal i spustoszenie, jakie miała nadzieję wywołać, trochę uciskały jej gardło przy ich wymyślaniu, trochę czuła łzy w ten sposób, w jaki odczuwa się je na poziomie przetyku w momentach wzruszenia.

na ulicy Mileny dzieje się wielkie monumentalne nic. chmury wyglądają jak gęsta maź wrzucona w wodnisty błękit nieba, maź się w nim rozrzedza, kawałki chmur się odrywają, wyglądają jak szare duchy. Soni zawsze się wydawało, że na ulicach nie ma duchów, ale teraz ulica wygląda jak duch. śmierdzi mokrym gruzem.

do drzwi kawiarni, obok domu, w którym mieszka Milena, siedzi przywiązany pies. jest beżowy, zadbany, chyba rasowy i bardzo niespokojny. nerwowo wierci się, ogląda na wszystkie strony, raz podrywając się z

wesołym merdaniem pomimo braku adekwatnego bodźca, raz przysiadając z uszami po sobie i cichym skomleniem, niepewny jaką taktykę lepiej obrać. Sonia nie jest pewna, podobnie chyba jak i pies, czy właściciel zamierza zaraz wrócić, czy może za sprawą zawitych, lecz gdzieś zawierających błąd, procesów myślowych, postanowił w niestandardowy sposób porzucić psa, utrudniając mu tym samym i tak już wątpliwe przetrwanie w tym widmowym i coraz zimniejszym mieście.

nieregularne oświetlenie, odgórne postanowienie o stuprocentowym braku ogrzewania, sporadyczny ruch drogowy, punktowe skupiska ludzi i rozmów wraz ze śladowymi ilościami wydychanego, ciepłego powietrza, powodują nasiloną jak na sierpień chłód.

panujący bezruch, zimna zawiesina cząsteczek powietrza, utrudnia płynność ruchu, który przypomina raczej brodenie w gęstym mule opustoszałych miejskich ulic, placów i skwerów. ustają drażniące przeciągi na klatkach schodowych, powiewy wilgoci w piwnicach i wibrujące podmuchy klimatyzacji. nawet fizjologicznego pochodzenia ściółka w przejściach podziemnych zaskorupiała i uległa mineralizacji, ledwo ewokując odruch wymiotny. panuje niezmiennie, wszędobylskie i stałe zimno, gwarantowany constans, zamieszkujący mury budynków, ściany, materię otoczenia zewnętrznego i sprzętów domowych. ubrania gorzej chronią przed chłodem, substancje o wysokim współczynniku przewodności cieplnej leniwieją, temperatura ciała niektórych spada nawet do 35,5 stopni Celsjusza.

Sonia kuli się i robi w głowie bilans rzeczy, których nie zrobiła. wychodzi jej wyjątkowo niekorzystny, pomimo wielu wysiłków, by tak się nie stało. trochę wcześniej na nostalgię, ale jednak. wspomina jak siadała na swoim materacu, oparta o poduszki, które były oparte o ścianę, zapalała lampkę z miejsca czuła się źle. dwie kołdry, notesy, popielniczka, pisaki, kredki i rysunki

ludzi spotykanych tu i tam. i to, że zawsze było ciemno, w tym pokoju zawsze było ciemno, nawet w dzień, bo nie odsłaniała firan, albo jej okna wychodziły na cień. niemniej takie myślenie momentalnie wyzwalało na zakończeniach włókien jej układu współczulnego nadmiar adrenaliny, mętnego obrzydzenia i lęku przed faktem, jak miała nadzieję, wciąż jeszcze niedokonanym, że nic nie zostało zrobione. jakby nazwać ten stan prościej? wyciągnęłaby słownik wyrazów obcych, ale termin i tak okazałby się zbyt efemeryczny, przekartkowałaby wiele stron i niepostrzeżenie doszłaby do ź. jest źle. listy zadań do zrobienia i małych misji, kartoteki zaprzepaszczonej szans i przegapionych okazji, dyżurujące przy legowisku chorej powoli więc blakły, naznaczone regularnie okrągłymi pieczęciami po kubkach z kawą, herbatą i musującymi witaminami, które nie działały. te listy zaczęły się zresztą szybko rozmnażać, ich całoroczny okres godowy wkrótce zaowocował piętrami papieru, wyrosłymi dookoła bezpiecznej przystani materaca, zalegającymi na biurku, górującymi nad fiolkami witamin i leków uspokajających, stosami książek, gazet codziennych i miesięczników, płyt, wypłowiałych paragonów, pomadek, kabelków od niewiadomo czego, kapsli po piwie i zużytych baterii, czasem podładowywanych na kaloryferze.

już pobieżne studia nad zadaniami do wykonania zwykle odwzajemniały się bólem brzucha, bogatym w szeroką skalę nasilenia i różnorodną gamę pochodzenia oraz sposobów jego odczuwania. najczęstszym rodzajem bólu brzucha był bezkonkurencyjnie brzuch bolący niewiadomo dlaczego. na tego nie było rady. Sonia miała teorię, że spływa on od głowy i jego pochodzenie ma nie do końca anatomiczne podłoże. była jeszcze teoria melancholijna, teoria czarnej żółci infekującej całokształt. trzeba leżeć i szybko trawić przeciwbólowe o różnym składzie. najlepiej na lewym boku. albo prawym,

nigdy nie może zapamiętać, więc wierci się z lewego na prawy, w tempie nie dającym bólowi szans na unicestwienie się.

ból z głodu to kolejny członek bolesnej rodziny, łatwy do pokonania za pomocą jednorazowej wycieczki do lodówki. gorzej gdy jest pusta. wtedy trzeba podjąć sporo decyzji, zatwierdzić uchwały i wprowadzić reformy co do metody wyjścia z łóżka, rodzaju ubioru i obuwia. nie wszystkie da się przeforsować, lecz jest to możliwe. kończy się zwykle na rewolucji, wyjściu do sklepu na dole. najgorzej jednak, jeśli przy pełnej nawet lodówce, lub chociaż zawierającej cokolwiek prócz pustki, dołączona jest gratis niestrawność, objawiająca się wstrętem na myśl o jedzeniu. wtedy Sonia radzi, by najlepiej iść spać lub pożuć bułkę tartą. tylko nie za dużo, bo może pojawić się ból po tak zwanym trefnym jedzeniu. to też należy przespać i wykreślić produkt z menu na zawsze.

brzuch bolący raz w miesiącu przez okres to pestka. nieciekawym przypadkiem jest bolący po alkoholu. wtedy to, na tle łązankowego pejzażu, mają miejsce spektakularne obietnice i śluby, że już nigdy więcej i nigdy w takiej kombinacji oraz ilości. dziwną odmianą jest brzuch bolący po fajkach. szybko mija, ale dziwnie kłuje. pojawia się przy paleniu na pusty żołądek.

i ostateczność, ból najgorszy, bo nie ma na niego tabletek, a już tym bardziej snu. brzuch bolący ze strachu może dopaść zawsze i wszędzie, ale zwykle dzieje się to bez powodu. gdyby lęk był wskaźnikiem jakości albo ilości człowieczeństwa, to Sonia byłaby nadczłowiekiem. głowa nie nadaża wtedy za sercem, albo odwrotnie, wyścig szczerzych wnętrzności, mający swą metę nieodmiennie w brzuchu. najczęściej dzieje się to nocą. na granicy snu albo podczas banicji z jednego w drugi. żaden sen nie jest dokończony ani porządnie rozpoczęty. ciężkie echo serca bardzo spieszy się ponieść złą

nowinę głowie i potem plotka roznosi się po całym ciele; szybko, coraz szybciej. szybko trzeba działać, ale to niemożliwe, panika paraliżuje rozedrgane kończyny. taki ból włącza się nagle i przez trochę leci niezauważony, aż tu nagle: od kiedy? tropienie go wstecz nic nie daje – lepiej myśleć o przyszłości. a ta jest niewesoła. raczej we wzorki pulsujących wnętrzności, których nigdy się nie widziało, ale być może tak to właśnie wygląda. nerka suka i śledziona cisną ostro; albo to tłuszcz, coś uwiera.

gdyby to chociaż była migrena. najgorsza pulsacja przy każdym kroku - wiadomo, że pochodzi spod czaszki. można się chwycić za głowę, potrzymać ból w garści, ma się kontrolę. ale brzuch jest pojęciem tyleż oczywistym, co nieprecyzyjnym. dotknij sobie brzucha. gdzie się kończy, a gdzie zaczyna? przedtem jest sporo tajemniczego mięsiwa, a potem z tyłu, szeregi chrząstek i innych rzeczy, których lepiej nie ruszać. jest, a nie ma. ból brzucha jest najgorszy, bo jakby go nie było, a jest.

Sonia szybko zapomina o swoim ciele, o jego farszu i składzie. wchodzi na dobrze znaną klatkę schodową i przez podwórko na jeszcze kolejną. pod pachą niesie tego psa spod kawiarni. na podwórku panuje błoga stagnacja. bo tu jak zawsze ciepłą porą wisi kolorowe pranie, koty leniwie siorbią zsiadłe mleko, wróble popijają z kałuż, a wiatr lekko trąca podwórkowy hamak. ci to się w ogóle nie orientują. nie wiadomo czy to jest jeszcze głupota czy już...

domofon Mileny brzmi jak burczenie w brzuchu. z psem na sznurku wchodzi Sonia na ich trzecie piętro, Mileny i Emila. lubi to mieszkanie i jego lokatorów. chciałby z nimi mieszkać. naciska święty dzwonek przy drzwiach. chwilę to trwa i otwiera bosa Milena w plażowym kapelusiku i letniej sukience, i o nic nie pytając wpuszcza ją do kuchni, kuchni pełnej ludzi, jak to możliwe,

że tu zawsze jest tyle ludzi, nawet teraz. w mieszkaniu unosi się zapach mydła Fa i detergentów. jest ciepło i czysto. parno.

duży pokój wydaje się nie mieć granic, tylko ciągnąć się w głąb zielonej gęstwiny. oni tu zostają, nie rozumieją tego całego zamieszania, dla nich nic się nie zmieni, a nawet będzie jeszcze lepiej. będą mieć więcej miejsca, nieskończenie więcej miejsca i spokoju. Milena parzy herbatę biało-zieloną o smaku mandarynkowo-pomarańczowym. prawdziwą herbatę z małej szklarni herbacianej z pokoju obok. tylko kawałki cytrusów nie są jej, są z paczki. ma na sobie lekką, bawełnianą sukienkę, ona w ogóle nie ma chyba ciepłych ubrań. zawsze jest lekko spocona, czasem rumiana w pokojach bardziej tropikalnych. chodzi na bosaka, paznokcie pomalowane na niebiesko, prawie granatowo, ciekawe skąd ma lakier, skoro nie wychodzi z domu. w kącie pomieszczenia, które najbardziej jest kuchnią, siedzi jakiś facet, nic nie mówi, do niego też nikt nic nie mówi. Sonia nie zna prawie nikogo. może to są jej robotnicy, jej niewolnicy. dosiada się do stołu, na którym leży ludzik upieczony z chleba. o jej spodnie ociera się Mania – puchata, biała kotka Mileny - przy okazji zostawiając na nogawkach chyba połowę swego owłosienia. jeszcze gdzieś podobno jest druga, strachliwa, której nikt chyba nigdy nie widział. u nich wszystko jest zawsze pokryte cienką warstwą białej sierści. Milena i Emil wyglądają jakby sami już porośli futrem, jakby włoski zaczęły przebijać im się przez ciuchy. nie da się usiąść gdziekolwiek i wyjść nieowłosionym. najgorzej jest z tym na wiosnę.

Milena stawia na stole talerz ciastek z kremem.

- jedzcie nabią. tego już wkrótce nie będzie.

Facet z kąta sięga po ciastko i ładuje sobie do ust, tak jak ładuje się do pralki skołtunioną breję brudnych prześcieradeł i poszewek.

- na kremie to lubię. wszystko co śliskie – mruga do Soni i połyka całość.

Milena gotuje jakiś skomplikowany kompot wieloowocowy i polewa wszystkim gęstą nalewkę aloesową z pływającym w niej szmaragdowym mięsem aloesu, oczywiście domowej roboty, którą wszyscy stopniowo i leniwie się upijają. smakuje to dziwnie, ale dobrze. Milena mówi, że trzeba się upić, że jest teraz dużo powodów. opowiada o dzisiejszym zdarzeniu z czwartego piętra. o swoim koledze, z którym kiedyś mieszkała w pokoju w akademiku. kolega F. był alkoholikiem, ale potem niby zupełnie przestał pić. jednego dnia poszli razem na obiad i on pomimo jej protestów zamówił sobie do tego setkę wódki i w ten sposób znowu zaczął pić. Sonia podejrzewa, że to właśnie z powodu Mileny zaczął, bo ona sama mogłaby dla niej wpaść w alkoholizm, ale tego nie było w opowieści. więc skoro on pił dalej, to Milena przeniosła się do innego pokoju w akademiku. a potem on wprowadził się za Mileną do tej właśnie kamienicy i dalej się przyjaźnili. i teraz jednego dnia pijany F. gotował sobie jajka i zasnął. woda się wygotowała i zgasiła płomień z palnika i F. zatrzał się gazem przez sen. dwa albo trzy tygodnie tam leżał, aż sąsiedzi zgłosili, że im sufit przecieka. bo są przecież upały. przeciekł przez materac, przez podłogę i przez wszystko. kiedy w końcu tam weszli, to jeden jego kumpel zobaczywszy, leżącego F., rzucił się na ratunek i potem opowiadał Milenie, że kiedy chciał go podnieść, to ręce mu się w nim zatopiły po łokcie.

- to dwa piętra wyżej było. on tu ciągle przychodził, ale tu wszyscy przychodzą, więc jak przestał, to nawet nie zauważyłam – Milena próbuje kompotu – trochę podobno czuć było smród na piętrze, bo już zaczęło śmierdzieć, gazem trochę tylko, bo miał uchylone okno. na dole w skrzynce stos zwolnień z pracy.

rozlewa kompot do salaterek, chociaż nikt jeszcze nie skończył, ani herbaty, ani aloesu. do kuchni wchodzi Emil i mówi, żeby już skończyła o tym gadać. stawia na stole sadzonki ziół i krzaczków owocowych. jest jak zawsze praktyczny, nie interesują go rośliny, które nie mają przynajmniej trzech zastosowań. oregano jest rośliną spożywczą, o leczniczym zastosowaniu i po ususzeniu dobrą na opał. Emil jest niezły, Sonia musi przyznać. człowiek pierwotny zbuduje szalas z torebki po herbacie i upiecze owadzie szaszłyki. a do tego lubi kolorowe paznokcie i kusą sukienkę mileny. troglodyta z trzema regałami książek i małym keyboardem na baterie. mają z Mileną zespół. on gra też na gitarze i klawiszach, a ona na czymkolwiek. na dwóch długopisach, albo tak podkręca zupę, że fajnie bulgocze. jak się zrobią to dają koncerty. pędzą masę trunków, ten aloes to pewnie aperitif. bo Milena to też ma łeb. nigdy nie daje mu prowadzić, zawsze piją szklanka w szklankę. pewnie eksperymentują teraz z alkoholami. nalewka z papryki i wino agrestowe.

Milena i Emil stworzyli w swoim mieszkaniu cieplarniane warunki, zgodne z naturalnym klimatem konkretnych roślin. mają pokój o klimacie umiarkowanym, środkowoeuropejskim, jest pokój podzwrotnikowy oraz tropikalny. w tym to jest. dżungla, duszno i mokro, na podłodze błocko, w powietrzu para wodna. hodują banany i granaty. te banany coś nie chcą rosnąć. to wszystko ma być eksperymentem, pomysłem podyktowanym brakiem innego pomysłu. Milena podchodzi do okna pieszcząc mięsiste liście filodendronu. jest cichutko, w tle szumi tlen w akwarium z egzotycznymi rybkami i konikami morskimi. koniki morskie to pomysł Mileny, wiadomo to od razu. rozwijają i zwijają swe ogonki, żeby przemieszczać się z jednego końca akwarium na drugi. ich ruchy są znudzone, one same piękne i nudne. to musi być straszne mieć tak mało miejsca do życia. komoda na której stoi akwarium już jest dla nich taką jakby zagranicą. a reszta mieszkania? a ulica? a całe

miasto? koniki są trudne w hodowli i wymagające. to podobnie jak ona. Milena. wysoka, szczupła, bardzo wysoka i bardzo szczupła. usta pęczniejące ku środkowi warg, sprawiają wrażenie mięsnego punkciku u dołu twarzy. ciemnozielone, duże oczy, spoglądają ze swego rodzaju wyrozumiałą wyższością, ostatecznie skazując próby ich opisu na klęskę. to spojrzenie onieśmiewało wszystkich tych, którzy mieli dość oglądy, by dojrzeć te niuanse. reszta jej nie lubiła, też nie bardzo wiedząc dlaczego; ale powód był, choć nieuchwytny - to ten sam, który w innych wzbudzał niepewność. nie wiadomo do końca na czym polega jej tajemnica.

Sonia dopija wszystkie drinki i idzie do łazienki. w wannie stoją doniczki czekające chyba na przesadzenie. ciekawe czy się z nimi kąpią. pod umywalką dalsza część zielnika. w lustrze rumiana twarz, niby wygląda tak samo jak zawsze, ale jednak jakoś gorzej. robi kilka min, żeby wyćwiczyć twarz, ale to na nic. nic się nie da naprawić, bo nie wiadomo co się zepsuło. pod lustrem półeczka z kosmetykami Mileny: kremy, perfumy, zjechana pomadka w kolorze morelowym. Sonia próbuje na palec kremu, wciera pod oczy, też chce tak wyglądać. czym ona się myje? obtulone w dłoniach mydło na brzegu wanny. żyzny nią ręcznik. powiesiła nad lustrem czerwone lampki choinkowe. ciekawe jak to robiła, co ją do tego skłoniło, motyw, bodziec. i codziennie je włącza! a przynajmniej teraz.

- Ania M. to ma szczęście - Milena siada w końcu do stołu, opiera o niego łokcie, ugniata piąstkami policzki - od trzech miesięcy nie wstaje z łóżka, leci cały czas na tabletkach nasennych. dożylnych, z kroplówki. i na zwykłych kroplówkach z minerałami i witaminami. pielęgniarka jej pilnuje całą dobę, żeby się nie obudziła, ale też żeby nie zasnęła zbyt porządnie. ale ją na to stać, rodzice wolą, żeby chociaż tak z nią było, niż żeby wcale i ją sponsorują, odwiedzają raz na miesiąc, żeby im opowiedziała sny. ma spokój.

Sonia też opiera łokcie na stole i zamyślają się obie. Sonia wolałaby takie leki, żeby nie było żadnych skutków ubocznych, żadnych snów, nic.

i wtedy czuje, że musiało jeszcze przed chwilą być ok, że raczej czuła się dobrze i teraz przez kontrast to widzi. bo nagle robi jej się gorzej. zakrada się. jest coś takiego dziwnego dookoła. jej wzrok haczy o absurdalne detale, zagapia się na czubek buta tego cichego faceta w kącie, na niedopałek leżący pomiędzy kuchennymi płytkami i zaczyna o nim gęsto rozmyślać. biegnie myślami przez jego życiorys, analizuje historie peta, cofa się do uprawy tytoniu, do kolonializmu, o kurwa, o kurwa. to ją przytłacza, nie może mrugnąć, tak się zagapiła. oczy jej przysychają, zaczyna odczuwać posiadanie organów wewnętrznych. głowo, brzuchu, dajcie spokój, nie odwracajcie się przeciwko mnie, przyjaźnimy się. niech będzie tak jak przed chwilą. ale tamte myśli już są zbyt odległe, wypadły jej z głowy i teraz bierze je do rąk i widzi, że są to ciała obce, obiekty, które ogląda z muzealnym dystansem, brakuje tylko gabloty, żeby dopełnić dzieła odosobnienia.

- czy ja znikam? mam nadzieje, że nie znikam.

ludzie są tacy podobni do siebie.

Roman zastaje Renatę na tapczanie, jak zawsze, kiedy wraca późno z pracy, a ona na niego czekała udając, że ogląda telewizję. czasem naprawdę oglądał, wtedy kiedy czekał już bardzo długo i zapomina, że tylko udaje. ale tym razem naprawdę oglądał, chociaż telewizor jest wyłączony. jest roztrzęciona i nawnosiła do środka tynku z sypiącej się kamienicy. zdaje się być mniejsza i jakaś taka przezroczysta. telewizor jest brzydki i stary. i ona to bardzo dokładnie obejrzała, mogła by zdać egzamin z pamięciowego odtworzenia telewizyjnej fizjonomii łącznie z rozmieszczeniem paprochów w zagłębieniach przy guzikach on i off.

Roman nie wie za bardzo co zrobić, nigdy nie myślał nad tym co robić w takich sytuacjach. chce mu się trochę płakać, ale to jest tak bardzo odległa myśl, zbyt nierealna na teraźniejszą sytuację, jakiś dziecięcy powidok albo dorosła mrzonka. wymyśla na poczekaniu jakichś świętych i inne pogańskie bóstwa, które może pomogą mu w tej feralnej minucie. bo na czym polega różnica? siedzi jak zawsze, ale inaczej, na pewno inaczej. sytuacja jest jakby karykaturą ich rutyny. więc skoro ona się nie rusza, to on podchodzi do kuchenki i pyta ją czy chce herbaty, ona chce, więc parzy herbatę, potem siada obok niej i piją razem i oglądają telewizor. a potem Roman idzie się myć, a jak wraca, to Renata już jest u siebie w pokoju, więc ich rzeczywistość jest uratowana.

w ten pierwszy upalny dzień sierpnia siedzą z Emilem w pustej kawiarni wielkiego szklanego wieżowca. skoro pomimo nienaturalnego chłodu i tak panuje ukrop, to strach pomyśleć jaka pogoda by była, gdyby wszystko było normalnie. biała gorączka słońca kąsa ich zza pomazanych szyb. Emil postanowił odprowadzić ją do ojca, bo niby jest niebezpiecznie, dlatego, że nikogo nie ma na ulicach. Milena mu kazała, bo ona nie wychodzi z domu. Sonia zawsze myślała, że to ludzie jej zagrażają, ale bez ludzi to może sama sobie zagraża.

ulice są wyludnione. gdzieś powiewają czerwono-białe chorągiewki, te maryjne też od czasu do czasu. asfalt ulicy błyszczy w słońcu swoim własnym topnieniem. jest sinawo, błękitnie od upału. Emil siedzi z ramionami opartymi o blat stolika. patrzy przymrużonymi oczyma za okno, na wielkie kąpielisko światła. Sonia spogląda w jego zmęczone oczy, tak zmęczone jak lato, które dopiero się zaczyna, a już ma siebie dosyć. aha, i kawiarnia jest oczywiście nieczynna. piją kawę, którą dostali w termosie od Mileny.

na ulicy wiatr rozwiewa Soni jej tłustą grzywkę, a Emil proponuje jej, żeby może została z nimi, chociaż wiadomo, że to tylko taka forma podtrzymania rozmowy. Sonia boi się udawać, że się nie boi. zwykle bała się tych, co stali w grupkach na ulicy, szeleszczących dresami, świecących głowami. ale teraz boi się, że ich nie ma. nie ma też chodnika, a pety spod nich Sonia zapaliłaby od zapalek, których ma zapas. ogień jest ważny. mogłaby wszystko ukraść teraz zewsząd, bo każdy sklep jest otwarty na oścież. ale boi się wejść, bo szczury. już powoli pokazują się na ulicy. w

poszukiwaniu jedzenia.

miasto nie jest duże, ale pęcznieje, kiedy trzeba wszędzie chodzić piechotą. Soni będzie brakować tramwaju, jej ulubionych modeli Duwag gt6, wybierania siedzeń dokładnie nad tramwajowymi kołami, które podczas jazdy trzęsą się i wibrują zgrzytem i łoskotem rozklekotanej maszynerii. jeżeli usiądzie się w odpowiedniej pozycji, rytm wiercących pośladki siedzeń przyprawia o sekretne orgazmy, zagłuszane przez skowyt pojazdu i rozmowy współpasażerów o egzaminach, kastracji psa, przepisie na twarożek. i wszystkie te rozmowy telefoniczne prywatne, ale publiczne, łkania i niecne zamiary, że chciałoby się dzwonić na policję, ale pogłównia się jedynie muzykę w słuchawkach, ale nawet nie, bo już jest maksymalna głośność.

więc teraz Sonia drepcze w milczeniu obok Emila, który musi ją zaprowadzić do taty, bo tak mu kazała Milena i nie za bardzo wiedzą co do siebie mówić, może oprócz tego, że będą w kontakcie, że może się jeszcze zobaczą przed wyjazdem. to już ostatnie dni i godziny przed zamknięciem MPK i PKP, taksówkarzy tylko chyba kilku - co odważniejszych, czy głupszych, czy obie te rzeczy naraz - się kręci po mieście, zbijając ostatnie złotówki, bo to już ostatnie dni i godziny kiedy jeszcze będzie je można zamienić na inną walutę, choć już i tak nie w tym kraju, bo kantory już wyeksploatowane i pozamykane. najgorzej mają ci, którzy na skutek wypadków losowych albo rezolucji o ilorazie raczej ujemnym, nie posiadają dokumentu typu dowód osobisty. wszystkie sprawy urzędowe zamknięto tydzień temu, nieważne czy pokończone, czy nie. jak ktoś nie ma dowodu, to może albo przez zieloną granicę, albo tu zostać na tej ziemi niczyjej, mieszkać będzie gdzie i to tyle. jedyne widoczne na ulicach samochody, to te porzucone przy krawężnikach, jedyne ruch drogowy, to ten, który tworzą smagane wiatrem siatki i papiery.

wszędzie jest pusto. Sonia chciałaby kupić papierosy, ale to już jest niemożliwe. kasy fiskalne stoją na miejscu, można wejść i pobawić się w sklep, spełnić marzenie z dzieciństwa. szybko wduszać klawisze, szur szur, wychodzi paragon, ale to trzeba już sobie dopowiedzieć wyobraźnią, bo ta kasa nie działa. z towaru też oczywiście nic nie zostało, kupiłaby tacie jakieś jedzenie, na pewno ma tylko żółty ser i lody Cassaty. znajduje trzy paczki zapalek i butelkę octu, ale za to winnego. historia lubi zataczać koło. Sonia czuje się jak na polowaniu. łapie się na zastanawianiu, co jeszcze może się przydać, ale zupełnie nie wie do czego. jeśli już musi coś myśleć, to myśli, że najlepiej iść do domu i najlepiej nie wychodzić.

tata jest już chyba ostatnim lokatorem zamieszkującym swój blok, choć lista przy domofonie wciąż sugeruje inaczej. robi jej herbatę, bo prąd, gaz i woda są wciąż jeszcze dostarczane, ale tylko do końca tygodnia. te ostatnie rachunki do nikogo nie dotrą, to taka rekompensata od państwa za tę niemłą niespodziankę, w ten sposób rozgospodarowany zostanie budżet, który co prawda i tak jest dziurą, ale jak plajta, to z kretesem. to dlatego większość budynków, kamienic i bloków jest cała rozświetlona - nawet tam gdzie już nikogo nie ma, chyba na złość, ale tylko dlatego, że za darmo. niektórzy również gaz puścili wolno przed wyjazdem - jako znak, że to jest jakby eksterminacja mentalna całego narodu, ale ten wątek jest dość zawily, nie każdy wie o co tu chodzi, gazet już nie ma, bo nie ma kiosków. to, co wiadomo na pewno, to to, że jebie w całym mieście.

tata mówi, że nie wyjedzie, chociaż dowód ma w porządku. tak jak Milena i Emil jest raczej niedostatecznie przejęty sytuacją.

kwestia przyszłego obywatelstwa na razie pozostaje kwestią sporną. są dwa projekty, mające na celu rozwiązać ten spór. pierwszy zakłada pozostawienie obywatelom ich dowodów osobistych - o ile orzeczek zostanie

zdrapany - a dopiero nowo narodzeni otrzymywać będą dowód kraju, w którym przyjdą na świat. druga opcja to szeroko zakrojona asymilacja emigrantów oparta na programach przygotowanych przez kraje w których ci osiada, choć to problematyczne, nie wszystkie kraje się na to godzą, bo jeszcze nie wiedzą co z tego będą mieć (negocjacje trwają), zwłaszcza, że los ziemi niczyjej jest wciąż nierozstrzygnięty. najlepiej mają ci, którzy już dawno wyemigrowali, albo którzy mają rodzinę za granicą, czy tam jakieś inne dojścia.

ludzie mają wiele powodów do zadowolenia. cieszą się na przykład artyści, bo mają temat nie do zdarcia na najbliższe pół wieku. wszyscy pykają masę fotek, aż im aparaty trzeszczą w dłoniach, zacinają się migawki od kompulsywnego ich wciskania. ostatnie szachrajskie interesy robią biura podróży zwożąc kilometry sześcienne Japończyków, których lampy błyskowe nie pozwalają spać w nocy tym, którzy i tak by nie zasnęli, pozostawiając im dodatkowo pod powiekami niepokojące powidoki.

scenariusze na filmy pod tytułem „Orle gniazdo”, „Ziemia obiecana” czy „Krwawe wykopki” pisane są na metry bieżące. Powstają rzewne ballady oraz skoczne sielanki, że jakoś to będzie, może jakieś powstanie, jakaś rewolucja, TV nadawała jeszcze do niedawna ku pokrzepieniu serc specjalne programy, radio się zabarykadowało na znak protestu i będzie grało do ostatniego dnia, do ostatniej godziny, w końcu eteru jest dostatek i puszcza niezliczone ilości decybeli utworów rodzimych, muzyki krajowej, długie składanki mianowanych szlagierami szlagierów. Pisarzy swędzą pióra albo klawisze pod palcami, ale najbardziej używają sobie artyści wideo i audio, choć w sprawianiu sobie ulgi dorównują im także performerzy; malarze myślą, że to wszystko da się namalować, ale to nieprawda.

Halina Korbas przeczuwa okazję. bez tłumaczenia się, bez łez i płaczu zostawi męża z powodu likwidacji kraju. to jest uśmiech losu. Halina czuje się, jakby wszystko to działo się dla niej. jakby cała ta sytuacja miała miejsce tylko dlatego, że ona musi jakoś wybrnąć ze swoich problemów. zostawienie Henryka to nie jest dla niej problem, ale boi się reakcji Łodzi. teraz i Łodzian nie może jej potępić. teraz po prostu trzeba wyjechać i to jak najszybciej. kupiła dla Łodzi bilet, nie chciała jechać, to nie. dodzwonić się do niej nie da, w domu zastać nie sposób, Halina nawet nie próbuje już dzwonić. dorosła jest?

kupiła nowe walizki za bezcen. pewnie jakby ich nie kupiła, to by jej je wcisnęli jeszcze za dopłatą. ale Halina ma chociaż tyle klasy, żeby płacić za to, co kupuje. tym bardziej, że to były naprawdę dobre walizki, idealne na zagranicę. na ten kraj to by kupiła jakieś zwykłe, ale chodzi o inwestycje w start. z domu Halina zabrała najpotrzebniejsze rzeczy. już wcześniej postanowiła sobie, że do salonu nie wejdzie, choćby miała tam coś wielce cennego, ale nie wejdzie, żeby tylko nie musieć ogarniać, choćby fizyczną przeprawą, terytorium Henryka. nie, panie boże, módl się za nami, uchwaj od tego. Henrykowi zostawiła w domu kartkę, że to koniec i to bardzo dwuznaczny. żeby wyjechał i nie szukał jej. że będą w kontakcie telefonicznym, ale żeby nie dzwonił za często. że życzy mu szczęścia i powodzenia.

teraz jedzie już pociągiem, utulona ulgą i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. śni jej się sen. zupełnie nowy. że dzwoni do niej telefon.

- bardzo nam przykro, mówi z słuchawki męski głos o zagranicznym akcencie, ale pani córka nie żyje. było to morderstwo na tle politycznym. całą twarz miała pociętą wyborczą. sukienkę też. najszczerze kondolencje.

Halina Korbas odkłada słuchawkę. budzi się do życia.

a pan Henryk wciąż siedzi na działce, ale niedługo już, bo kończy mu się zapas jogurtów i czerstwego pieczywa. Halina miała dowieźć, ale nie przyjechała. nie ma już mleka dla kotów. pan Henryk jest głodny i smutny i nie chce mu się wracać do domu.

przechadza się ścieżkami i alejkami działkowymi. zagląda na posesje sąsiadów, ale nikogo nie ma. to dziwne, ciepły, letni dzień, chyba jeden z pierwszych takich. odkąd nie pracuje, to nie orientuje się już w tym bałaganie kalendarza, ale jest chyba sobota. a przy okazji spaceru podgląda co i jak u sąsiadów rośnie. na ich tle Henryk wypada wcale nieźle. pousychaną mają większość, wszędzie walają się liście i plenią się chwasty. śmieci przypalane wolno na leniwym słońcu zaczynają dyskretnie cuchnąć. roznoszący się od nich swąd i rój much i muszek zdradzają, że warstwy odpadów są głębsze i zaczynają gnić.

Henryk myśli o swojej kolekcji i czuje się trochę jak właściciel psa, którego zostawił w domu samego i wyjechał na dłużej. podłość. zwłaszcza, że w pokoju ma chyba jakieś demony. nie mówił o tym Halinie, bo by wyprowadziła się szybciej niż i tak planuje. z czego to wynika? na przykład z książek. one mieszkają w zapachu książek. na przykład bierze się taką książkę, której nikt nie otwierał przez dwadzieścia lat i jest. to jest trochę kurzu w nosie, trochę zakręcenia i już nie da się wstać z krzesła. pokój ciemnieje. za oknem jest Saturn a nie Księżyc. pokazywał raz Halinie, to nic. za dużo ma pierścionków po palcach, to kolejny by jej się nie zmieścił nawet w wyobraźni.

a najwięcej się dzieje pod stołem. wiadomo, wszyscy wiedzą o patologicznych zbieraczach, których trzeba potem ambulansem ewakuować z własnych mieszkań, kiedy już się w nich nie mieszczą. ale Henryk do nich nie należy. Henryk posiada archiwum. pod stołem rośnie skomplikowana konstrukcja, fantazyjnych imponderabiliów. jako budulca, Henryk używa tylko najlepszych okazów ze swoich kolekcji, na przykład pudełek po limitowanych edycjach produktów, puszek po zagranicznych herbatach i kawach, gazet o znamienitych datach i opisujących na pierwszych swych stronach historyczne wydarzenia, których wartość osiągnie pełnię dopiero za kilkadziesiąt lat.

Henryk nie wie dokładnie co robi. początkowo izolował po prostu dobre rzeczy od przeciętnych, honorował cenne okazy. potem zaczął je ze sobą luźno kojarzyć, łączyć niby nie powiązane przedmioty w nowe obiekty, tworząc coś, czego nikt jeszcze nie widział. ostatnio nanizal na puszki po nieistniejących już piwach, zabytkowe gumki recepturki, niektóre już ukruszone przez czas, bo służyły jeszcze jego matce do obwiązywania weków z ogórkami. zestawiał je z tymi najnowszymi w egzotycznych kolorach, pachnącymi fabryką. do tego stopnia to zrobił, że zaniknęły loga na puszkach, cenna puszka izraelskiego piwa, które dostał od sąsiada jest teraz tajemna, skryta pod pancierzem z gumek. Henryk ustawia je w piramidy, a w puszkach jest ciąg dalszy. w ich wnętrza pochował swoje najstarsze, najrzadsze i najbrudniejsze miedziaki, które dawno już wyszły z obiegu, a teraz też zeszyły Henrykowi z oczu, ale to dla ich dobra. jest trochę tak, że jak ich nie widzi, to się mniej o nie boi. a przecież wie, że one są tam w środku, usłyszałby je gdyby zagrzechotał puszkami. ale nie robi tego, żeby nie popsuć swojej wieży, kolumny, kolejnej nogi podtrzymującej zacny stół. zresztą wkrótce i te kolumny zanikną obudowane przez inne zbieracze hybrydy. teraz Henryk planuje pozbierać ze wszystkich zakamarków i zbudować armię z rodzinnych

okularów po pięciu pokoleniach, które za dużo widziały, które już dawno oślepy i bez sprzeciwu wyścielają sobą przedsiemek stołu, przedstół jego kolekcji. nawet dziecięce okularki Łodzi, które nosiła na zęza, dołączają do tego powstania. Henryka nic nie powstrzyma, nawet brzydkie słowa, które mówi mu Halina.

do Haliny na komórkę nie da się dodzwonić. słońce, zarumienione wysiłkiem całodziennej emisji ciepła, powoli wycofuje się za drzewa innych działek, żeby jak najszybciej zniknąć wszystkim z oczu, żeby uniknąć zielonego buszu splątanej roślinności, która wyssała już dzienną dawkę promieni słonecznych, przejadła cały zapas światła i jeszcze by chciała więcej. Henryk chowa do narzędziowni ubogie zbiory dnia i układa je w dziale plastiku. zamyka dokładnie budę i siada jeszcze na chwilę na trzech spróchniałych deskach, które dzięki zakłębom słownictwa i definicji może legalnie nazywać werandą. w tym momencie opowieści można już przejść z panem Henrykiem na ty.

podczas powrotu do domu zauważa on podejrzaną sytuację - pustki na ulicach oraz stopień zniszczenia miasta bardzo niewspółmierny do tego sprzed kilku dni, kiedy wyruszał na działkę. wygląda to tak, jakby spędził na niej całe lata. jakby stracił przytomność i dopiero się ocknął, jakby czas oszalał jeszcze bardziej albo jakby zdarzyła się jakaś cicha apokalipsa, która ominęła tylko jego werandę.

więc teraz i on opuszcza osiedle swoim starym polonezem. wzięt ze sobą polar, kalosze, kompas, scyzoryk i mapę. całego świata. niechybnie da radę. da radę wyjechać z kraju, a nawet dalej. i wrócić.

po drodze mija widoki będące nader ponętym materiałem dla telewizji, lecz tym razem dzieją się one samopas, nierejestrowane i przez to są o wiele mniej ważne. Henryk zachęcony darmowymi nagle autostradami nuży się

szybko monotonnym widokiem zielonych skarp i wjeżdżą na stare, niedobre drogi, które teraz go wzruszają. przy każdej mijanej stacji benzynowej zatrzymuje się i sprawdza, czy coś tam jeszcze zostało, jak nie paliwo to choćby ścierka do przetarcia szyb samochodu i łez. najczęściej jednak nic już nie ma. zakres tego braku jest też niebywale pomysłowy. brakuje zwłaszcza tablic z nazwami miejscowości, bo wiadomo, że każdy chce mieć pamiątkę z domu rodzinnego. to pragnienie skutkuje wijącym się drogami i szosami zagubieniem, nie tylko mentalno-emocjonalnym, ale topograficznym. gdy natrafia się w końcu na ocalałą tablicę, po weryfikacji mapy wychodzi na jaw pomyłka często wręcz na skale wojewódzką. Henryk wiele już widział, zwłaszcza w telewizji. teraz ogląda na żywo. mało tego, często jest jedynym świadkiem, którego świadectwo nikogo jednak nie będzie obchodzić. zasadniczy problem polega na tym, że nie wszyscy zdążyli wyjechać na czas. czyli wtedy, gdy ostatnie pociągi odbywały swe poruszające kursy.

nigdy metalowy chrzęst przesuwanych drzwi przedziału nie był tak drogi pasażerom. zapach brudu i współpasażerów wdycha się z rozkoszą i automatyczną nostalgią. robi się pamiątkowe zdjęcia, stojąc pomiędzy dwoma przedziałowymi lustrami które powielając fotografującego w nieskończoność, obiecują nieśmiertelność. ludzie tłumnie uczęszczają do toalet, zachwycając się brakiem wody i brudnym mydłem. wypalają tam ostatniego, ukradkowego papierosa i pod presją spragnionych melancholijnego sikania, szybko uciekają do wagonu restauracyjnego. nigdy wcześniej bigos i wódka nie doczekały się porównywalnej rytualizacji spożycia. trochę dlatego, że nigdy wcześniej tyle nie kosztowały. katolicy przyjmują śledzika jak opłatek, międląc go w ustach do osiągnięcia konsystencji papki. inni połykają szybko, kontemplując w ciszy trawienie. ale w cenę posiłku wliczone są też zapewne firmowe gadżety: firanki z logo

państwowych kolei znikają w tempie odwrotnie proporcjonalnym do tempa jazdy pociągu. jednak po raz pierwszy zupełnie nikomu to nie przeszkadza. zajęci eksploatacją wiozącego ich środka transportu, pasażerowie o mało nie mieli by czym jechać. a wszystko to przez gwałtownie pęczniejące kolekcje szeroko pojętych gadżetów narodowych. gaśnica, przedziałowy śmietnik. chirurgicznie zielone ręczniki z toalety. dla co lepiej uzbrojonych w narzędzia: lustra z legendarnym logo. konduktorzy wyprzedają umundurowanie. trwa licytacja skasowanych już biletów. kasowanie biletów traktowane jest zresztą jako rodzaj atrakcji turystycznej. niewiele osób je w ogóle posiada, a jeśli nawet to raczej w celach dystrybucyjnych. ostatnie przejazdy pociągów przechodzą do historii, wszystkie ostatnie pociągi już odjechały. samochodów jest mało. sporo optymistów czeka przy drodze na okazję, nie mają jednak okazji ruszyć się z miejsca. mijający ich kierowcy ukrywają swój brak litości za tabliczką z napisem „reklamacji nie uwzględnia się”, zwędzoną z ostatniego osiedlowego sklepiku. niektórzy nie mają złudzeń, a zwłaszcza nie mają samochodu i idą piechotą, objuczeni nie tylko bagażami, ale też gonitwą myśli na temat swojego dalszego losu. na niektórych podwórzach odbywają się walki wręcz, czy wręcz z użyciem narzędzi ogrodniczo-zbrodniczych. tu i ówdzie, w bezpiecznej i domowej atmosferze, bo nie zagrożonej interwencją władz, odbywa się od dawna upragniony samosąd. spuszczone z łańcucha kodeksu karnego patologia pręży mięśnie i używa ich z soczystym skutkiem.

Henryk rozmyśla nad ilością ofiar tego państwowego upadku. o tym się nie mówi, ale ilu czeka śmierć głodowa, samobójcza, z ręki wyjętych spod prawa, chętnych by testować granice bezkarności. śmierć czeka ciężko chorych, którzy nie przeżyją transportu za granicę i będzie pewnie jeszcze wiele innych, dotąd nie podręcznikowych form zgonu.

po wielu pomyłkach, objazdach i błędach w rozeznaniu się w terenie, Henryk porzuca mapę, tak jak jego porzuciła żona. bez namysłu, dochodząc do wniosku, że na nic się już nie przyda. skutek okazuje się być podobny. Henryk kluczy i błądzi między różnokolorowymi polami oraz niezmiennie szarymi drogami aż do znudzenia tym jednak monotonnym krajobrazem. tu następuje szybka weryfikacja potrzeb, z której wynika, że wystarczy mu butelka wody, polar oraz latarka, żeby udać się w głąb lądu w poszukiwaniu pomysłu na ciąg dalszy emigracji. wzięwszy pod uwagę ilość porzuconych ogrodów i sadów, Korbias nie martwi się o pokarm, wręcz cieszy się na zdrową i niskokaloryczną dietę wegańską. nagle zyskuje bardzo dużo czasu. właściwie to nie ma nic do roboty oprócz chodzenia i patrzenia. a na horyzoncie coś się rysuje. samo. unosi się i opada, unosi i opada. jak wycieraczki samochodowe. Henryk przystaje, mruży oczy i wyobraża sobie, że siedzi za kółkiem, z odkrytym dachem i pruje przez pole tak szybko, że nawet nie czuje deszczu, który ścierają mu z szyb te nowej generacji, bo białe, wycieraczki. po chwili nudzi się i idzie dalej, bardzo ciekawy swego odkrycia, trochę też nim zaniepokojony. za wzniesieniem wszystko staje się jasne. są to wiatraki. białe, nowoczesne wiatraki, których całe połacie widział w telewizji na Discovery Channel. tu oczywiście stoją tylko trzy, bo to jeszcze nie jest zagranica, ale są zjawiskowo piękne. Korbias znów mruży oczy, by je lepiej zobaczyć, ale już niczego sobie nie wyobraża, bo oto rzeczywistość staje się satysfakcjonująca. smukłe ramiona tną poranną mgłę miarowo jak odmierzające sekundy wskazówki zegara, generując energię, która pójdzie na niechybną marnację.

tu mógłby zostać. marzy o takim schronie jak z książek i filmów. że wchodzi do wjazdu a tam konserwy i alkohole i szafa grająca, telewizja. puka

po ziemi. schyla się, nasłuchuje. ale nic się nie wydarza. a może schron jest pod poziomem poziomu? może pod ziemią ziemi? może potrzebny jest proces, czas? nie, że tak od razu spokój. Henryk myśli o Halinie. wie, że nie dorównałby jej. cieszy się trochę, że nie ma tego stresu, że jest zwolniony z tego obowiązku autonarzuconego, ale też jest mu żal. kocha Halinę. chciałby się z nią schronić. wie, że ona pogardzałaby jego schronem. to by jej nie starczyło. tam by nie było ulic i kawiarni. nie miałyby kina. nikt nie mógłby jej oglądać oprócz Henryka, a co to za atrakcja dla niej. Henryk zakłada, że tak ma być, że tak musi być i że tak jest. ale tego akurat nie musi zakładać, bo tak jest. i jest mu trochę źzej.

podniesiony na duchu tanią melancholią, siada z powrotem za kółkiem i przybywa do jakiejś miejscowości, właściwie niedużej wsi. jednej z tych, których życie toczyło się po obu stronach głównej drogi przejazdowej. choć nie do końca. bo okazuje się, że tu się ta droga właściwie kończy. prowadzi do wymuskanego budynku ochotniczej straży pożarnej. i koniec. obok jest jeszcze kościół z oślepiającą w słońcu, świeżo odnowioną, blaszaną wieżą. cały ten fyrtel, będący zarazem centrum, mieści oprócz tego klubokawiarnię, drink bar i sklep ogólnobranżowy, choć dziś, o ile dobrze widać przez zalepione papierem pakowym szyby, jest raczej ogólnie pusty. jest też kiosk ruchu, uzbrojony zawijasami krat, za którymi blakną w słońcu przeterminowane resztki gazet i krzyżówek, kuszące wygraną, dawno już komuś przyznaną. albo zlikwidowaną. to słowo bezkompromisowo wybija się na pozycję czołową słów ostatnio nadużywanych, częstotliwością bijąc wszelkie przekleństwa i złorzeczenia o dotąd niezachwianej w rankingu pozycji. Henryk przechadza się po bezimiennej wsi, bo i tu, jak w całym kraju, brakuje tabliczki z nazwą miejscowości. zwyczaj plądrowania miast i wsi z ich

nazw przyjął się w narodzie szybko i spontanicznie w nikim nie budząc oburzenia, a raczej nostalgiczne zrozumienie i kłające odrzucenie zazdrości w stosunku do tych, którzy byli szybsi i bezczelniejsi i którym udało się wejść w posiadanie takiej pamiątki.

większość domów wygląda tu zwyczajnie. ganki wsparte na modnych ostatnio, kiczowatych kolumnkach, plastiki w oknach, wymyślnego koloru dachówka, zawijasy kostki brukowej albo zabudowa przedwojenna, zmurszały tynk. typowy krajobraz nierównomiernie przebiegającego, nagłego bogacenia się. można by dać się nabrać, że są wciąż zamieszkałe. Henryk nawet dzwoni do drzwi, ale nic. niektóre domy porzucono w panice i chaotycznie. na podwórku leżą rozrzucone gumki, grabie i dziecięce piłki, a pod drzewami owocowymi suszone śliwki węgierki. otwarte na oścież stodoły, obory i chlewy śmierdzą swojsko. inne domy są dla odmiany starannie opuszczone. przed zamkniętą furtką jest zagrabione, odchwaszczone i podlane. z parapetów wesoło spływają pelargonie, a w obejściach stoją błyszczące traktory, udekorowane ostatnimi plonami żywej, ale teraz bezpłodnej ziemi. na drzwiach wejściowych wiszą wieńce ze źdźbeł zbóż, owoców ostatnich dożynek. w oknach dominują i powiewają państwowe flagi, święte obrazki i/lub ręcznie malowane przez dzieci transparenty i pisemne deklaracje rychłego powrotu, patetyczne groźby kolejnego sprzeniewierzenia się niełaskawemu dla narodu biegowi historii.

sposób opuszczenia domu staje się prawie deklaracją, wyznacznikiem patriotyzmu, idiotyzmu, sprawozdaniem ze stopnia zaawansowania rodzinnej patologii, alkoholizmu i miarą radzenia sobie z chaosem w sytuacjach stresowych.

co innego ogrody. tam sieje się tylko równomierne spustoszenie, tym bardziej widoczne im bardziej ogród był muskany. sprawiedliwie jednak, w

każdym z nich wybuchła odrębna wojna mająca te same przyczyny i której Henryk wróży te same skutki. toczą się one pomiędzy dotąd uprzywilejowaną klasą roślin uprawnych; kwiatów, warzyw, krzewów owocowych i ozdobnych, a wojskiem chwastów uzbrojonych po kwiatostany i owocnie w broń masowego rozmnażania: słupki i pręciki, zalążki pyłków, pędy i kłącza i kiełkujące nasiona, wspomagane przez fragmentującą plechę, pączkującą grzybnię i posilki w postaci neutralnych owadów, bezstronnie zapylających wszystko na swej drodze. armie ostu, krwawnika, nawłoci i rdestu, pod dowództwem mięsistego łopianu, wypierają pachnące i delikatne oddziały strzelistych lewkonii, werbeny, srebrno-zielonej szafwii i omdlewającego od własnego zapachu jaśminu. poza teren ogrodu, za druciany płot, wychylają się w samobójczym instynkcie samozachowawczym ciężkie główki malw, ponaglone przez przekwitłe kikuty piwonii. w akcie dezercji padają gladiole. na froncie brakuje wody pitnej. zioła próbują broni wonnej. rozmaryn i tymianek roztańczają po polu walki duszące zapachy swych suchych i kruszących się ciał.

Henryk przedziera się przez pole bitewne, raniąc się o oset i parząc kostki wyglądające spod przykrótkich spodni o dogorywającą pokrzywę. w głowie kręci mu się od zapachów i kolorów. w płuca wciąga bitewny kurz, cząsteczki woni i jej niewidzialne molekuly.

wybiera chyba jedyny dom, który rzeczywiście wygląda na porzucony albo wręcz opuszczony, a nie jedynie na tymczasowo pusty. włamanie do tego rodzaju przybytku będzie mniej drastyczne i lepiej dostrojone z ogólnie przyjętym poczuciem przyzwoitości.

Henryk czuje się niezręcznie podchodząc do drzwi, pukając, szarpiąc klamkę, kopiąc. nie jest włóczęgą, normalnie nie byłoby go tu, byłby na działce, albo pod stołem. ale teraz w ramach emigracji, zmieniły się zwyczaje i

każdy podskórnice czuje jak się zachować. w mieście jest bardziej jak w dżungli niż zwykle. wojny o pozostawione zaopatrzenie sklepów, awantury o promocyjne towary, dyskusje o wyprzedających jakich jeszcze nigdy nie było. brak poszanowania przepisów ruchu, zrywanie tabliczek z nazwami ulic, ostatnie łzawe libacje wylegające na ulice w obliczu niepisanego bezprawia.

ale tu na wsi jest odwrotnie. Henryk czuje, że tu każdy jest swój, ludzie nakarmią, ugoszczą, pobiadają na koniec świata. a tymczasem cicho. dzwonek przekreślony dwoma kawałkami taśmy izolacyjnej. Henryk puka. puka ponownie, potem w okna, zagląda, firanki trochę rozmywają obraz. na tyłach domu działeczka, ogródek. huśtawka z parasolem. Henryk siada, rozmyśla w rytmie huśtów.

w ogrodzie jesienna grusza upuszcza swe dojrzałe potomstwo na ziemię, pozwalając mu na powolne gnicie. Henryk zbiera owoce. są dojrzałe, są przejrzałe, ropieją słodyczą i cukrem, fruktozą, lepią się do rąk i ust. niektóre to owoce-pułapki. leżą dorodnym grzbietem ku górze, w brzuchu skrywając wydrażone korytarze i upojone słodyczą osy albo ślimaki. nie wiadomo które je, a które jest jedzone. ślimaki pozostawiają same ogryzki zachowując delikatną konstrukcję skórki, kopułę o naturalnej obłości owocu, pustą wydmuszkę. osy są subtelniejsze w swej ingerencji, ale nie mniej pomysłowe. wwiercają się w miąższ korytarzami, wbudowując gruszkom puste jelita, kręte i zawile. ich tyłeczki drżą pracowicie i pożądliwie pod wezbraniem gęstego i bladego syropu. zdrowe i niezamieszkałe gruszki Henryk zbiera do kieszeni swej obszernej pałatki.

obchodzą go niezorientowane w sytuacji, zdesperowane koty i psy, kolektywnie nawykłe do ludzi i regularnych posiłków. nie chcą gruszek, ponaglą Henryka do śmielszych decyzji, ocierając się o łydki, prężąc kręgosłupy i ogony w tym pokazie pełnej nadziei desperacji, nie potrafiąc

poskromić przedwczesnej radości. parę kotów już siedzi na masce poloneza, zaglądając przez przednią szybę i chciwie wpompowując różowymi noskami egzotyczne w ich odczuciu zapachy. niektóre pomiaukują.

Henryk nawet lubi koty, ale oferta jaką ma zwierzętom do zaoferowania jest rozczarowująca i wzbudza ich gniew. one nie chcą owoców, już prędzej poczęstują się jego mięsem. więc Henryk oddaje im część swoich zapasów, szynkę konserwową, paprykarz i pasztety drobiowe, otwiera im puszki, wytrząsa ich zawartość z dala od swojego samochodu, którym zaraz ma plan uciec i nigdy nie wrócić. zwierzęta przywierają łapczywie do puszek i tacek, elementy agresji i konkurencji są obecne, ale odprawiane jakby bezwiednie, na mocy instynktu. koty pochłaniają w zapamiętaniu, ich ciała są zastygłe oprócz pracujących szczęk i położonych po sobie uszu, strzygących od czasu do czasu. oczy otwierają tylko po to, żeby łapać dookoła i orientować się w położeniu kolejnych porcji pożywienia. kiedy zjedzą wszystko, będą zdane tylko na swoje łowieckie umiejętności, koniec lenistwa i pasztetu wołowego, myśli Henryk, koniec tego nienaturalnego łańcucha pokarmowego, w którym mniejszy zjada większego i słabszy silniejszego, koniec mięsnych kawałków z dziczyzny w galaretkę z renifera. pozostaną im tylko drobne gryzonie, owady, albo suche zielsko.

Henryk głaszcze jednego szarego po szczątku ogona, który mu pozostał po jakiejś ostrej bójce, ale ten warczy na to i jeży kikut w puszystą kulkę. no dobra. Henryk wsiada do auta, którym ostrożnie wymanewrowuje z podwórka, wymija koty, ich miseczki i niespokojne spojrzenia.

w mieszkaniu jest parno. cisza rezonuje chaosem zielonych splotów bujnej roślinności. są już gotowi. *Malus Domestica*, odmiana *gala*, córka *Golden Delicious*, której owoców mogli już próbować w zeszłym roku, wydała właśnie pierwsze dorodne potomstwo. w piwnicy tłoczą się słoiki prażonych jabłek, musu, dżemów i kompotów.

planują rozszerzyć uprawę na mieszkanie sąsiadów z naprzeciwka, później być może zaanektować niższe piętra. najmniejszy pokój służy za kompostownik. nauczyli się przystosowywać wszystko na opał. zasuszają ogryzki i skórki owoców. niedługo będą mogli skończyć z tymi uciążliwymi nawykami, bo ilość porzuconych mebli i innych sprzętów gospodarstwa domowego wystarczy im, jeśli będzie to konieczne na długie lata egzystencji.

Milena jest niepraktyczna. Milena jest rozchwiana i jej roślinne uprawy też wahają się między racjonalnymi a przyjemnymi. uprawia sukulenty i kaktusy, pomimo tego, że nie można ich zjeść, nie wydają owoców i niełatwo je spalić. aloes można kłaść na rany. Milena jest średnio zadowolona z powziętej decyzji, jest trochę zła, nie wie czy chce, czy chciała tu zostać na zawsze. teraz już za późno. wołałaby pewnie sukulenty zrodzone z sukulenckiej ziemi, a nie z tych torfowych doniczek uklepanych ręką, a nie wiatrem deszczem i słońcem.

na podwórku stoi zaparkowany i sprawny samochód, stary fiat uno. w mieszkaniu mają baniaki pełne paliwa. to nie jest tak, że jest już koniec świata.

od tygodnia Milena zajmuje się wymyślaniem deserów. wyprodukowała już wszystkie desery świata, leguminy o różnej konsystencji i kolorze. budynie malinowe, waniliowe i agrestowe, kisiel egzotyczny w kolorze ultramaryny z ekstraktem z gorzkich pomarańczy. pudding agrestowy. galaretkę w kolorze turmalinu.

ma też pełną spizarnię alkoholu. tym się właściwie zajmowała ostatnio, pędzeniem bimbrow. żeby mieli co robić w te wszystkie dziwne dni, które ich czekają. to będą puste dni, bez ludzi, bez niczego. Milena już wyobraża sobie ponure scenariusze. ona i Emil zostają alkoholikami, w złości niszczą swoje ulubione rośliny, roztrzaskują organki i niweczą gitarę, albo dochodzi wręcz do rękoczynów. chowają przed sobą ostatnie butelki pysznych nalewek, wino jarzębinowe albo likier z mirabelek, choć w zasadzie na tym etapie zadowoliliby się nawet spirytusem salicylowym. w końcu jedno zabija drugie, pewnie ona jego i potem trzeźwieje, nie ma się czego napić, bo ostatnią butelką rozplątała Emilowi głowę i teraz staje przed nią pełna i bogata w detale wizja tego czym się stali i co się wydarzyło. Emil broczy w kącie, a najgorsze będzie to, że nikt jej nie skarże, nie będzie miała procesu, nie będzie mogła żałować i pokutować, a przynajmniej nie w wymiarze społecznym.

wyciąga w górę ręce i przeciąga się tak kocio, że prawie jej kości wypadają ze stawów. Emil siedzi na podwórku, coś grzebie przy głównych bezpiecznikach. chce coś wykombinować, żeby mieli stały dostęp do energii, nawet kiedy już ją odłączą. jej tam wszystko jedno, byle mieli wodę. będzie pewnie kłąć i złorzeczyć na los, jak odetną prąd, ale to będzie później. na razie cieszy się na świeczki i wiedzmią atmosferę. chodzą na długie i zimne spacer, robią dużo zdjęć i filmów. chyba dokumentalnych. teraz Milena chętnie wychodzi z domu, jest tak pusto, żadnych ludzi, reklamy wyblakły,

jest pięknie.

Milena czeka z ekscytacją na godzinę zero, na moment, w którym będzie oficjalny koniec i zgasną wszystkie światła.

na północ trzydziestego września. zrobią z Emilem imprezę, hucznego sylwestra. playlistę mają już od dawna gotową, odbędzie się ostatnie rytualne puszczenie ulubionych kawałków. co do większości są zgodni, ale jednak każda minuta muzyki będzie bardzo cenna, więc nie obejdzie się bez dramatu, lamentów i intensyfikacji doznań. będą siedzieli po prostu na tapczanie, mocno słuchając najlepszych utworów, na przemian raz jej, a raz jego, ale w zasadzie równomiernie i zgodnie będą siedzieli odurzeni i tylko czasem Milena nie będzie mogła się powstrzymać i zacznie tańczyć i targać Emila, który normalnie się nie wygłupia, ale teraz będzie już i tak wszystko jedno, więc będą się przewalać po meblach i między roślinami, pociągając szczerze z butelek, mieszając wino z koniakiem, likier z ginem i kompot z piwem. lodówka będzie wciąż zimna i pełna zimnego piwa. będą gotowi na wszystko.

Halina wybiera pociąg .bo loty są zapchane całe, samoloty przeciążone. prawdopodobieństwo katastrofy lotniczej znaczne. poza tym śniło jej się, że przejechali ptaka samolotem i mieli opóźnienie. tak znaczne opóźnienie, że nie zdążyła na żaden ze swoich planów.

dlatego jedyną opcją jest pociąg. przejeżdżają przez cały kraj na zachód. Halina myślała, że decyzję o wyjeździe i niezbędne do niego przygotowania załatwiła ze znacznym wyprzedzeniem, ale podróż przez wsie i miasta jest widmowa, jakby ludzie poopuszczali swoje domy już dawno temu. kolejne stacje kolejowe są coraz bardziej zapuszczone jakby proces niszczenia postępował wprost proporcjonalnie do wyludnienia. za oknami płyną pocztówki ze swojskimi krajobrazami, o cechach nagle egzotycznych. mijają pola kukurydzy, których podwiędłe kolby szczerzą swe złote zęby w złowrogich, pożegnalnych uśmiechach. pociąg trzeszczy i skrzypi jak nigdy żaden pociąg. w przedziałach pachnie środkami do dezynfekcji i brudem wszystkich metalowych elementów kolejowej konstrukcji. przez otwarte okna wdziera się świst powietrza zagłuszając rozmowy i wpuszczając do środka spotęgowany przez wyszczerbione tory huk i zgrzyt ciężkiej i tłustej maszynierii. Halina jedzie zwyczajnym przedziałem drugiej klasy, znanym od dziecka wszystkim pasażerom i kojarzącym się z ekscytacją wyjazdów na wczasy, nudnymi podróżami służbowymi czy rutyną codziennych wyjazdów do pracy. zagrożenie falą masowego sentymentalizmu jest odczuwalne w każdym rytmie wystukiwanego przez koła taktu. przejeżdżając przez lasy wciąż zielone, pomimo opalizującego słońca, Halina wyobraża sobie wszystkie te gazety i książki, których już nie przeczyta. jest jej smutno, ale to jednak ten przyjemny, narcystyczny smutek, pochodny nostalgii, nakłaniający

do łaskoczącego podskórnie żalu nad sobą, nad wszystkimi więzami łączącymi ją z konkretną przestrzenią geograficzną i czasem od których ona się teraz odrywa.

w przedziale śmierdzi dziadem. śmierdzi jak w dziadowni. część pasażerów jest już pijana kolejną dawką alkoholu nie dawszy wyparować i strawić się poprzedniej. większość jest wesoło przygnębiona. staruszek o przezroczystej skórze, delikatnej i pogniecionej jak pergamin charknął i splunął głośno w kąt wagonu, jakby chciał wyrzucić z siebie jakąś niewypowiedzianą skargę. a wszystko to w rytm i kolejowy stukot ciężkich kół. po kilku stacjach do przedziału Haliny dosiada się, a raczej wciska się między nią, a pana w garniturze - który wygląda za drogo jak na sumę, którą wydał na bilet - staruszka z bardzo wyświechtaną książką dla dzieci. w okładkę książka ta ma wbudowane rozpadające się, tekturowe aplikacje, które przybierając kształty zabawek, układają się w słowo KOBZUS. Halina najpierw się jej brzydzi, tej staruszki, która zaczyna opowiadać, że KOBZUS to jej mały chłopiec, który zginął w czasie wojny jako jedyny z rodziny. jest to podejrzane, bo musiałaby albo wcześniej zaczynać, albo nie chodziło o jej potomka. według niej chłopiec był bohaterem już przed wojną. był bohaterem zanim w ogóle słyszano o bohaterach. a książeczkę można wybebeszyć w ten sposób, że po otwarciu, odgina się kolejne zakładki i kolejne, zagłębiając się w niejasną historię i przygody wojenne chłopca. w pewnym momencie, pojawia się jego rysunek, przedstawiający synka od stóp do głów, ubranego w jakiś nieistniejący mundur najbardziej przypominający pruski z pierwszej wojny światowej, ale co tam Halina wie. i staruszka rozbiera go do nagusa, a potem odgina mu tekturową skórę tak, że pojawia się szkielet, a potem narządy z papieru, które też po kolei odginał: płuco jedno i drugie, wątroba, żołądek, zwoje jelit z resztkami przetrawionego jedzenia, aż ukazują się te

robaczki małe i białe, które perwersyjnie trzęsąc zadkami pochłaniają chłopca od końca książki. bo na samym końcu on już jest martwy, a na tylnej okładce jest jego grób. KOBZUS i nic więcej nie ma na nim napisane. a do obsługi robactwa, było dużo wystających z książki zakładek, którymi babcia sprawnie i żywo manewrowała wprawiając je w ruch, a Halinę w obrzydzenie.

Halina nie jest w końcu pewna czy to nie jest jej sen, ale chyba nie, przecież jej się śniły tylko krawężniki. na wszelki wypadek postanawia wziąć torebkę i iść do wagonu restauracyjnego, żeby się rozluźnić i nastroić - jeśli nie pozytywnie, to chociaż wrócić do bezpiecznego stanu zero.

wagon restauracyjny nie mógłby być bardziej nostalgiczny, już niedobrze się robiło od tych ckliwości i sentymentów. z powodu specjalnej okazji, na odginanych stolikach przy oknie położono papierowe serwetki, a do wazoników z kielonków wstawiono świeże goździki, które staniają główki aż po blat. przesadzono z tym. znająca umiar Halina zajmuje stolik z którego ktoś ukradł kwiatka. oczywiście nie jest to wolny stolik, ale powiedzmy, że da się zająć jego skrawek na stojąco.

w wagonie trwa narodowy wiec, burza mózgów, zawierucha pomysłów i rozwiązań na przyszłość, duch jest silny, ale pijany. Halina zamawia setkę i kielbasę z bigosem. nic innego nie ma. siorbie więc wódkę, dogryzając suchą krakowską i słuchając złotych przebojów, a za oknem zielony las iglasty umyka w dal. pociąg zatrzymuje się na wszystkich małych stacjach. wtedy pasażerowie wychylają się z okien machając do ściskających się par i pomagają sobie wnosić bagaże. wszyscy są mili i dobrzy. pewien pizdusiowaty dryblas zawiesza swoje ramię na szyi Haliny, co prawie zbija ją z nóg. facet ma pomalowane na niebiesko powieki i domalowane długie rzęsy. jego dziewczyna jest od niego wyższa i ma o wiele za dużo włosów,

kręconych i rudych. kupują jej następną kolejkę wódki, więc pije, a potem wyplątuje się z jego ramion i idzie do toalety.

czekając w długiej kolejce, Halina zauważa dziwną rzecz. kolejka zmniejsza się, ale ludzie, którzy raz weszli do toalety, już z niej nie wychodzą. pyta kobietę przed nią, o co chodzi, ale ta jakby nic nie zauważa, nie dogadują się. kiedy przychodzi jej kolej, z obawą zagląda do toalety, ale wszystko jest w porządku, tylko nie ma papieru. spogląda w lustro na swoje wypukłe i ciemne podkrążenia pod oczami. skąd ona to ma? nie widziała ich wcześniej. maluje usta krwistą pomadką, na którą w normalnych warunkach nie ma odwagi, ale teraz już jej nie zależy, jest upita, objedzona obiadem. z blaszanego odpływu umywalki wyrastają kruche, jasnozielone roślinki. ani chybi – chwasty.

Halina zastanawia się co się stanie z tym i całą resztą pociągów. wyobraża je sobie pozostawione przy granicy, w zajezdniach czy gdzie tam one nocują, stopniowo blaknące i przyrdzewiające do torów przez zmienne koleje pór roku. zobaczyła wdzierające się do środka przez podwozie bujne zielsko, które pod przewodnictwem łopianu i jego pokroju okazów, wspartych przez perz i dziki rumianek, zajmuje wszystkie przedziały, siedzenia, rozplenia się na korytarzach, aż do kabiny maszynisty, oplata ciasno nastawnik jazdy, blokując możliwość dalszej podróży, gwarantując sobie tym samym stałą miejscówkę w lokalu, na który w innych okolicznościach nie miałyby szans. nie obejdzie się jednak bez wojen. bo oto przez otwarte drzwi i okna wybierają się na rekonesans sarny i jelenie. posilając się łopianem i jego towarzyszami nie zwracają uwagi na intruzów w postaci zajęcy i mniejszych gryzoni toczących swoje norki w miękkich fotelach z logo kolei państwowych. powstaną wewnątrz-siedzeniowe kondygnacje nerek i jam, spowite gęstą siatką korytarzy i tajnych przejść wygryzionych w poźółklej gąbce kolejowej

kanapy.

Halina widzi wnet, że za ubikacją wcale nie kończy się toaleta, że za nią jest gruba czerwona kurtyna, która się porusza i powiewa, bo okno jest uchylone. zagląda tam i jest to przejście do dalszych przedziałów, chyba pierwszej klasy, bo na podłogach leży puszysty brudem dywan, a w korytarzu ustawiono scenę, więc toaleta była właściwie kulisami. Halina nie wie jak to pomieścili w tym wąskim przejściu. z okazji specjalnych krajowych wydarzeń oraz ostatniego kursu tego pociągu, na jego deskach można obejrzeć balet. dekoracje i łoże są bardzo barokowe jak na kolejowe warunki, pompatyczne, jest w nich wszystko do tego stopnia, że Halina nic konkretnego nie może dostrzec.

na scenie występuje ten chłopak, który wcześniej obejmował ją w wagonie restauracyjnym. nigdzie nie ma jego dziewczyny, więc po pierwszej części występu chłopak schodzi ze sceny do Haliny i zaciąga ją za kulisy w nieużywaną akurat w tym przedstawieniu scenografię, która jest zimową scenerią lasu. jest tam dużo brązowych badyli, śniegu i chaszczy. siadają nad rwącym potoczkiem, który akurat działa i on zaleca się do niej dość mocno, aż w końcu mu wyznaje, że ona jest tylko w podróży i że wcale nie tańczy w balecie. to mu nie przeszkadza i po intensywnych pieszczotach pokazuje jej swoje przyrodzenie, które wygląda jak teatralny rekwizyt.

po uczynieniu sobie zadość, chłopak zostaje za kulisami ćwicząc dalej ostatnią rolę swego życia, a ona wraca na widownię, bo nieszczęśliwym trafem przypomina sobie o Henryku, co jest dla niej bardzo męczące i wyrzuty sumienia mają jej nie opuścić do końca seansu. widownia jest teraz trochę podobna do stoku narciarskiego w porze zimowej, tylko że z siedzeniami zamiast narciarzy.

potem następują wypadki nie do przytoczenia, dość rzec, że

nieszczęśliwe. wiele osób zostaje na różne sposoby poszkodowanych. można by pomyśleć, że pociąg się wykoleił, ale to raczej jest bardziej pasażerskie wykolejenie, awantura, pijacka bijatyka. Halina wychodzi do foyer i tam jest lista artystów i okazuje się, że jej przelotny kochanek nazywa się tak a tak i śpiewa partię Ćwirków. nie wie co to znaczy, ale jednak była to opera, a nie balet. za drzwiami toalety, z której w końcu wychodzi we wtórce intensywnego pukania i pijackich pogroźek zgromadzonych pod nią podróżnych, czekają na nią jej kochanek, Henryk i ochroniarz Ćwirka, który jednak nie zginął podczas tamtych wypadków, chociaż widziała jak przerabiali jego mózg na kukurydzę w puszcze. Ćwerek mówi, że można żyć bez mózgu. nie wiedziała.

skoczyła jeszcze do siostry po tabletkę wczesnoporonną i już mieli iść we trójkę na piwo, kiedy Halinie przypomina się nagle, że jest przecież w pociągu i wystraszyła się, że mogła przypadkiem przegapić swoją stację. wtedy orientuje się, że jest właściwie w lesie, bo las wdarł się na teren wagonów, oknami napchał do środka świerkowych gałęzi, obfitujących w lepkie szyszki, powtykał do przedziałów i w korytarze konfetti zielonego igliwia. trudno jest się przedzierać, żeby odnaleźć swoje miejsce. igielki orają jej lico, gdy tak idzie przez wagony z umazaną szminką buzią i spódniczką na lewą stronę. z zepsutych głośników dobiega hałas, który jest zmutowaną wersją „Wiem, że nie wrócisz”, która przechodził we „Wspomnienie”, przechodzące w czkający głos konduktora, informujący podróżnych, że zbliżają się do stacji granicznej, a zarazem końcowej, głos życzący szczęścia u początków tej kolejnej podróży.

ludzie robią sobie ostatnie zdjęcia, wspominają stare miłości i pierwsze pocałunki, rzeczy których nigdy by sobie nie przypomnieli, gdyby nie ostateczne okoliczności. Halina ogłuchła przez okropny gwizd i pisk

hamującego pociągu. rzuciło nią w tył, upadła na plecy, na brzuch jakiegoś innego pasażera. chaos, kotłowanina, poszukiwania bagażu, syk i pociąg się w końcu zatrzymał.

przed Lodzią zatrzymuje się czarne BMW. oho. na masce szczerzy się wymalowany aerografem Joker, trochę przykurzony. coś jej się zdaje, że facet nie będzie robił numerów ze względu na okoliczności i ogólnonarodową sytuację. na kryzys. czarne BMW cofa się z rykiem i omal nie przejeżdża Łodzi po palcach. facet otwiera drzwi, Łodzianka woli do tyłu, ale nie ma tylnych drzwi, więc facet pochyla przednie siedzenie i wpuszcza ją w głąb auta.

- bo tyle bagaży – mamrocze Łodzianka, wrzucając na tylne siedzenie torbę podróżną, trochę zażenowana swoją ostrożnością i niemą podejrzliwością rzuconą już na wstępie. zapuszcza się wraz z plecakiem pomiędzy puste butelki, puszki po spreju, papiery, ulotki, pomięte papierki po kanapkach, stare mandaty i podarte trampki. w samochodzie pachnie taksówką, pomimo syfu, pachnie miękkim, omdlewającym luksusem cicho sunącym przez mokre, świecące jezdnie, tak miękko jakby koła były wyłożone dywanem.

- dokąd jedziesz? – facet ścisza muzykę.

- e, tak wiesz, no jeszcze nie wiem. a ty?

- mam rodzinę przesiedloną z powrotem za Bug, matka już tam siedzi, więc na razie tam, a potem się zobaczy. nie wieje ci z tyłu? i powiedz jak będzie za głośno.

zanim udaje jej się odpowiedzieć, że skądże, kurtuazja zamiera jej w gardle, bo oto ogromna fala hałasu, huk wydobywający się z tylnych głośników sypie się na Łodziankę, płącze się w pasach, nie może się zapiąć ani

odpiąć, hałas wczepia jej się we włosy. wyciąga spod tyłka atlas z czwartej klasy podstawówki, ten sam, z którego wcześniej sama wycinała obrazki. ale tu jako mapa samochodowa ma być. wszystko na nic. pasy nie chcą się zapiąć, granice od dawna inaczej narysowane, drżące od szybkiej jazdy ręce nie mogą trafić w zapięcie. Lodzia czuje nadchodzący ból zakleszczający się na jej głowie lodowatymi podmuchami.

wjeżdżają ostro w zakręt, ale ostro, robią 350 stopni na pełnym prawie gazie. skąd on ma pewność, że nikomu się nie pomyliła droga i że ktoś nie wyjedzie im pod prąd, pomimo jednokierunkowej jednopasmówki? czy przepisy jeszcze funkcjonują? facet zmienia płytę. ścieżka z Natural Born Killers. na full. Lodzia już widzi to jak na filmie, ich podróż. pograża się w wielce absorbujących wizjach wypadku drogowego, w którym bierze pierwszoplanowy udział. oto brakuje skali na prędkościomierzu, pęka szybka, wskazówka trafia kierowcę w oko, a że akurat zaczyna się las, więc spektakularnie się rozpiędalają o drzewo, dokładnie na wyliczance Mallory. wszystko wybucha, pożar, sztuczne ognie, smród benzyny i palonych włosów. tylko radio oczywiście gra dalej, rytmizując odgłosy nocy i świetlicze płąsy dookoła gasnącego i stygnącego wraku auta. konstelacje świecących brzusków opisują na tle rozkraczonego podwozia szlaczki i wzorki rodem z zeszytu pierwszoklasisty, odtwarzając trajektorię ostatniego, ryczącego slalomu, którego echo wciąż pobrzmiwa w leśnej głuszy i dodaje radiu ciekawy efekt muzycznego podkładu. potem echo. echo echa. i uśmiechnięty Joker.

„jeśli będę umierać, to chociaż chcę to widzieć”. Lodzia otwiera szeroko oczy, które zaraz wskutek przeciągu zamyka, ale udaje jej się jeszcze zauważyć ruch ust, czyli że facet cały czas coś do niej gada, ale słowa

zamiast trafiać do jej ośrodków słuchowych, wypadają zaraz wraz z przeciągiem za rozdziawione okna. włosy boleśnie smagają ją po twarzy.

- za głośno, nic nie słyszę.

- ok – obniża o pół decybela – coś tam, coś tam mamrocze. po chwili z gruzowiska hałasu i skrzeku wykwitają pojedyncze słowa, wiotkie i kruche – mam chyba kompleks doznań. inni czują lepiej więcej. fajniej. bardziej. orgazmów, narkotyków. może to jest oszustwo. o którym tylko ja nie wiem. moje ciało jest jakieś zablokowane, to samo moja głowa...

oho. Lodzia chyba przegapiła meritum. coś trzeba powiedzieć. respondować jakkolwiek. ale rozmowa się nie klei. za to balon z gumy do żucia przykleja się jej do włosów, będzie chyba musiała zgolić tu kawałek.

widok gasnących wsi i miasteczek jest pociągający, więc zatrzymują się w co lepszych miejscówkach w celach turystycznych, albo żeby trochę popłakać. w większości miasta są już prawie wyludnione albo zupełnie opuszczone.

w miejscowości N. spotykają grupkę turystów last minute, którzy tak jak oni trochę nie wiedzą co z sobą zrobić, owlekają wyjazd, wypełniając pustkę sentymentalno-patriotycznymi deklaracjami. miasteczko N. jest w ogóle ewakuacyjnie opieszale. niedziela, rodziny z dziećmi jedzą obiady na mieście, powoli trawią, młodzież się nudzi ostatnią nudą, starcy spacerują. wszyscy jedzą lody. to jest fenomen N. lody. na rynku są trzy lodziarnie. wszystkie oferują lody w trzech smakach: kawowe, śmietankowe i truskawkowe. kolory obligatoryjne lodowe. nie ma na rynku człowieka, który nie trzymałby w dłoni

wypełnionego po brzegi wafla. widać zbywa na towarze, co objawia się szczodrością lodziarzy.

- zrobmy zakład - mówi Lodzia. siedzą na ławce i obstawiają, że wszyscy, którzy wyjdą z za rogu będą jeść lody. jedzą. na ławce obok nich siedzi odlana w brązie panna z ciężkim i nieapetycznym lodem. to musi mieć jakiś związek z historią miasta, może to tu wynaleziono lody, Lodzia musi spróbować. wybiera każdego smaku po trochu. każą jej wybrać wafel. wafel? w okienku stoją atrapy, makiety z kruchego opłatka w różnych kształtach i wariantach. ich misterna architektura konsternuje Lodzię, nie może się zdecydować i pyta o radę swojego kierowcę, Janka. on mówi, że też by nie wiedział. bo są wafle klasyczne - rożki, długie i smukłe, oraz walcowate i bardziej przysadziste o formie brodzika. są wafle kubki i wafle spodeczki. jest nawet wafel dla zakochanych z podwójnym otworem na dwie porcje lodu. Lodzia w panice niezdecydowania pokazuje palcem największy na oko wafel, u góry szeroki jak kubek, gwałtownie zwężający się ku dołowi w rożek. gotycka katedra, tylko że do góry nogami. na to Janek dla odmiany wybiera brodzik. solidna, romańska budowa wafla, która da się wypełnić lodem po brzegi, a nie, że do rożka nie dochodzi, bo za wąsko. jedzą.

opłacało się stać w tej długiej kolejce. pomijając aspekt sentymentalny, lody są tu robione z prawdziwej kawy, śmietanki i truskawek, na dowód czego Lodzia wydłubuje sobie z zęba jedną z tych kropeczek, których jest pełno na truskawkach. prezentuje nieufnemu Jankowi, który je loda, tym samym łamiąc swoje postanowienie o nigdy nie sięganiu po nie, które to postanowienie powziął po zeszłorocznej pracy w lodziarni, która trwała tydzień, ale i tak zdążyła odbić swe potężne, gastronomiczne piętno na jego zmysłach. i teraz

na widok gałkownic orzających miękką tkankę lodu, cała paleta wspomnień, smaków i konsystencji powraca; miękka biała śmietanka, sernikowe z morelami przyprószone brązową sadzą palonego kakao czy czekoladowe z krwistą wiśnią, zatwardzone na kamień i bolesne przy nakładaniu. wstyd nakładać mascarpone i trufłowe, bo są miękkie od ciągłego rozmrażania i zamrażania, rozlewają się po kuwecie słodką katastrofą nie dającą się zbić w kulkę. tak samo rozlały się straciatella i sorbet malinowy, mażąc się i rozłażąc spływają z wafla wprost w małe i lepkie dziecięce piąstki. idealne gałki wychodzą z mięty z czekoladą i wanilią. co chwilę trzeba ścierać szmateczką, odciski nosów dziecięcych, kumulujące się na witrynie lodówki dokładnie przed różowo-niebieskim lodem o smaku gumy balonowej. przy tych upałach ozdoby z owoców, pianek i kolorowych posypek spływają kremową falą na dno kuwety, tworząc mdłą breję z konserwantów, sztucznych barwników i cukrowych gwiazdek. Janek do dziś ma małe zgubienie na palcu wskazującym prawej ręki od kompulsywnego ściskania w dłoni gałkownicy do lodów i szczególnego upodobania klientów do lodów czekoladowych.

potem jadą dalej. noc spędzają w aucie koło miejscowości Bubierca. pierwsza noc w aucie to ból podkurczonych nóg, odciśnięte na tydkach getry i krygowanie się czy iść na siku w nocy skoro on śpi. bo otwieranie auta, cały ten hałas, a ona jako pasażer spolegliwy bo na gapę. potem już było ok. abstrakcyjne kompozycje z ciała, nogi na kierownicy i dźwięk klaksonu na znak zapamiętania się w turbulentnym śnie. zimno. nawet w gorącą noc było zimno, trzeba by to sprawdzić w Internecie dlaczego, przecież samochód zamknięty, jest lato, a oni chuchają, ale nie ma Internetu, więc wszystkie wątpliwości kończą się nierozwiane. ale ta pierwsza noc: miasto-wieś widmo. taka przejazdowa, pusto. okiennice pozatraskiwane, jeden zaparkowany

samochód i jedna kobieta paląca przed zamkniętym barem.

Janek zatrzymuje się koło zdezelowanej szopy, w gaju oliwnym albo orzechowym, a może są to po prostu krzaki agrestu, jest za ciemno, żeby zobaczyć i za zimno, żeby wyjść z samochodu i sprawdzić, chyba że najwyżej na siku. w radiu leci *Take a Walk on the Wild Side*, wszystko dookoła wygląda jak Wielki Kanion, chociaż nie byli, nie widzieli, ale tak to podobno wygląda. Lodzia rozważa założenie na noc jedynej pary skarpetek którą ze sobą wzięła, ale w końcu jednak nie, woli zostawić na lepszą okazję. myśli sobie, że jest ciepło, a jak nachuchają przez sen, to jeszcze się pewnie i tak spocą. ale. nie przewiduje ona tego, jak bardzo się myli. w nocy będzie cholernie zimno, ale to cholernie. na niebie pełno gwiazd. jedna spada, prawie im na samochód. myślą zbiorowe życzenie, żeby im nie wybuchł jak na filmach. Janek sprawdza, czy nie porała ramionami Jokera. ale nie. jest ciasno. nie da się rozłożyć siedzeń. śpią w kucki, embrionalnie, na boku, jak w pociągu, z otwartymi ustami. napierają na siebie, Lodzi nieźle idzie w przepychankach, ale w łydki zimno, a najgorzej w stopy; wie, że ma gdzieś skarpetki, zaraz je założy, jak tylko dośni jeszcze kawałek, aż się wyjaśnią przyczyny sponiewierania skarpetek, a oto chyba one – rozwija miękką kulkę, są nawet do pary i zakłada, zakłada je, ale jest dalej zimno, już zaraz je założy, tylko jeszcze musi ustalić jak najlepiej schować stopy w nogawki spodni, jakoś tak je zwinąć, żeby ich nie było czuć. w uda zimno, po raz pierwszy w życiu takie odczucie. w uda zawsze było ciepło.

miasto jest już za to zupełnie wystygłe. żyje tu podobno pięcioro dzieci i dziesięcioro dorosłych, w tym martwym mieście. trudno ich spotkać. opadająca z tynku, pomarańczowa fasada świątyni, obok mały sklepik mięsny, buda obfitująca we wszystkie rodzaje jadalnych zwierząt, hiszpańskie

szynki, ociekające nietężejącym tłuszczem, wszystko stare stare, kruszące się kaszanki i napuchła parmeńska. nie ma komu tego kupować, za mało mieszkańców na taką ilość żarcia. kiedy wracają tam pod wieczór, sklepik jest już cukiernią z kilkoma misternie ulepionymi z lukru ciasteczkami o słodkich, różowych ozdobach. tego miasta nie ma na mapie. na głównej ulicy, która jest od razu rynkiem, chłopcy grają zieloną piłką w skomplikowaną grę. jest jeszcze ta wiedźma sprzed mięsnego, ona chyba tu mieszka najdłużej. potem sinym braskiem, Lodzia usilnie stara się przypomnieć sobie resztę tego snu, bo to był sen jej życia. stara się tak bardzo, że znowu zasypia i kolejny sen zlewa się z poprzednim.

rano szyby zaparowane jak w szklarni, robią Titanica i jadą na kawę do gigantycznego zajazdu dla tirowców. jedyna pocztówka wywieziona z Bubiercy to nie żaden landszaft, ani kartka grająca po otwarciu kawałki, które słyszeli w radiu, tylko samo czyste i złe zimno. nie ma jeszcze takich pocztówek, które oddają fizycznie temperaturę, ale oni taką mają. z Bubiercy. a ostatnie wspomnienie z tego miasta to, para śniadych dziewcząt czule się obejmujących, jedna uwieszona na szyi drugiej, błagalnie, jakby tęsknie. na granicy ich pocałunku skręcają ostro i zniknęły za jakimś sitowiem, czy co to, wysokie i ususzone. więcej nie pamiętają.

po drodze na śniadanie Lodzia opowiada Jankowi o złanych snach i ukołysana trzęsącym się wozem i temperaturą dodatnią zasypia znowu dośniwując wszystko do końca.

zajazd „Senatobia”. te miejsca wciąż działają prężnie. tirami wywozi się wszystko to, co było jakkolwiek cenne, ale nie aż tak, żeby zabierać to samolotem albo opancerzonymi pojazdami. wywożono tak dokumenty o

niepewnym losie, pośledniejszą kulturę, umiarkowanie atrakcyjne księgozbiory i inne ważne rzeczy, o których istnieniu – przeciętni obywatele, tego już w zasadzie byłego państwa, czyli np. Lodzia i Janek – nie mieli pojęcia. byli chyba jedynymi podróżnymi, którzy nie byli w pracy. Lodzia z pieczętką długich rzęs odbitych rozmazanym tuszem pod przekrwionymi oczyma, rozczochrana, z brudem za paznokciami i ogólnym poczuciem obłąkania przez własną cielesność. Janek poważny, mroczny, w wesołych turkusowych okularach słonecznych. przepoceni po zimnej nocy, z tłustymi włosami, w brudnych majtkach i boso na stare trampki czują się społecznie upośledzeni i zajmuje im połowę kawy, żeby sobie przypomnieć, że pojęcie społeczeństwa w formie, według której dość nieporadnie jeszcze tydzień temu funkcjonowali, przestało już właściwie obowiązywać. Lodzia wylutowuje z miejsca, jak osoba, która wraca do domu, zakłada dresy, skórzane laczki i spuszcza swoje ciało ze smyczy i pozwala mu na wszystkie rozwiązania. uśmiecha się teraz z zadowoleniem, puszcza oczka do tirowców, przeczesuje kudły tępym grzebieniem rozczapierzonych palców i z miejsca ma ochotę na piwo. trzeba uzupełnić zapasy zresztą. miejscowość N. splądrowali najlepiej jak potrafili, ale wiemy przecież, że nie wiadomo kiedy będzie następny przystanek, kiedy będzie koniec przystanków.

Lodzia zamawia puszkę piwa i pyka z zawleczki. jak nazwać dźwięk otwierania puszek? to jeden z lepszych dźwięków. trochę jak bańka pękająca zanim skończy być bańką. no i te drobinki piwa, syk. bo to najczęściej jest piwo. postanawiają z Jankiem założyć duet grający na otwieraniu puszek od piwa. ciekawe czy każda puszka brzmi tak samo. może dla niewprawnego ucha. podchodzi pan tirowiec. oczywiście dziwi się co oni tu robią. pyta czy ich gdzieś nie zawieźć. mówią, że nie. wyłudniają lokalizację działających stacji

benzynowych i przedwczorajszą gazetę. mało reklam. prawie wcale. najtrudniej ewakuować wschód kraju. manifestacje, kontestacje, derogacje, deregulacje. deportacje. stolica broni się jeszcze. kalkulacje, apelacje, nadinterpretacje. paszportyzacje. ekshumacje. ostatnia msza z udziałem papieża. emigracje, dywagacje. frustracje. nadinterpretacje. Janek składa gazetę w kostkę. bo po pierwsze chce później doczytać, a po drugie wie ile zgarnie za nią na aukcjach internetowych za parę, paręnaście lat. właśnie, Internet. miejscowa dekomercjalizacja, ekspiracja, cyberpolicja i deformacja. no i jeszcze elitaryzacja, bo tu nigdzie nie ma, Lodzia laptopa sprzedała, żeby mieć cokolwiek, a Janek nigdy nawet go nie miał, bo ma samochód, a resztę w komórce. czerstwe rogaliki na drogę, druga kawa gratis, pani już też nie zależy. wynoszą siatki zimnego piwa, siatki parują. skrapla się zimno na siatkach. czy co tam.

zatrzymują się przed sklepem o szyldzie „Warzywa owoce”. żar leje się z nieba. temperatura taka, że pot krzepnie na czołach i łuszczy się w łupież.

– dzień dobry, to napad. jeśli nikt się nie ruszy, nikomu nic się nie stanie – dookoła leżą puste, drewniane skrzynie, niektóre z resztkami nadpsutych albo zupełnie szezłych tytułowych produktów. Lodzia nonszalancko trąca czubkiem tenisówki suchą i ciepłą lodówkę. na to dwie ostatnie butelki coli chwieją się groźnie, reszta pustych rozpierzcha się skrzekliwie, objijając się we wnętrzu przeszklonej gabloty. na dolnej półce stoi w połowie puste pudełko miękkich i ciepłych Grześków w czekoladzie. jest prawie jak w muzeum.

– nic nie mają – Janek na to.

Lodzia rozłupuje kluczem wążką i miękką cytrynę. otwiera z sykiem ciepłe butelki. wyciska po połowce cytryny do każdej z nich. ulatnia się chmurka gazu.

siadają na sklepowej ladzie i oglądają słowiate naklejki gum Wrigley's spearmint i Hollywood.

- te były dobre.
- No.
- a pamiętasz ...?
- No jasne.

machają nogami w powietrzu. zza zasuniętych żaluzji padają na nich chude paski żółtego światła. jest im ciepło w te paski ciała. za to głowy mają całe świetliste. kurz wiruje. Lodzia zamyka oczy w pełnym słońcu. ogląda swoje powieki od wewnątrz. ładne ma. koloru zamglonej nektarynki. otwiera oczy i już nie jest tak ładnie, a cola jest ciepła i kwaśna.

po południu przejeżdżali obok wesołego miasteczka, które opustoszało chyba jeszcze zanim wszystko inne zaczęło niszczyć i brzydnąć z rozpacz. była tam zardzewiała karuzela o powykręcanych i cienkich ramionach, z odrapanymi resztkami kolorowego lakieru, co skojarzyło się Lodzi z paznokciami dziewczyn ze szkoły. Lodzia koniecznie chciała, żeby się zatrzymali. takie gnijące wesołe miasteczko napawało ją ekscytującą grozą, było bardzo filmowe i ona by chciała zagrać w tym filmie. ale Janek, powiedział, żeby nie była kiczowato-sentymentalna, więc – by przyjemniej się jechało – Lodzia czyta mu teraz na głos historię z gazety, którą znalazła w warzywniaku w skrzynce po jabłkach. historia jest o kobiecie, która została przypadkowo zamknięta w windzie w budynku przeznaczonym do rozbiórki.

jakiś podejrzany ten scenariusz no, ale w końcu czytają brukowca. kobieta głodowała przez jakiś czas, wyjadła wszystkie okruchy z podłogi, przyrządziła sobie jakieś papki z kurzu i ze śliny, aż w końcu zjada sobie kawałek ręki, prawej z rozmachu, co było bez sensu, bo była praworęczna.

historia kończy się prawie dobrze, bo znajdują ją i ratują, czego się nie spodziewała i ona jest teraz kaleką na rencie przez tą rękę i się wstydzi pochodzenia swego kalectwa. myśli, że każdy na ulicy wie, że ona sobie zjadła kawałek ręki. a teraz opisali jej historię w gazecie, więc już nawet Lodzia o tym wie.

za oknem jest szaro. nic nie widać, ale jadą dalej. jest gęsto i duszno od ciemności, już nawet wiatr ledwo wieje. spać się chce. ciekawe czy Jankowi też. to dość płochliwe zagadnienie. choć są pewnie jedynymi kierowcami w promieniu wielu kilometrów, to lepiej żeby nie był śpiący. dla kurażu Lodzia czyta mu przepisy kulinarne i wszystkie horoskopy. może sobie wybrać wyjątkowo, który mu się najbardziej podoba.

przez kilka ostatnich dni samochód był ich domem, pokojem gościnnym, sypialnią, kuchnią i łazienką. chociaż łazienką to jednak nie, po prostu nie mieli łazienki. Lodzia rychło i bardzo ochoczo poznała auto swą obecnością rozsiewając wokół papierki, gumki, ogryzki, włosy i wyżute gumy. teraz wyrzuca długie nogi na przednią szybę. wyciąga z plecaka jednorazową maszynkę do golenia i butelkę wody. chce za granicą mieć gładkie nogi, w granicach w sumie też. polewa je mineralną gazowaną, bo na sucho nie idzie, fruując wtedy po samochodzie białe płatki suchej skóry. jest to śmiertelna akrobatyka przy tej prędkości, autoszermierka. Janek patrzy na to, ale nie wiadomo co myśli. nic nie mówi. Lodzia wychodzi z tego golenia bez szwanku, oprócz krwawego zawijasa na kolanie, ale to tylko dodaje czaru jej długim, chudym nogom, opalonym nierównomiernie przez sierpniowe słońce. przez bąbelki wody mineralnej przylegające do pominiętych włosków –

wygląda jakby porosła glonami, malutkimi w kolorze miodu, każdy bąbelek chce jak najdłużej pojechać samochodem, trzymają się włosy wszystkie mocno. to pomaga Łodzi rozeznąć się, które zostały jeszcze do wygolienia, więc ich los jest niepewny, ale na szczęście Łódź nie jest tak drobiazgową, nie chce jej się, ok. teraz fajka, wychyla się do plecaka, zdusza bąbelki o siedzenie i na co im to było, i tak już ich nie ma, chociaż w sumie są jako mała, mokra plama na wyścielaniu samochodowego fotela. ale oto koniec rozważań filozoficznych, oto stajemy, oto hotel. Janek jednak decyduje się na odpoczynek.

jest to typowy przydrożny zajazd. Hotel de Luxe. z gwiazdką obok nazwy, odsyłaczem do faktycznego standardu, przypisy do błyszczącej reklamy są w środku. neon z pompą świeci na różowo-czerwono, chociaż hotel jest zamknięty raz na zawsze, opuszczony, a oprócz tego zamknięty na wszystkie zamki i spusty. nawyki. nie ma nic za darmo, pomimo tego, że nic już nie ma. Janek coś dłużej przy zamku, mężnie, prężnie, ale w końcu kopie z rozmachu i bum! kurzu trochę, ale nie więcej niż potrzeba, by stworzyć nastrój kiczowatej grozy. wchodzi. i jest hotel. cały pusty. dla nas. Łódź nigdy nie była w hotelu. spała w pensjonatach z rodzicami na wczasach, była pod namiotem, na obozach harcerskich, była w hostelach, ośrodkach i domach turysty, ale w hotelu, żeby było mydło i ręcznik i skrzypiąca pościel, to jeszcze nigdy. podchodzą do recepcji. dzień dobry panu. chcemy zarezerwować pokój dwuosobowy, all inclusive, z barkiem, balkonem, dywanem i żyrandolem. tak, śniadanie do łóżka. oczywiście z łazienką i ręcznikami. firanki muslinowe, tkane przez koniakowskie koronczarki. boy hotelowy, winda z windziarzem, długie i kręte korytarze wyścielane miękkim i

szumiącym pod stopami dywanem. w pokoju kwiaty, lilie. w łazience też, ale fiołki. fiołki tabletek nasennych na nocnym stoliku.

hotel jest naprawdę opuszczony i pusty. ekscytacja tryska z każdego pora skóry. zamiana ról. teraz Janek wchodzi na recepcję, szuka księgi meldunkowej, księgi gości, ale chyba ktoś ją zabrał na pamiątkę. wyciąga więc pomięty komiks, otwiera na przypadkowej stronie i Lodzia składa uroczysty podpis przez czoło Kriss de Valnor. jaki pokój sobie pani życzy? który numer, jaki kolor?

idą na zwiady do restauracyjnej kuchni. bo głodno. zimne i stalowe sprzęty przypominają raczej laboratorium. albo prosektorium. zwisające z okapu łyżki, trzepaczki, noże, szpachelki i mieszadła są jak narzędzia chirurgiczne, jednak światło z korytarza mruga na nich filuternie. jest sterylne i czyste. wręcz czystki. gdzieś musi być spiżarnia albo chociaż jakieś szafki czy pojemniki. no, są. ale puste. w obszernej spiżarni świecącej upiornie, chyba ultrafioletem. na jednej z półek stoi połowa słoika kawy, cukiernica, kilka łyżeczek w odkręconym słoiku, herbata granulowana o smaku malinowym, paczka płatków śniadaniowych spięta klipsem. ale to tyle. to chyba było osobiste wyposażenie kucharza. z zapasów nic nie zostało, choć łatwo zgadnąć co dźwigały poszczególne półki.

na najniższej rozrysowana jest mapa ryżowych wysepek i miasta z pojedynczych makaronowych świderków i piór. wyżej są skupiska okruchów i kolorowych przypraw, pachną intensywnie egzotycznymi krajami i posiłkami. Lodzia palcem odbywa podróż przez aromatyczne pyłki słodkiej i ostrej papryki, zakręca między piekące i duszne kopczyki czarnego i białego pieprzu, by zawirować palcem w barwnym karnawale szafranu, kurkumy i

bazylii. potem strudzony podróżnik ląduje w buzi i dalej opisuje swoje przygody w ogrodzie gęstym od liści laurowych, ziół prowansalskich, orzeźwiającego tymianku i przekwitłego rozmarynu. kotwica zrzucona na język i zawijamy do kolejnego portu, słodkiego od cynamonu, mdlącego zapachu anyżu i odurzających goździków. palce wirują w przytępiającym pyłe mielonej gałki muszkatolowej. po tej zmysłowej rozpuście, powrót na stare śmieci, koper i pietruszka, nutka mięty i melisy, by łagodnie przeżyć tę zmianę klimatu. to jest chyba najlepsza półka. daje Łodzi doraźne wyobrażenie o hotelowym menu. w szafkach w sumie brud, pozostałości zastawy stołowej i garnków, wszystko niepełne komplety. i lodówka. całe osobne pomieszczenie, mały i wciąż zimny pokój, choć już teoretycznie niechłodzący. na podłodze leżą worki mrożonego groszku z marchewką i kafle szpinaku. na hakach wisi mięso, jakieś skrawki, resztki niepoobgryzane. Janek podchodzi, węszy, jeszcze dobre.

po kilku dalszych odkryciach spożywczych, kompletują na stole wcale pokaźne zapasy żywności. Łodzia bierze się za kuchenne eksperymenty. nie lubi i nie umie gotować. obawia się, że pochylając się nad buchającymi parą garnkami w tych kuchennych oparach pościnają jej się białka oczu i że oślepie. pomimo tego, za pomocą resztek oleju, czosnku i cebuli wytwarza bardzo jadalne zapachy, choć nie bardzo jest co smażyć. wrzuca na patelnię z każdej przyprawy szczyptę, puszkę pomidorów krojonych i kawałki tego podejrzanego mięsa, które Janek uszykował do zjedzenia. siedzi teraz na stołku i zaciąga się wonią smażenia. czuje, że czekając na posiłek zęby urosły mu chyba za dwa centymetry.

po zaspokojeniu pierwszej, gastronomicznej potrzeby, czas na odszukanie łazienek, pokoi, salonów, bawialni, tarasów, sal balowych,

restauracji. spacerują po miękkim, zielonym dywanie w krwiste maki. oglądają obrazki wiszące na korytarzach. zdjęcia sławnych aktorów albo widoków jakich na pewno nie widać z okien tego hotelu, ani z żadnych innych okien w tym kraju. zaklepują dla siebie pokoje, toalety, całe piętra. jest pięknie i trochę smutno, ale to jest ten miły smutek.

– i co będziemy teraz robić?

– To co chcemy.

plan jest taki, że zobaczą co będzie dalej. zwiedzanie tego przybytku, tej gigantycznej sypialni pełnej niedośnionych koszmarów i mokrych snów, sytej nocnymi rozmowami i porannymi awanturami, jest rozrywką nostalgiczną i raczej przyjemną. zakwasy porobiły się Łodzi w łydkach już po pierwszym dniu wycieczki. bardzo tu górzycie. schodziście. początkowo uważała, że tych schodów jest obiecująco dużo. podjęła trud zbadania wszystkich wejść i zejść od razu po przybyciu, natychmiast. chciała wszystko widzieć i wiedzieć od razu. nawet na ostatnie piętro poszła, na strych, chociaż okno w dachu żarzyło się ogniście, powietrze na strychu drgało i oblały Łodzię wodospady potu. nie może znieść pocenia się na słońcu, w dodatku wzwyż. mięśnie pracowały same, oderwane od mózgu i teraz ma. krótki oddech, wszystkie wypalone papierosy łaskoczą ją z głębi płuc. oddychać zbyt głośno to wstyd. dusi się, ale idzie dalej. a oto szczyt, nastąpiło czwarte piętro. a tam nic. koniec korytarza. nic. te schody prowadzą po prostu na górę.

pierwszej nocy w hotelu wybierają się o hotelowego baru, sycąc się dziwnością tej samotności spotęgowanej przez widmową obecność wszystkich przeszłych gości, których persona, historie narzucają im się w

windzie, toalecie, na korytarzach. albo może po prostu ich wyobraźnia ciężko pracuje.

– Leokadia Korbas.

– Janek Wieża.

stoją przed hotelem pod rozżarzoną nocnym niebem. oficjalny bruderszaft. taki tam uśmiech, włosy za uszy. zagarnięcie w pięści rękawów bluzy. mazanie stopą po pluszowej wycieraczkę i zaraz z powrotem, by zetrzeć rysunek. Janek W. wydłubuje czubkiem buta niedopałek spomiędzy potrzaskanych płyt chodnikowych podjazdu. cienki, z krwawą plamą szminki.

po głowie przetaczają się Łodzi wyabstrahowane z sytuacji myśli, o których rozmyśla wbrew sobie, wysysając smak z gumy różowej dla dzieci, teraz na dłużej starcza jej smak. ssie się ją aż stwardnieje i boli żuchwa. kiedyś, ledwo się rozruszało buzię, trzy zdania i guma nie wiadomo gdzie, w sensie smak. i były rakotwórcze, teraz są przeciwpróchnicze. niedługo wcale nie będzie.

– szkoda, że opróżnili barek – Łodzia tęsknie spogląda za czymś zajmującym ręce, a nie tylko szczękę. wracają do środka, do restauracji. za barem wypolerowane, szklane półki świecą pustkami. alkohol to nie jest rzecz, którą się marnotrawi, wiadomo. nad barową ladą wiszą wypolerowane kieliszki, mrugające tysiącami oczek odbijającego się od nich, rozłożystego żyrandolu. Janek uśmiecha się z nieudolnie skrywanym triumfem i zaczyna grzebać w plecakach, które oboje wciąż wloką wszędzie z sobą, nawykli do pieczołowitego pilnowania bagażu w państwie złodziejstwa, a także do niestraszenia pozostawionym plecakiem innych ludzi, obawiających się ataków terrorystycznych i fajerwerków supernowej. po wyładowaniu

większości bielizny, paru notesów, garści pisaków i olbrzymiej księgi bez okładki, Janek wyciąga wreszcie dwie setki żółdkowej gorzkiej i z brzękiem zadowolenia kładzie je na stoliku przed Lodzią. ona częstuje go za to papierosem wytrząśniętym z wielkiej tuby po importowanych chipsach i w ten sposób z pewną taką obojętnością, za którą skrywa się jednak nieśmiałość, inaugurują nową znajomość w niecodziennej scenerii pustego hotelowego baru. jako jedyni goście mogą pozwolić sobie na tyle, że aż nie wiedzą od czego zacząć. Lodzia wchodzi za bar w poszukiwaniu popielniczki, znajdując pod ladą starego kaseciaka, przykurzonego i zalepionego piwem. kontur drzwiczek na kasety Janek obrysowuje szczyrykiem, wydlubując ze szczeliny, szarą od brudu, śmierzdzącą maź. w środku kaseta zespołu Off The Lip *newer never*, ze swoim hitem lata '97 *what a lucky day behind us*. łzy wzruszenia szklą się Lodzi w pijanych oczach na widok wygenerowanego w głowie wspomnienia pękniętego pudełka i wymiętej, dobrze znanej okładki kasety. dyskoteka w podstawówce, wolne tańce z chłopcami o zapachu proszku do prania i rozmarzone wieczory nad zadaniem domowym.

Lodzia ckliwie wspomina podstawówkę. najlepiej pamięta murki odsiadywane nieletnią wiosną przez chłopców o zbyt wysokim libido jak na ich szkolną rzeczywistość, z którym nie dawali sobie rady. powietrze dookoła nich drżało i ścinało się w krople potu. lubili Lodzię, bo nie była dziewczynska i ochoczo paliła z nimi fajki, a Lodzia lubiła ich, bo umieli kręcić papierosy.

dla Janka podstawówka to była matka, żal, dokuczanie w szkole, wpychanie głowy do kibla i spuszczenie wody, żeby zmyć wszystko co zobaczył co tam robili, że palili papierosy i pisali na ścianie i kolega z klasy, którego tak tłukli, że po chwili ciało już nie było twarde, kościec całkowicie się skruszył i bijąc go zatapiali ręce w ciepłej miękkiej masie.

pomimo tego wkłada kasetę z powrotem w paszczę magnetofonu, co przyjęte zostaje z piskiem i okrzykiem aprobaty, w dużej mierze ze względu na zażegnanie zagrożenia ciszą. Lodzia wdusza play. z głośników wypływa śpiew, wyłączony w pół słowa nie wiadomo kiedy i przez kogo, w bliżej nieokreślonej przeszłości. teraz kontynuuje wskrzeszony, a Lodzia wraca za bar, ściąga dwa kieliszki do wina i leje po brzegi ciepłej, bursztynowej wódki. na zdrowie. Lodzia się trochę krzywi, Janek nie, ale sporo go to kosztuje. w głowie przewijają się taśmy z zapisem młodzieńczych kolonii i obozów, zgrzebnych dyskotek i wielkich miłości, pierwszych inicjacji, Off the Lip to taki obciach przecież, ale za to błogi. siedzą chwilę, popijając małymi łydkami i uświadamiając sobie w miarę opróżnianej butelki, narastający ogrom smutku, który dopiero teraz ma czas i przestrzeń by zostać porządnie odczuty. początkowa ekscytacja nietypową sytuacją i filmowością znajdowania się w pustym hotelu, z pomocą kolejnych porcji alkoholu, zostaje wyparta przez dziwność obecną przy każdym barowym stoliku, dziwność z której utkane są serwetki przykrywające swą zawiłą konstrukcją z oczek i splotów blaty stołów, samotne krzesła, tęskniące za ocierającymi się ludzkimi tyłkami, wypuszczającymi w ich brudną tapicerkę gazy o różnej gęstości i woni, za plecami przylegającymi do ich oparcie w zapaśniczych uciskach. każde wyobraża sobie jak tu było kiedyś, przed nimi.

 wertują menu, serwując sobie ślinotok, wymieniają się sugestiami na temat aparycji barmana i stroju kelnerek. Janek obstaje przy stylu bawarskim i pienistym kuflu piwa. Lodzia raczej wyobraża sobie amerykańską kelnerczkę w białym kostiumie z dżerseju, w czapce z daszkiem, z notesikiem w rękę i długopisem zatkniętym za uchem albo za kieszonką na piersi. a ta kelnerczka jej przypomina o Soni (co ją śmieszy), która ciągle mówiła jak to pojedzie do Kalifornii i zastanawia się co robi teraz Sonia, dokąd pojechała.

- no i wiesz Janek znam ją ze szkoły dziwna dziewczyna większość myśli że jest agresywna a ona po prostu jest socjopatyczną osobowością rozumiesz nigdy nic nie mówi do nikogo no i wiesz, ledwo w sumie oddycha więc jak już coś powie lub zrobi to jest to tak dziwne, gwałtowne i nie pasujące do jej temperamentu skrajnie biernego że wydaje się być to spotęgowane do rozmiarów agresji choćby nawet mówiła tylko zwykłe cześć szkoda że tak się złożyło że nie zaplanowałyśmy nic wspólnie napiszę do niej jak się gdzieś do neta da podłączyć i to jest właśnie ten główny minus wszystkiego że nie ma Internetu a ty dlaczego tak sam pojechałeś?

- Miałem pojechać z kumplem, ale nie było mowy, ma żonę, potem nabawili się dzieci i innych chorób wenerycznych. Wszystko sobie urządzili, już pół roku temu pojechali, ja się nie wyrobiłem. Szkoda.

- a co za kumpel? - nic ją to nie obchodzi, ale konwenans.

- Taki Bartek, kolega jeszcze z podstawówki. Kiedyś codziennie do niego chodziłem po lekcjach. Miał jamnika, który wyglądał jak kupa i ciągle srał, oni go nie wyprowadzali chyba. Więc zawsze wiedziałem, że jak przyjdę, to on gdzieś tam będzie zesrany, a Bartek nigdy tego nie sprzątał, tylko czekał aż ktoś inny wróci i to robi. Chodziłem do niego codziennie po szkole, on nigdy nie nosił do szkoły kanapek, tylko jadł po powrocie. W kuchni leżały uszykowane kanapki, zawsze z żółtym serem i keczupem. Ten ser taki wyschnięty i spocony był.

- to gdzie byli jego rodzice, że nie było obiadu? - Lodzia jest poalkoholowo poruszona.

- Jego matka nie wiadomo co robiła, ale nigdy nie było jej w domu, a ojciec pracował w fabryce Fiata. I cichaczem wynosił z fabryki, codziennie po kawałku samochodu i składał go u siebie w garażu. W końcu całego Fiata w częściach wyniósł i zmontował i potem tym jeździł przez całe lata. Krajowa

myśl techniczna. Oni bardzo oszczędzali. Bartek też robił z gumek recepturek jakieś silniczki ruchome.

zaciąga się resztką skręta, ledwo sobie palców nie poparzy.

- Dolać ci?

a co tam. najgorsze, co może się wydarzyć, to że się Lodzia porzyga. miejsca jest na to dużo, widowni brak. Janek leje drżącą ręką, ulewa po ściankach, oblepiając kieliszek, wystukuje klejącymi palcami rytm kawałka, ale słabo wychodzi, bo zanim palec odklei się od blatu, to już się spóźnia z taktem.

- a co w ogóle robisz? to ty namalowałeś to na masce?

- no, mam taką firmę, ale nielegalnie. zjebałem ogólnie. poszedłbym na AWF, a nie do plastyka i bym teraz biegał, miał kupę hajsu, suczki, wielką chatę pełną win, a tak to siedzę tu jak ciota, piję kawę, piję wódkę, srać mi się chce, oglądam zaśnieżony telewizor dwunastocalowy...

już jej się nie chce dalej go słuchać. zobaczymy jak nogi dadzą radę, pomyślała. i wstawszy zabrała się do tańca. no no, trochę opornie, za dużo miejsca, za mało ludzi, ale ona nie dba o ten hotel, ani o jedyne widza i zatracą się w chwiejnych okrążeniach dookoła stolików, łechcąc kościstymi palcami o nierównych paznokciach dziergane serwetki, wprawiając w drganie cały stół, zawibrowawszy też krzesłami i podnosząc kurzem niedopatrzona sprzątaczek z barowej wykładziny. wtedy naprawdę powstaje z tego pyłu pryzmat przeszłych wydarzeń. nad stolikami wyrasta tęcza gości, którzy już dawno pojechali dalej, wyspali się, mając koszmary i nocne zmyzy, zjedli dobrą albo złą kolację, ale jednak wszyscy taką samą, tylko mieli różne kubki smakowe, może smakowało palaczom, albo odwrotnie, i Lodzia widzi pary świdrujące w tańcu salę, sięgające po jeszcze jedną lampkę wina, usta sygnujące kieliszki pomadką jakąś tam, na pewno dobrą i czerwoną, skoro

wciąż jest widoczna i niezmywalna z brzegów kieliszka i namawia Janka do tańca, ale on jeszcze nie chce, ale później zechce, zawsze tak jest, mam otwarty rachunek, jeszcze jedną kolejkę proszę. zauważyła przytwierdzoną do baru coś jakby łódź, a może jest to ten wysięgnik od koparki, egzotyczny wystrój wnętrza, i usadawia się w tym czymś jak w łódce. na dnie znajduje poduszki, aha, czyli dobrze robi, o to chodziło projektantom wnętrza, kiwa się w przód i w tył, miksując rękoma dno wyściełane poduszkami, miksując przed sobą powietrze pełne papierosowego smrodu i muzycznego skrzypu. kiwa na Janka, ale ten nie chce przyjść, nie, wzbrania się, nie to nie, ona płynie dalej. sadowi się wygodniej na poduszkach, kołysze w sennej malignie, atmosfera staje się dla niej tak gęsta, że ma wrażenie, że jest w stanie ją formować, jak z gliny wyciosywać kształty, więc młóci rękoma i palcami jak ślepa w obłąkańczym i trochę groteskowym tańcu wykolejeńcu, który tylko ona zna, i nawet gdyby Janek chciał dołączyć, to i tak nie będzie umiał kroków rąk. oho, w końcu i on wsiada w łódeczkę, dorzuca się do wiosłowania, więc Łodzia opowiada mu historię o swoim chłopaku, z którym jednak straciła kontakt przez to wszystko.

ostatnio widziała go jakoś na mieście, nawet podpisał się dla niej na murze, taki był. to znaczy jest. ale teraz też jest ok. spływa sobie teraz łódeczką z powieki. nie musi wiosłować, rzęsy falują, wszystko napędzają, łódeczka płynie. Janek nie wie jak zagać rozmowę, więc pyta:

– wierzysz w boga?

to ją budzi.

– no co ty gadasz? wierzysz w boga? daj spokój. ja mam dowód. moja koleżanka zrobiła test ciążowy kropiąc wodą święconą i wyszło jej, że jest w ciąży, a wcale nie była, to był ten sam mechanizm wtedy.

ale co z tego i kogo to obchodzi, skoro fale porywają nas i chcemy teraz dobić do jakiejś fajnej plaży. Miami Beach albo Redondo, gdzieś daleko, jeżeli już. Lodzia nie rozumie tych rejsów do Kopenhagi i w ogóle tych północnych. to jest takie grzeczne pływanie. nie zdązysz się pochorować i już jesteś na miejscu. ona by chciała na kolanach szorować pokład, romansować z marynarzami, w każdym porcie inny chłopak by na nią czekał, rum i gorzki tytoń. dzisiaj ludzie już nawet nie potrafią pływać, wszystko jest gorsze.

ich cienie się ruszają, chociaż oni nie. bo to lampa się kiwa. jest przeciąg.

Lodzia zaczyna płakać i maże jej się makijaż, rozmywa jej się cała buzia, nikt by jej na ulicy nie rozpoznał, znika w rękawie bluzy. Janek W. pochyla się nad jej twarzą i sapie jej coś do ucha, na co ona się uśmiecha przez łyzy, które wpadają zaraz w wąskie korytka jej pierwszych, płytkich zmarszczek i tymi rynienkami spływają na szyję, za bluzkę. całuje go wilczymi zębami, aż czuje w ustach metaliczny smak krwi, słodkawy i mdły. czyja to krew?

a potem Janek W. opowiada jej na dobranoc historię o tym jak któregoś dnia znika flaga USA z Księżycyca. stacje kosmiczne niczego nie odnotowują i nie wiadomo kto ani jak to zrobił. i Lodzia też się nie dowiaduje, bo zasypia na odezwie prezydenta Stanów, na wezwaniu do mobilizacji sił i umysłów. do dośnienia reszty we własnym zakresie. dobranoc, do jutra.

– chcę iść do domu.

– Jesteś w domu.

jest piękny poranek. Lodzia siedzi na werandzie na składanym stołku, który znalazła w piwnicy. jedna chuda noga zgięta podpira brodę, druga wyciągnięta jak najdalej w stronę horyzontu. jest bosa, w samych majtkach i znoszonej koszulce. włosy ma spięte na czubku głowy w grubą sterczącą kitkę. pojedyncze kosmyki opadają na czoło, przydając jej melancholijnej nonszalancji. przed werandą zieleni się soczysta trawa, o toksycznym, prawie nieprawdziwym kolorze, jak z obrazka na czekoladzie alpejskiej. na werandzie rozpinają hamak i Lodzia biega boso po mokrym ogrodzie zbierając dziką miętę, żeby ją sobie zmiąć i wrzucić do drinka, jakiego na pewno nie serwuje żadna knajpa na świecie.

a wczoraj zrobili sobie z Jankiem W. biwak w jadalni. znieśli z góry materace i powpychali pod kilka zestawionych razem stołów, które nakryli ogromnymi prześcieradłami, co wyglądało jak wielki kwadratowy namiot. to była ich baza. w środku szybko robiło się duszno, ale nie szkodzi. było trochę niebezpiecznie, bo wnieśli tam świeczki i jedzenie i jedli i słuchali magnetofonu i nudnego już Off the Lip, grali w wybrakowane karty, które znaleźli gdzieś tam, już nawet nie pamiętali gdzie. momentami było nieswojo, kiedy na przykład znudziły im się wszystkie gry i zalegała cisza i nie była to jedna z tych fajnych cisz, której nawet nie zauważasz, chyba że dopiero po pół godzinie i cieszysz się jej swobodą. to były te niezręczne, napięte cisze, w których każdy szmer urasta do huku. na przykład gdy Lodzia przelykała ślinę. chciała po cichu, ale dookoła było już i tak za cicho i za intymnie, za wysokie napięcie i wszystko się skupiło na tej ślinie, bo im ciszej chcesz przełknąć

cokolwiek tym gorzej to wychodzi i wszędzie to słyhać, nawet na klatce schodowej. budzisz sąsiadów, wytrząsas z gór lawiny, wypełniasz kwadratowy namiot grzmotem. ta noc w namiocie to był ich pierwszy nieporadny seks, trochę dlatego, że chcieli, a trochę dlatego, że już nic innego nie było do roboty i gdyby nie zaczęli się kochać, bo byłoby to aż dziwne. opowiadali sobie potem historie ze swego życia albo baśnie z północy. a potem bali się wyjść.

dzisiaj chcą się pokąpać w basenie, który zaszyfowały nie kusił ich dotąd, ale zaczęły im się kończyć opcje dobrej zabawy i sposoby na wymyśle mordowanie wolnego czasu.

woda z basenu jest spuszczone; tylko na niebieskim dnie w jego zagłębieniu stoi brudna kałuża deszczówki pełna worków foliowych, puszek i petów. woda z tej breji jest zielonkawo szara i w miarę wysychania utworzyła na brzegach zagłębienia warstwę brudnego osadu. wybierają ten szlam i zaczynają napuszczać świeżej wody. to nalewanie długo trwa. entuzjazm zdążył wyparować, zaczęła się nuda, rozchodzą się spod basenu każde do swojego braku obowiązków. w końcu Lodzia słyszy Janka jak stoi pod oknem jej pokoju i skanduje jej imię jak w czasach dziecięcych, kiedy wołało się mamę do zdarcia gardła, żeby zrzuciła z balkonu piłkę albo skakankę. woda zaczyna się już wylewać z basenu, zalewając porzucone na jego brzegu leżaki i ręczniki. wszystko tapla się w wodzie. zrobiło się błoto, czyli że musiał być brud.

Lodzianka schodzi na dół z czerwonymi ustami, ubrana w strój kąpielowy, czyli tradycyjnie majtki i związany pod biustem t-shirt. już lekko wstawiona pomimo wczesnego popołudnia, wkracza dziarsko do zimnego basenu

zanurzając się po pas i generując fale zalewające dalsze obszary kąpieliska. jej rozgrzana słońcem i alkoholem skóra syczy w zetknięciu z lodowatą wodą. jest to silne doznanie, którego się obawiała, ale nie chciała psuć filmowości zdarzenia stopniowym zanurzaniem się czy ostrożnym ochlapywaniem ciała.

Janek nie chce zdjąć koszulki. już wcześniej zauważyła, że jest wstydlivy, podoba jej się to. lubi takich nieśmiałych, trochę przerażonych swoim i cudzym ciałem chłopców. wcale nie lubi tych, którzy przy byle okazji obnażają klaty i prężą ręce, bo to są tylko takie obiecanki, ona woli tych cichych, oni robią potem wielkie rzeczy w tym swoim zadziwieniu. no i poza tym Janek W. nie bawi się w żaden film, dla niego już i tak wszystko to było za bardzo jak jakiś film, którego nie da się ani wyłączyć ani zrobić pauzy ani chociaż ściszyć. wchodzi do wody powoli, trzymając w ręce butelkę białego wina, które chce przy okazji schłodzić. Lodzia czuje się bosko, po chwili schodzi jej gęsia skórka, makijaż jeszcze się nie rozmazał, wyglądał bosko.

słońce pracuje na pełnych obrotach, upojenie alkoholowe wzmaga się. Janek długo nie wytrzymał, złapał go skurcz, więc wyczołguje się z wody i siada przy upadłym barze, na jednym z wysokich stołków i schnąc w słońcu gapi się na Lodzię, która podoba mu się coraz bardziej i wcale nie dlatego, że wypił. w zasadzie odbiór Lodzi na trzeźwo jest nieznanym dla niego doświadczeniem, bo cały czas są na rauszu, wcale nie trzeźwieją, a jeżeli już to przez przypadek. bar przy którym siedzi jest sezonową, zdezelowaną budą z drewna, z przytroczonymi po bokach plastikowymi palmami. za nim stoją półki na szklanki i alkohole, a obok pusta lodówka reklamująca colę. przy barze, na jednym ze stołków zupełnie z brzegu, siedzi kamienna rzeźba kobiety z jednym ramieniem uniesionym do góry, chyba w geście przeciągania się. z jej połamanych palców ocalał tylko serdeczny, który wskazuje na basen. pod łukiem jej uniesionego ramienia, z głębi pachy,

zwisają strzępy porwanych pajęczyn. wkrótce i Lodzia wyłania się na brzeg zwabiona otwieraną butelką wina. pyk. nie jest całkiem zimne, ale i tak lepsze niż te pite w pokoju, ciepłe i mdłe.

– co tam mruku? – szturcha go wesolutko coraz bardziej kościstym łokciem – patrz jakie masz wakacje. normalnie to byś siedział teraz i co robił? byś nic nie robił, siedział w chacie i ryczał, a tak to masz własny basen, barek i masz lepiej niż we wszystkich teledyskach razem wziętych.

zaciąga się fajką z zaschniętego krzaka. Janek odmrukuje, że on to nie wie, zależy od teledysku i tego rodzaju gubienie się w odpowiedzi, ale Lodzia i tak go nie słucha.

Lodzia jest już w wielkiej bańce mydlanej, Lodzia teraz gra i ponieważ nie zadowala jej publiczność w postaci Janka, sama jest sobie aktorką i widownią.

w ogóle uświadommy sobie kilka faktów na temat Janka W., bo o nim jeszcze nie było. Janek jest wysoki i jeszcze chudszy niż Lodzia. a to dlatego, że oni chudną równomiernie, ale on na starcie był już chudszy, więc teraz jest niezmiennie chudszy. ma tak po matce. jest łysy i ma piękne mięsiste wargi, około trzydziestki. i niebieskie oczy. jest piękny. o boże, jaki on jest piękny. aż za bardzo. większość dziewczyn nie lubi aż tak pięknych chłopaków, bo przy nich same wyglądają tak średnio, a niektóre, zwłaszcza te naprawdę średnie, właśnie na takich lecą i to potem głupio wygląda jak idą razem ulicą albo chodnikiem. nie jest głupią osobą, ale często gada głupoty, co wynika z wysokiego poziomu zawstydzienia i stresu. i z problemami z publicznym wysławianiem się. już dawno zauważył, że im bardziej się stara, tym gorzej to wychodzi, ale nie może zapamiętać tej maksymy i ciągle jednak stara się wypaść dobrze, więc wypada źle. jest poważny i mroczny. wypływa z siebie dokładnie wyważone słowa, w zamierzeniu mało a celnie, taką ma zasadę. ale

to wszystko jest takie nieautentyczne. on ma naprawdę dużo ciekawych rzeczy do powiedzenia, czuje się jak dobrze wyposażone laboratorium, w którym jeszcze nie wykonano żadnego eksperymentu, ale jest różnica pomiędzy tym co ma się do powiedzenia, a tym czy i jak się to powie. i do kogo. on się długo przystosowuje. i długo oswaja się z ludźmi. a jak już się oswoi, to się okazuje, że już mu się nie chce z nimi gadać albo im z nim. ma kilkoro ulubionych ludzi, z którymi rozmawia w wyobraźni, świetnie się rozumieją w tych wizualizacjach. padają zawsze dobre i oszlifowane zdania, celne i ostre, a riposta nadchodzi równie szybko i gładko. wymyślenie takiej scenki trwa długo, ale jak już ma wymyślone wszystko, to potem idzie to dobrze i szybko, ale na żywo, naprawdę to raczej nie.

Janek lubi Łodzię. jest według niego może za bardzo ekspresyjna, ale jak na jedyną dziewczynę w okolicy to i tak jest niezłe. jest ekspansywna, zajęła już trzy pokoje. i jeden w jego skrzydle, coraz bardziej się do niego zbliża. i jest chory jak myśli o rozmowach z nią na temat zmiany lokum. właściwie mógłby już dawno zniknąć, nie musi jej z sobą zabierać, nie podróżują razem i tak. ale jakoś jest jasne w niepisany sposób, że jeżeli się dokądś ruszą to razem. Janek chce wyjechać daleko, do zimnych krajów i zarabiać dużo pieniędzy za mało pracy. ona nie chce nigdzie się ruszać i nie ma ochoty nic robić. wkłada głowę pod sześć ciężkich poduszek i czuje się jak podczas egzekucji. jest przyjemnie dopóki pierwsza poduszka jest chłodna, ale potem zaczyna się powolna dekapitacja i po chwili Łodzianka wyrwa się spod tej góry, naelektryzowane włosy sterczą dziko, a powietrze w zatęchłym pokoju staje się rześkie jak po deszczu.

tej nocy Łodzi śniła się powódź. w mieście stał szklany wieżowiec pełen wody, której wciąż przybywało. podłogi dawno już się zarwały i opadły na dno budynku. w jego wnętrzu pływali biznesmeni, ich biurka, papiery i inne śmieci biurowe, rośliny i mopy. w pewnym momencie wody było już za dużo i rozsadziła cały wieżowiec. wszystko pękło i wylało się na miasto. hektolitry wody wszystko zatopiły. wszyscy utonęli oprócz Łodzi i jednego profesora, który zawsze jej się podobał, a z którym akurat była w jakiejś knajpie dusznej i ciemnej, do której nawet światło nie docierało, więc woda tym bardziej nie. i tylko oni ocaleli.

po południu stroi się, rozczesuje włosy, obgryza paznokcie na krótko, schodzi na dół i dosiada się do Janka oglądającego po raz piętnasty *Ghost Busters* na wideo. ponieważ nawet na nią nie spojrzął, zaczyna rysować sobie palcem obrazki na kolanie, zakładać nogę na nogę, prawą na lewą, lewą na prawą, machać włosami, tak je odrzucać, bo im bardziej się będzie ruszać, tym raczej przyciągnie jego wzrok – jak wykalkulowała – ale nic się nie dzieje, więc myśli sobie, że jest idiotką, przestaje się wiercić i idzie sobie. na dworze jest znowu gorąco, letnie dni są bardzo długie i leniwe, więc chce żeby Janek wyszedł pograć z nią w piłkę albo w paletki albo porobić coś innego albo porobić cokolwiek, bo akurat minęła jej na chwilę depresja i chce to maksymalnie wykorzystać. skoro on nie chce, to idzie sama pobujać się na za małej huśtawce z opony, trochę pomarzyć.

wyobraża sobie mały retusz całej sytuacji. gdyby był hotel tak jak jest, ale pełen ludzi, z którymi można by się bawić i rozmawiać i że byłby to tylko przystanek, wdech, taka przystawka przed głównym daniem, zanim będzie

najlepsze. i potem myśli sobie, że przecież może tak właśnie jest, minus ludzie i minus dobre jedzenie. tym co podoba się Łodzi najbardziej w ich hotelowej wegetacji jest to, że nic nie trzeba, bo wszystko po prostu samo się dzieje. w pewnym sensie Łódź uzależniła się od wyobrażania sobie, że jest jakąś postacią, która utknęła w tym hotelu, bo po pierwsze stać ją na to, bo ma kupę kasy, a po drugie utknęła, bo jest na tyle neurotyczna i bogata, że może sobie pozwalać na dziwne epizody, zawirowania w biografii, mętne jej fragmenty, oraz na wir nicnierobienia, który wciąga. chciałyby jeszcze o czymś pomarzyć, rozwinąć to marzenie, ale trochę brakuje jej pomysłów. huśtawka skrzypi, powiewa jej pierwszymi suchymi liśćmi w twarz i czuć, że lato chyli się ku upadkowi, że chociaż nie ma pojęcia jaka jest dziś data i o dniach tygodnia też niewiele już wie, to jednak czuć, że. że coś tam na pewno. wymyśla sobie w głowie teledysk, w którym występuje. albo film. według Łodzi filmy są najlepsze. ale nie chciałyby być aktorką ani scenarzystką ani reżyserką. chyba musiałyby być filmem. takim, w którym buja się na wietrze, buja się po hotelu, objaja po korytarzach w krótkiej kiecce, śmieje się do lustra i wszyscy to lubią i ją też.

kruszy w dłoni liść, który akurat zatrzymał jej się na włosach i idzie z nim do kuchni po serwetkę żeby sobie skrócić papierosa. jest oniemiała ze znudzenia.

hotel szybko został udomowiony, splądrowany z większości swoich tajemnic. Lodzia wybrała sobie pokój w zachodnim skrzydle, żeby jak najdłużej wylegiwać się na swoim podwójnym łóżku w promieniach coraz słabszego i bledszego, być może nawet październikowego już słońca. na brzegu jej nocnego stolika stacjonuje kolonia rdzennych popielniczek i innych naczyń pełniących tymczasowo tę funkcję; kubki i talerzyki przyprószone kurzem i popiołem, zmięte papierki i patyczki zapalek. obok stoi butelka po wodzie mineralnej karmiąca konającego już i tak nagietka, którego znalazła w dzikim, hotelowym ogrodzie. wszędzie dookoła poniewierają się dramatyczne skrawki ręczników i prześcieradeł powalane krwią z nosa. z braku witamin, zaczęły się Lodzi anemiczne krwotoki, do których była przyzwyczajona. kolekcjonowała skrzepy, które po zaschnięciu tworzyły ładny rysunek na chusteczce, albo składała ją i tak manewrowała krwią, że powstawały wzorki, które multiplikowały się po rozłożeniu chustki. jeden hotelowy pokój zaanektowała całkowicie na swoją krwistą kolekcję. Janek W. brzydził się jej sztuki, a ona jego Jokerem z auta.

przypomniało jej się, że w tym mniej więcej czasie, jakoś chyba jesienią, zwykle przestawiało się zegary na czas zimowy, ale nie miała zegarka, bo telefon komórkowy – kiedy działał sam – sprawniej niż ona obsługiwał rotacje dni, miesięcy i godzin. w portierni wisiał nieobsługiwany kalendarz, który zaciął się na czasie letniego przesilenia i tak chciał trwać, poza tym zdjęcie z czerwca było ładne, przedstawiało dalekie kraje, chyba Azję, albo bardzo egzotyczne zakamarki Ameryki Południowej, zapatrzyl się na ten moment i zostawili kalendarz w spokoju.

Janek zakwaterował się w drugim końcu hotelu, w apartamencie dla VIPów, przepastnym i ciemnym, zaopatrzonym w dwa pokoje, łazienkę z hydromasażem i pusty barek. tam śnił o futrach z suczek, które podarowałby Łodzi na zimę. ich wspólne spędzanie czasu polegało głównie na wzajemnym szukaniu się po hotelowych korytarzach, nawoływaniu się, wspomaganym przez akustykę pustych sal, jadalni i wijących się schodów. ustalili wstępnie, zgodnie, choć nie konsultując się ze sobą, że ruszą dalej jak tylko zrobi się zimno, ciemno i głodno. po wyczerpującej eksploracji hotelowej anatomii, zgromadzili zapasy w ilości i jakości godnej podręcznikowego schronu przeciwatomowego. dużą niespodzianką okazały się dobra, które teoretycznie nie miały prawa pozostać nietkniętymi przez hotelowy personel. tę anomalię złożyli na karb nieporozumienia, które musiało mieć miejsce, a w wyniku którego wszyscy pracownicy hotelowi zgodnie przyjęli za pewnik, że ktoś inny spośród nich dokonał już kasacji zapasów. przede wszystkim znaleźli w piwnicy cztery skrzynki domowego wina, które według karty było co prawda najtańsze, ale i tak dogadzające ich podniebieniom. Egri bikaver stało się codziennym wieczornym rytuałem, podobnie jak oglądanie filmów na DVD, a nawet na wideo, których kartony wraz ze sprzętem znaleźli w hotelowej świetlicy. piwnica, oprócz zapasowych krzesel, pustych kegow po piwie, dwóch trzydziestokilogramowych worków z ziemniakami, kilkoma kartonami świeczek do podgrzewaczy, niezliczonych pudeł z firmową zastawą w napisy „de luxe”, szklankami i kieliszkami, workami serwetek i papieru toaletowego, przeterminowanych mydełek o zapachu lizolu, kosza powoli gnijącej albo wysychającej cebuli i czosnku, pełna była akcesoriów umożliwiających im zabicie nudy i czasu, co było zajęciem karkołomnym, biorąc pod uwagę że czas w dotychczas znanej im postaci był w stanie agonalnym.

potrafili określić rok, a nawet miesiąc, jeszcze miesiąc wiedzieli który jest (wrzesień?), ale jaki jest dzień tygodnia albo godzina – było to dla nich obojętną niewiadomą. trochę jak w dzieciństwie albo w wakacje. pozostało tylko brodzenie z dnia w dzień, w coraz gęstszym i szybciej zapadającym zmroku, przedzielanym coraz dłuższymi przerwami w dostawach światła dziennego, a niedługo także elektrycznego (mieli pod dostatkiem świeczek). przyjemnie było nie wiedzieć która jest godzina, ale jeszcze lepiej było budzić się w środku jakiejś pory, którejś godziny, nie wiedząc czy jest noc, czy wciąż jeszcze bieżący dzień, czy może już kolejne mroczne popołudnie. podczas niektórych samotnych poranków, popołudni, wieczorów czy nocy, Lodzia wspominała letnie wyprawy nad rzekę, wmieszanie się w tłum i obserwowanie kogo dopadną psy, widać ich było z daleka, a jednak ludziom nie chciało się wstawać i przesiadać, na kogo wypadnie na tego bęc. policyjne owczarki hasające z ciężącym od szczęścia językiem i zawsze ich łowy były owocne w niepełnoletnią młodzież, albo pełnoletnią, która też spożywa. wspominała zimowe, nadrzeczne niedorzeczne spacerki, a lądowało się tam zawsze przypadkowo i zawsze miało się złe ubrania na sobie, za lekkie, bo od wody wieje. nad ranem było pusto i cicho, a elektryczna godzina uczelni politechniki znajdującej się naprzeciwko sugerowała pory, w które nikt i tak nie wierzył, to te umysły ściśle tak liczyły, my nie rozumieliśmy – nasze zegarki, gdybyśmy je mieli, pokazywałyby inne godziny. wysyłałiśmy list w butelce, w środku wszystkie kary na brak biletu na tramwaj i mandaty, upomnienia i wezwania do zapłaty.

czasem szło się tam samemu, wtedy to było! wszystko łatwo się układało w głowie, wszystkie myśli układały się same, wiedziały która gdzie, żeby powstał pożądaný obrazek; ale w miarę wracania do domu gubiły się niektóre fragmenty, obraz się rozmywał, nie, coś nie grało, znowu nic się nie

zgadzało. nie zdążyło się dojść do domu, żeby zapisać wszystko, narysować plan ewakuacji z niewiadomo czego.

w innych miastach, jeżeli jest rzeka, to stoją przy niej sklepy, kawiarnie, galerie, a tu jest tylko trawa, albo była, ale nie, wciąż jeszcze musi tam być. wzdłuż wody ciągną się mosty, ich podstawy upstrzone wrzutami i tagami. i Lodzia miała w tym swój udział, a co. kamienne schodki prowadzące do wody, co jest podejrzaną propozycją, Lodzia chciałaby poznać tego, który to wymyślił. w czasach absurdalnej spiekoty i miejskich fatamorgan, można zobaczyć kaczkę nurkującą w tym brudnym szlamie, czegoś tam szukając, kuperki na sztorc. niektórzy się kąpią, ci co najwięcej wypili, albo są gorzej wykształceni, albo nietutejsi. i tyle. a na przedwiośniu powódź, drzewa stoją po sękatę kolana w odtajalej wodzie, nie da się tam iść, można popatrzeć z wiaduktu, a to nie to samo. zimą pływają kry. z góry, z mostu wygląda to jak posadzka w jakimś bistro. raz stanęła na takiej krze na chwilę. pomoczyła się po kostki, ale warto było. taka kra ma historię, przedtem była wodą z rzeki, a wcześniej z morza, a jeszcze wcześniej niewiadomo skąd. można by narysować drzewo genealogiczne zimowej kry. jeszcze w międzyczasie mogła być przecież deszczem i parą wodną, duchem jakby.

Lodzianka nie wie, czy wierzy w duchy, ale w wodne duchy na pewno. pełno ich jak gotuje wodę w czajniku. piszcza, żeby je wypuścić. raz na krze siedziała wrona i krakała. kra kra. na białą czarno.

od głównego nurtu odchodzi mała córka rzeki, Cybina. czasem znajduje się ją spacerując, ale zawsze przez przypadek, za dnia nie da się jej zobaczyć. naprawdę Lodzia była nad jej wątlym brzegiem kilka razy, ale tylko w nocy się pokazuje, płytka nastolatka, prowadzi donikąd. Lodzia by sobie poszła nad rzekę, zaciągnęła się powietrzem, może być zawieszona i lepka od spalin. trudno zebrać siły, żeby wywlec się z tego hotelu. przede wszystkim

trzeba by zebrać późnojesienną garderobę, złapać katar, nakremować buzię na tłusto. nie chce jej się. i dokąd jechać? wszędzie to nie tu. wszystko jest nie tak. więc siedzi dalej i wywleka letnie wspomnienia z centrum miasta, wata cukrowa z rynku, grona baloników na hel, kotki, foczki i Batman, zawsze chciała takie, w końcu nie kupiła, hmm. festyn miejski przez całe lato, śpiewający Indianie-fałszywki, kocie łby, stukające pod stopami płaczkliwie ze spiekoty i ukłuć obcasów, gdzie by tu iść, powidoki od fleszy zagranicznych turystów, dokumentujących to dziwne zoo, w równych odstępach wybrzmiewa z ratusza hymn godziny, podlicza rozplywający się, rozmywający się czas, do znudzenia i bez litości, ale i tak patrzymy na mechanicznie maskotkowe pieski, tracimy czas, żal nam pani z padniętymi goździkami, poproszę dwa. dwa? nie do pary, to trzy. ciało jest w nieładzie, lustro gryzie, wszystko zrobi się jutro, wszystko da się przeczekać.

czasem przychodzi do niej Janek, przynosi wino i kolejne świece, tak jakby szedł w gości, a z pustą ręką nie wypada, chociaż przecież wiadomo było, że przyniósł wszystko z kuchni i to dosyć śmieszy Łodzię. oczywiście to nigdy nie starcza, więc muszą wyskakiwać po nocy, albo za dnia na dół, do kuchni, żadnemu się nie chce, Łodzi się nie chce, a Janek się boi, więc w końcu zawsze idą razem. ale bez butów.

no, właściwie zaczęło się robić zimno, pomimo chyba jeszcze końcówki lata. narodowy kataklizm dotknął też klimat, który pozwala sobie na eksperymenty i kpiny z krajowych zgliszczy. oczywiście nie ma takiej ilości kołder, pod którą nie mogliby nie wejść, są książętami na butelce po winie, oboje rzucili w końcu palenie, nic prostszego. zamiast tego wydmuchują mgliste kłęby pary. tylko denerwują ich te wszystkie stare kasety wideo z

nałogowymi palaczami na każdej klatce filmu, z dymem, który ich kłuje przez przejaskrawiony ekran telewizora.

od czasu do czasu któreś z nich, zwłaszcza Janek, rzuca od niechcienia słowo „wyjazd” w różnych odmianach, przez różne przypadki odmienione. powoduje to iskrę złości jeżącą z pomocą zimna włoski na lodzinych przedramionach, iskrę niezdolną jednak do ocieplenia sinych z zimna ścian i wilgotnych od nadmiernego chuchania dywanów. Janek jest bardzo szarmancki i nie mówi Łodzi o możliwych problemach z odpaleniem nieruszanego od tygodni silnika i oczywistych trudnościach z ewentualnym znalezieniem warsztatu samochodowego. Łodzia udaje, że w życiu słyszała tylko o rowerach i wrotkach, a te nie potrzebują serwisu aż tak bardzo, albo wystarczy im do naoliwienia olej słonecznikowy z pierwszego tłoczenia, którego mają jeszcze trochę w kuchni. dla Janka też jest to pewien przymus, obowiązek, któremu raz na kilka dni uważa za sensowne zadośćuczynić, wypluwając pospiesznie słowo „wyjazd”, co kończy się ciągnącą nitką śliny, która nie chce odpaść, drgając kompromitująco na krawędzi ust. dalej Łodzia bierze sprawę we własne usta, strzykając jadem pod siebie i zmieniając szybko soki na jakiś inny smak, na strych na przykład, którego jeszcze do końca nie wybadali.

są to już jednak coraz częściej aktorskie sztuczki, mokre pantomimy, hotel powoli występuje w ich odczuciu z własnych fundamentów, kończy się, zjada w ich oczach sam, zbyt znajomy, oczywisty i przebrzmiały. jasne, że trzeba by jechać dalej ale nie ma dokąd i jak, ani w czym. przyjechali tu w późnoletnich ciuchach, więc teraz chodzą jak mumie okutani fartuchami pokojówek i łóżkowymi narzutami. no i jeszcze jest lenistwo i niemoc. ciepłutki, wbrew temperaturze nawyk trwania w zawieszeniu. myślenie o wyjeździe jest trochę jak perspektywa porannego wstania z łóżka w zimny,

206

skacowany poranek. takich rzeczy się nie robi. wobec takich scen zamyka się oczy i ucieka w sen, się zapomina takie rzeczy. i to też robią, wytrwale, umiejętnie i zgodnie. stawiają pasjanse na kierunek wyjazdu i czas, uprzednio wyabstrahowawszy sobie te pojęcia do tego stopnia, że czują się jak cyrkowi żonglerzy, zabawiający się wzajemnie i wyjadający resztki z kuchennych zapasów, systematycznie szczuplejących, co martwi zwłaszcza Łodzię, która twierdzi, że nie można jeść na czczo, że nawet przed każdym posiłkiem trzeba coś zjeść, a teraz zdarza się, że jedzą właśnie jeden posiłek dziennie o prostym składzie – woda z mąką, podplomyki ziemniaczane przyprawione obficie gorzkim estragonem, gałką muszkatołową i miętą.

Łodzia nie chce wyjeżdżać. była raz za granicą na dłużej i właściwie to nie podobało jej się. ludzie byli zawsze zbyt dobrze ubrani i nigdy wystarczająco uprzejmi. Łodzia nie lubi pytać o nic w obcym języku, ani ogólnie się odzywać, choć potrafi, ale nigdy nie może mieć pewności, że nie wygaduje głupot. może zna nieaktualny język, może ją źle nauczyci, może jej zrobili na złość. w tym obcym kraju zazdrościła mieszkańcom przynależności i poczucia bycia u siebie. zazdrościła im oświetlonych kuchni, do których zmierzali wieczorami, dzieciom zazdrościła matek trzymających je za rękę. „zaopiekuj się mną”, wylewało jej się pewnie wszystkimi otworami ciała. na przykład oferowali jej skrawek pokoju, w którym nie mogła nawet stanąć prosto, bo było to na poddaszu, a kosztowało równowartość jej dwumiesięcznej pracy na ziemi ojczystej. a ona mówiła, że jej się podoba, z wrażenia polykając wszystkie obce zgłoski. no więc zostają do oporu, do wyczerpania zapasów mięsa, energii i tkanki tłuszczowej. a najlepiej do wiosny, choć to mało prawdopodobne, to niemożliwe.

dziś rano obudziło ją poczucie, że się dusi. śniło jej się, że śpi na dole piętrowego łóżka i słucha dźwięków ruszania się osoby nad nią,

spotęgowanych przez trzask desek i brak powietrza. głowa jej pękała od huku obcych języków. francuski, japoński, niemiecki. brzmiało to jak wyszukany hałas, zwłaszcza gdy się nie rozumie ani słowa. obudziła się i mdłości minęły. kula w brzuchu podobna do papierowego klosza lampy wiszącej z sufitu ustąpiła. Lodzia wzięła głęboki wdech, wpuściła do niej powietrze i ta pękała.

lato zdycha. widać to po zmęczonych wieczorach, rześkości w zapadającym zmroku. nie ma już tego rozbełtania, rozleniwienia w zachodach słońca. normalnie teraz zapalano by wcześniej światła, uliczne latarnie, pewnie już za jasna. na wypadek gdyby zmierzch zaatakował prędeż, aby każdy się czuł bezpieczny. ale już nie zapalą. jest po prostu szaro. podstępne zakradanie się cienia. czytasz starą gazetę, a po chwili nie widzisz już druku. dopiero jak zapalisz światło, albo chociaż świeczkę, to widać ten kontrast, widać ile się nie widziało.

czasem wychodzili na spacer, ale nie daleko i nie często, bo zwykle akurat wtedy, gdy obojgu udało się spotkać w jakimś punkcie tego samego czasu i przestrzeni ich hotelowego wszechświata, okazywało się, że za oknem jak zwykle jest bagnista noc, która na pewno ich pochłonie i nie odda, jeśli tylko otworzą choćby okno. więc nie otwierali już. pozostało tylko włóczęgostwo od pokoju do pokoju w niekończącej się penetracji pokoi niczych, a jednak pełnych obecności wszystkich tych ludzi, których nazwiska odczytują czasem na głos z księgi gości, bo jednak znaleźli księgę i to kilka jej tomów. były to przyciężkawe tomiszczą wielokrotnie zalane różnego rodzaju napitkami, dotykane przez tysięczne ręce, noszące na swoich zbutwiałych kartkach przyczynę istnienia tego hotelowego przybytku. goście. ich imiona, nazwiska, adresy, zakrętasy, zawijasy, przekręty i wykręty podpisów, wpisów, wypisów i zapisów. Lodzia tępymi kredkami dorysowała portrety przy

co ciekawszych danych. nie miała temperówki, kolory stawały się cenniejsze z każdą postawioną kreską. noże są tępe.

po ostatnich gościach pokojówki zrobiły sobie wolne i zostawiły w umywalkach gniazdka włosów uwite na odpływie, brudne na żółto i czarno patyczki do uszu pod lustrem, zmięte ręczniki na podłodze. kłaki na mydle pojedyncze i długie. pościel skołtunioną, ubitą na białą puchową pianę. prześcieradła pomarszczone przez układy śpiących ciał, wystygłe płaskorzeźby ruchu. całe poznaczone senną śliną, sperumą, niedośnionymi snami, urwanymi przez turbulentny sen wątkami. tutaj też włosy, wszędzie włosy. pojedyncze, zgubione. mogliby z tego mieć perukę. czasem jakieś pomięte chusteczki z anonimowym ładunkiem, kupki popiołu z zapomnianych na chwilę papierosów, niestrzepniętych na czas do popielniczki naszpikowanej Chesterfieldami. dalsze studia nad kartografią tej sennej krainy, mapy spoczynku, odkrywają abstrakcyjne zapisy łóżkowego menu, plamy po kawie i herbacie, dziecięcych soczkach z marchwią i czekoladzie. w pokoju 105 przepalona żarówka. w jednej dwójce zepsute radio i strzelista architektura kołdry, zdarte z materaca prześcieradło. są też oczywiście włosy. dwa długie, jasnobrązowe. z ciemniejszym odcieniem odrosta u nasady. Lodzia chowa je do notesu, jako pamiątkę z podróży. kręci gałkami zepsutego radia. inne też już ledwo działają, czasem daje się jeszcze złapać sygnał, ale raczej zagraniczne stacje, klimaty wschodnie.

za oknami hotelu rozlewają się rankiem mydliny mlecznej mgły, tworząc na jego tyłach miękkie kożuch pierwszych przymrozków. normalnie o tej porze roku nie byłoby czegoś takiego jak przymrozki (wrzesień na pewno się już skończył, Janek obstaje przy początku października, ale Lodzia czuje już ten dogłębny, dokostny, listopadowy chłód, który w okolicach grudnia przekroczy

granice zimna, zastygnie w martwym i tętym zlodowaceniu i stanie się nieodczuwalny. to nie może być jednak listopad, bo wciąż jeszcze mają prąd).

do późnych godzin porannych jest jeszcze ciemno. czasami zapalają zewnętrzne lampy, rzucające blade światło na fasadę hotelu, co wygląda raczej upiornie w tej mgle. na tyłach, w czymś co mogłoby być ogrodem, gdyby była tam jakakolwiek roślinność, wszystko stopniowo szarzeje, codziennie o jeden odcień w kierunku mazistej i wilgotnej ciemności. przy werandzie wychodzącej z baru na spore poletko trawy i innej chwaściej zieleniny, stoją wiklinowe stoły i krzesła. gdy jeszcze było ciepło, schowali ich nadmiar, który tak samo jak w barze, zaczął ich w końcu przygnębiać. zostawili tylko stół i dwa krzesła, nie spodziewając się gości. teraz stoją w mżawce, zawilgocone, butwiejące i śmierdzące. pomiędzy witkami wikliny załęgły się jakieś małe robaczki. fotele wyglądają jakby ożyły i zapuściły korzenie w mokrą ziemię, a ta jakby odwzajemniła im się, obrastając je bujnie i szczelnie perzem i innym zielskiem. teraz nawet jakby chcieli je schować, uratować przed zimnem i próchnicą, to walka z wiotkimi, ale gęstymi splotami trawy byłaby raczej próżna.

z nudów zajmują się uprawianiem koślawej detektywistyki, kuriozalnych śledztw, zbierając ze skrawków informacji – dowodów wagi średniej i ciężkawej – karykatury postaci hotelowych gości, ich pokątne biografie, szemrane życie prywatne o wielowątkowych odnogach, wijących się zawsze w pewnym punkcie w nierozsupływany kłębek intryg i niedomówień, przeterminowanych znaków zapytania, łamiących się wielokrotnie na mniejsze znaczki, ale o równie alarmującej wadze.

najstarszy wpis z księgi gości datowany jest na 3 października 2009 i z kompilacji tych danych, z konstelacji imion, dat i numerów tworzą własny

kosmos historii, powiązań, zależności i hotelowych tajemnic. z kilku swoich ulubionych nazwisk oraz ze znalezionych w pokojach przedmiotów osobistych, zalegających w komodach grzebieni, poukrywanych zdjęć, spinek, wciśniętych pod materace pornograficznych pisemek, biletów do kina albo na pociąg, leżących na dnie szafy pary czerwonych lakierków ze złamanym obcasem czy numeru telefonu do SS, wciśniętego za obluzowany kafelek w łazience, tworzą telenowelę, której kolejnych odcinków nie mogą się doczekać. weszło im w nawyk zaglądnienie wszędzie, do najdziwniejszych miejsc, takich na których sprzątnięcie nie wpadłyby zastępy pokojówek, zakamarków, których nie dałaby rady osiągnąć ich puszysta miotełka. takich miejsc, w które ludzie kładą rzeczy, by mieć pewność, że nikt ich nie znajdzie, sami o nich później zapominając. dodatkową atrakcją jest to, że przez niesubordynację personelu, pokoje zostały pozostawione w atmosferze świeżej bytności, żywej obecności i nadają pokojowej eksploracji posmak łamania granic przyzwoitości, pewnego rodzaju podglądactwa i naruszania cudzej prywatności.

jak dotąd perłą ich kolekcji jest fiołka tabletek nie wiadomo na co, znaleziona przez Łodzię w pokoju 218. z fiołki ktoś zdrapał naklejkę z nazwą, poza tym bez Internetu i tak nie dowiedzieliby się co to za lek. pewnie nasenny. Łodzia zamierza wypróbować i chowa na potem, kiedy już wszystko będzie nie do zniesienia. Janek znalazł jedną z tych tabletek w pokoju 205. doszli do wniosku, że tabletki te należały NA PEWNO do pani Tekli Garcon, do czego doszli po licznych spekulacjach, statystykach i zbiorze dowodów rzeczowych, częstej bytności tej pani w hotelu i to zawsze w pokoju numer 218. ostatni raz była tu od 20 maja do 3 czerwca. przy kolacji jedzonej nad ranem w świetlicy, Łodzia przedstawia Jankowi swoją kompletną teorię na temat zwyczajów pani Garcon, czyli na przykład zasłaniania wszystkich luster

w pomieszczeniu hotelowym ręcznikiem (za lustrem w pokoju i w łazience znalazła zwisający z gwoździa strzęp białego materiału frotte, zmiętą chusteczkę i skamieniałą gumę do żucia). Janek musiał przyznać, że na stanie faktycznie jest wiele ręczników obsrupanych, a materiał za lustrem znaleźli tylko w pokoju 218. Tekla Garcon lubiła też rozbijać kieliszki (podstawka od kieliszka do szampana za listwą podłogową) i jeść w łóżku rodzynki, suszone śliwki i chyba daktyle (zaskorupiała papka znaleziona pod materacem).

Janek utrzymuje, że w takim razie pani Garcon musiała mieć jakieś sprawy również w pokoju 205, bo po pierwsze tabletki, poza tym Janek znalazł tam co najmniej kilka kieliszków w postaci drobnego, białego pyłu leżącego na dnie prysznicowego brodzika. znalazł też jej zdjęcie w ich ulubionym pokoju 218 pod doniczką z o zgrozo więdnącym kaktusem. Lodzia poddaje w wątpliwość jakiegokolwiek związku pani Tekli ze zdjęciem, za co Janek wyśmiewa ją i choć zdjęcie jest piękne, o wiele za piękne jak na gust Lodzi, rychło staje się jednym z najcenniejszych okazów ich kolekcji.

lubią też Olka Kaletę, chłopca na ich wspólne oko dziesięć, dwanaście lat. znudzony okaz z końca czerwca, z którym od razu znaleźli wspólny język, bo on także utworzył wiele ciekawych historii, a jego rozległa i intensywna bytność na terenie całego hotelu jest imponująca. Olek znaczył swoje wycieczki grupkami albo pojedynczymi figurkami plastikowych żołnierzyków, których musiał mieć pokaźną kolekcję i których chyba nie lubił, skoro je porzrzucał i zostawił. nad ewentualną tragedią lub inną przyczyną jego zachowania trwają już spekulacje. źle odlane, prymitywne armie plastikowych żołnierzyków stacjonujące pod kaloryferem pokoju 112, bojowe szyki pod schodami prowadzącymi do piwnicy, kilkoro dezertersów pałających się pod kuchennym zlewem i w schowku na szczotki, mopy i kubły, świadczy o jego

zażytych relacjach z personelem hotelu, ze sprzątaczkami, kucharzami i recepcjonistami.

w kuchennej spiżarni siermiężni kosynierzy toną w odmętach brudnej mąki, sypiącej się razem z kurzem ze wszystkich schowków, opakowań, skrzynek i pudełek, które nie mogąc wytrzymać ze swoim sekretem, wysypują go żołnierzom pod nogi, oraz dalej, rozprzestrzeniając bury puch na całą posadzkę, czyniąc z każdej sekretnej wycieczki po więcej alkoholu zdarzenie jawne. ta mączna insurekcja jest zgubna dla kosynierów i całej reszty ginących pod miękką pierzyną, trudno jest zorientować się kto jest nasz, a kto wręcz przeciwnie, ilość ofiar jest trudna do oszacowania oraz zidentyfikowania ze względu an równomierne wybielenie, zaawansowany rasizm kuchenny.

piwniczne półki zasobne wcześniej w przetwory i konserwy, weki kiszonych ogórków, marynowane podgrzybki i kurki, szeregi słoików z dżemami i kompotami, cierpią teraz z powodu apokaliptycznego oblężenia plastikowej armii lisowczyków, których figurki bezradne wobec spustoszenia nie przez nie dokonanego, leżą beładnie porozrzucane, twarzączkami bez właściwości w dół, w kurzu i gumkach recepturkach.

na parterze, w jadalni i barze obecne są wszystkie znamiona alogicznego zagięcia czasoprzestrzeni. za szafą grającą stoi luźno obsadzona, ani chybi, husaria nieruchawa i bezbronna, a pod kaloryferem na oko ciężcy kopijnicy rozrzućeni jakby od kopnięcia.

w windzie, pogardziwszy schodami, stacjonują piechurzy. trwają dalsze poszukiwania dezertów. są na strychu. seria leżących żołnierzy Afrika Korps, w ilości sztuk pięć, plackiem zalega z kolei w suszarni, wokół twierdzy zbudowanej z drewnianych skrzyń, uprzednio zawierających libijskie daktyle, a teraz przechowujących wszystko to, co już niepotrzebne, ale co na wszelki

wypadek lepiej jest zostawić. to z nich Lodzia wydłubała zвитki służbowych uniformów połamanych od kompulsywnego krochmalenia, łańcuchy posupłanych z sobą fartuchów, z których zrobiła sobie szlafroki i wieczorowe kreacje à la Duncan. sama już nie wie przed którym lustrem przesiadywać upinając swoje suche włosy koloru koniaku przyczernionego odrostami, które nie zapominają o jednostce czasu. na głowie Lodzi powstają pasma górskie, szczyty koków wzbijają się niemal aż pod framugę, utrudniając wspinaczkę po na pozór łagodnych, ale stromych stopniach służbowych schodów. niestety nikt z gości nie zapomniał szczotki, czy chociaż grzebienia, widelce po paru tygodniach kapitulują. palce Lodzi, niewprawne w tego rodzaju pieszych wycieczkach szybko leniwieją brodząc po ciepłej powierzchni głowy, nieruchomieją przytłoczone bujnością i skomplikowanymi relacjami włosów żywych i martwych, stacjonujących w tropikalnym klimacie Lodziej fryzury. oboje z Jankiem zarastają, zapuszczają się.

Lodzia siedzi w pokoju 205 i gapi się na nocną lampkę. jest brzydka i niczyja. smuci ją to i myśli o ilości wyprodukowanych na świecie przedmiotów, z których większość jest brzydka. ta lampa jest dodatkowo niczyja, jest kupiona dla gości hotelowych, nikt o nią nie dba i nikt jej nie wybrał specjalnie, z namaszczeniem. żal jej przedmiotów, ale trochę się ich boi. też tej ich ilości. lubi naturalną degradację przedmiotów, ich starcze zużycie, siatki pęknięć, rysunki rys i obtłuczenia.

jej ciało jest w nieładzie, nie może ubierać się tak, jak się lubi, bo wszystkie ciuchy zostały w domu i nikt jej nie odwiedza. ok. nikt jej nigdy nie odwiedzał, ale istniała taka potencjalność, może można było sprzedać mieszkanie, ale kupić dom Kroina, może kiedyś by wrócił, o, ale udało się z karami niezapłaconymi za picie, palenie, jeżdżenie, za wszystko. wszystko poszło w niepamięć. rachunek sumienia stamtąd. wychodzi na plus. same cwane posunięcia. minęło sześć godzin chyba, tak według jej obliczeń. na rozmyślaniach. właściwie dlaczego by nie skonstruować zegara słonecznego. dopóki jest słońce. tylko jak? dlaczego nie uważała na lekcjach geografii i fizyki? i skąd by zacząć, od której godziny? od początku? czy kiedy wszystko stanęło? uśmiecha się. szeroko, za szeroko. dobrze, że mają tyle wina. podpija sama w pokoju i siada na ścianach wytapetowanych różami i perełkami z morza, w ich blikach gromadzi się brud – bardziej niż w innych fragmentach, bo jako jedyne są białe. martwe brudem perłowe bliki. staje się Leokadią Biedermeier. łażą oboje po domu. kładą się gdy jest jeszcze ciemno,

budzą się, kiedy jest już ciemno. prawie nie gadają. to nie jest wrogie, raczej są zbyt wycieńczeni wielkością hotelu i ciszą i echem, tylko uśmiechają się do siebie, szaleńczo i lunatycznie oboje świadomi tego, ale nie wiem. może porozumiewawczo chyba. ja się uśmiecham porozumiewawczo. uśmiecha się porozumiewawczo. on – nie wiadomo jak.

Lodzi śni się, że wchodzi do jakiegoś pomieszczenia i tam jest przyroda, roślinność. ale coś jej nie pasuje, bo to chyba jednak nie dzieje się w pomieszczeniu, bo to niemożliwe, żeby tak rosło u kogoś w domu, chyba, że u Mileny. może to jest u Mileny. za ogrodzeniem z drucianej siatki chodzi grupka paw. głównie szare samiczki i samczyk z opiętym ogonem. jeden jest sztuczny, też samczyk. muszą go z Jankiem W. przeciskać przez okno, nie wiadomo dlaczego. to trudne, paw nie chce się zmieścić, trzeba uważać, żeby go nie okaleczyć, chociaż jest sztuczny. za ogrodzeniem z pawiami wystają elementy budowlane, kawałki architektury, więc staje się jasne, że ktoś ich chce oszukać z tą przyrodą, że naprawdę są w jakimś pomieszczeniu.

i wtedy Janek Wieża wchodzi nagle do pokoju głośno rozrywając szczękiem i skowytem zawiasów sny Lodzi na mrowie powidoków, przeczuć i sennych skojarzeń, luźno powiązanych z rzeczywistością.

– znalazłem. i pokazuje jej coś tam, jakiś kolejny odcinek ich ulubionego serialu, pan z siódemki coś kręcił ze sprzętaczką, bo ściereczka pod łóżkiem, bo pasek od spodni w schowku na mopy, bo Olek był synem Tekli. nuda.

Janek ciągle ją budzi jakoś głupio. raz obudziło ją dziwne dudnienie za oknem, coś jakby dźwięk pieczętek na poczcie. zawsze ją zastanawiało czy na poczcie oni naprawdę muszą tak walić tymi pieczętkami czy może to jest

dla nich przyjemne. w dzieciństwie się w to bawiła i jeszcze bawiła się w mięsny. miała taką plastikową kaczkę na kółkach, z którą nie wiadomo co się stało i ona czasem myśli o tej kaczce i bardzo chciałaby ją mieć z powrotem, a bawiąc się w mięsny odkręcała jej kółka i pakowała ją w papier, długopisem pisała cenę, bo tak to kiedyś było w mięsnym, że ta krew barwiła papier i robiły się w nim dziury, a ta jej kaczka była tania.

wygląda przez okno, a to Janek na podwórku rąbiedrewno, które nie wiadomo skąd ma, ale jest to bardzo dobry pomysł i wieczorem robią ognisko.

w wolnych chwilach, czyli relatywnie często, Lodzia zajmuje się swoim zeszytem z wycinkami. zeszytem jest stara książka telefoniczna, którą znalazła w recepcji, a wycinków jest w całym hotelu pod dostatkiem. począwszy od stert gazet popakowanych w paczki przewiązane sznurkiem na strychu, przez gazety w kuchni, używane jako podpałka do pieca po mniejsze ilości i bardziej aktualne numery z bawialni. Lodzia wycina wszystko co jej się podoba, najwięcej zdjęć ładnych dziewczyn z długimi włosami, w wyciągniętych podkoszulkach i samych majtkach. przyklejała je początkowo klejem w sztyfcie, który znalazła w biurze, a potem to już różnie, na przykład odrobiną mąki z wodą, taśmą, którą rozcina na 4 węższe paseczki i ucina tak, że każdy prostokącik ma milimetrowe wymiary, żeby starczyło na dłużej. dodatkowo ozdabia swoją książkę rysunkami i komentarzami lub zapisuje co śmieszniejsze żarty Janka, które w zasadzie wcale nie są żartami, a on wcale nie chce być śmieszny, zresztą niewiele ich już śmieszy, usta im zastygły i stwardniały i pewnie by ich bolało, gdyby w ogóle spróbowali się jeszcze uśmiechnąć.

...

mijali jakiś motel przy głównej drodze wyjazdowej, kiedy Renata zauważyła, że w środku pali się światło. w normalnych warunkach Roman pomyślałby, że znowu oszalała, że ma przerzuty na całe ciało, że rak pożarł jej mózg, ale ponieważ droga była zupełnie pusta i całkowicie ich, pozwolił sobie na zerknięcie w stronę, w którą jego przejeżdżała siostra wskazywała długim spiczastym palcem. „czy ona zawsze musi wszystko wskazywać palcem?“, zdążył jeszcze pomyśleć zanim zobaczył, że rzeczywiście na drugim piętrze hotelu pali się chybotliwe światelko, chyba świeczka. zjechał na pobocze i zaczął się zastanawiać co robić, w czym przeszkadzał mu bełkot Renaty, która poddała się takim samym jak on rozterkom, ale objawiało się to inaczej – czyli w formie jazgotu, pojękiwania i w końcu pochlipywania. chodziło o to czy bezpiecznie jest podjechać do tego hotelu, czy ktoś ich nie zabije po drodze albo na miejscu, a jeżeli nie, to kto tam siedzi w środku, a jeżeli tak, to i tak kto tam siedzi w środku i dlaczego.

Romana kusił sen w normalnym łóżku, wyspanie się po podróży, niepatrzenie na Renatę. nic nie jedli, bo nie bardzo było co i gdzie, byli brudni, śmierdzieli, nie mogli na siebie patrzeć, ale ona się boi, on trochę też. ich los jest niepewny, może nic ich nie czeka, a może czeka jeszcze gorsze niż to co się dzieje teraz, czyli nic, więc zdecydowali się w końcu podejść do drzwi, na początek niezobowiązująco i zapukać kilka razy. jak się można było spodziewać nikt nie otworzył. Roman chwycił za klamkę i sam wszedł do środka. wewnątrz wyglądało i pachniało jak w kościele. i było tak samo zimno. wszędzie gdzie dało się je postawić, stały świeczki do podgrzewaczy,

niektóre już wypalone, niektóre o słabym płomyczku, a inne jarzące się rażno. Renata oczywiście chwyciła go mocno za rękę i ryczała i powlekli się, niezgrabny kokon schodami na górę. Roman zlokalizował świecące się na zewnątrz okna, więc szybko znaleźli pokój spod którego drzwi świeciła żółta wstążka światła. zresztą na korytarzu też co kilka metrów stała świeczka. zapukali. nic. jeszcze raz. mocniej. też nic. więc weszli.

spod sterty kołder wystawała włochata głowa w kolorze brudno blond. Roman chrząknął, coś tam stęknął, że dzień dobry, był zażenowany, a Renata też buczała, pewnie znowu płakała, ale ciszej przez strach. w końcu podszedł i dotknął głowy, na co ta zerwała się i usiadła, bo to była dziewczyna i z zadyszką wypluła, że „ale mnie wystraszyłeś”, po czym zapiszczała cienko i rzuciła się w tył łóżka, a potem dalej pod samo okno.

wyniknęła typowa scena pt. „kim pan jest co pan tu robi gdzie jest Janek”, okraszona coś jakby histerią, a na pewno paniką. potem Lodzia sama się będzie dziwić jak to zdziaczała przez te parę tygodni, żeby od razu bać się ludzi innych niż Janek. oczywiście wszystko się wyjaśniło, kto jest kim i z kim i dlaczego tu i gdzie dalej. Lodzia była zachwycona, bo okazało się, że oni mają benzynę, pełen bak. Roman był zdziwiony jak Janek mógł nie zabrać na zapas kilku butli, Lodzia też się sprzymierzeńczo dziwiła, choć w zasadzie nic ją to nie obchodziło, najważniejszy był sprawny samochód i że zabiorą ją ze sobą dokądkolwiek pojedą. a potem oprowadziła ich po hotelu i wszyscy razem zjedli resztę kurkumy i lepili ostatnie podpłomyki z resztki mąki jaka została, bo nagle okazało się, że już wszystko się skończyło, całe zapasy sypkich produktów, lubczyk ogrodowy i liście laurowe. zostało tylko trochę wina. i w sumie wyszła na jaw prawda, że Roman i Renata uratowali życie Lodzi i Jankowi, bo ci niechybnie zmarliby śmiercią głodową albo śmiercią z lenistwa albo z przepicia albo wszystkie te rzeczy naraz.

Janek w końcu sobie przypomniał skąd kojarzy tego faceta. był to jego sąsiad z parteru. co za dziwaczna sytuacja. nie poznali Janka, bo rzadko bywał w domu, a z jego dziecięcej aparycji, którą ewentualnie mogli pamiętać, już niewiele zostało. ta siostra nigdy nie patrzyła nikomu w oczy, a może po prostu trudno było dostrzec jakiegokolwiek spojrzenie zza tych szkielek jak spodki od kawy. dziwne to wszystko. jej twarz była jakby nieużywana, bez zmarszczek w ogóle. mieli dwa psy, które zimą ubierali w ortalionowe kubraczki zapinane na grzbiecie. były to wredne psy, podejrzliwe i złorzeczące ilekroć się je spotykało. mijane na klatce, na wszelki wypadek próbowały bronić włości swych państwa i ich samych też, a spotkane na ulicy nie szczędziły złego szczeku, zapowiadającego przyszłe porachunki. te psy mieli zresztą ze sobą. przywiązane do latarni ulicznej siedziały cicho, bo po raz pierwszy też się czegoś bały.

wcześniej nie mógł stwierdzić czy facet potrafił w ogóle mówić. przy wymianie dzień dobrych z jego ust, a raczej z gardła, wydobywał się głębinowy gulg o treści niejasnej, choć łatwej w zrozumieniu ze względu na kontekst. z czasem Janek W. zaczął też gulgać w odpowiedzi, bo był bezczelnym i niewychowanym dzieckiem, a to było wygodniejsze w wymowie niż zwykłe dzień dobry. nie lubili wychodzić z domu, oboje. termin ważności otaczającego ich świata systematycznie i szybko się kurczył. matka jeszcze niedawno trochę o nich plotkowała, ale w końcu i jej się znudziło.

przed wyjazdem z hotelu, Lodzia postanowiła zdemolować pokój, trochę ze smutku, a trochę dlatego, żeby nikt już nie mógł go mieć po niej. chciała zacząć od łóżka, żeby zrobić sobie na złość. ale nie tak łatwo jest coś zniszczyć. rzeczy są mocne. łatwiej w tym akcie przemocy wobec nich samemu zrobić sobie krzywdę, złamać mały palec u nogi albo krwawić z

220

palczków. przewróciła łóżko pocąc się obficie, kilka razy kopnęła w lustro, ale nic się nie stało. zmiotła ramieniem pusty wazon ze stolika i wykopała dziurę w obrazie z młodą dziewczyną z pieskiem w ramionach. i popłakała się z żalu i własnego chamstwa, bo przecież ktoś malował ten obraz i bardzo się starał, żeby był ładny, a ona podziurawiła ten wysiłek nadmiarem żalonych hormonów. pisze w takim razie list pożegnalno-powitalny. może ktoś tu się jeszcze kiedyś pojawi, żeby kontynuować ich dzieło, pisze pachnącym długopisem, pisze ciasno, żeby bardziej pachniało.

Janek chciał jej zrobić pamiątkowe zdjęcie na tle hotelu, ale Lodzia nie była chętna, miała tłuste włosy i była pijana. a jak jest pijana, to nie kontroluje mimiki. Roman sugestywnie mruzczał, wyciągając niedźwiedzią łapę w stronę aparatu. chciał im zrobić wspólne zdjęcie. kojarzył tę małą, studentka z jego uczelni. rzadko wydawał jej klucze, bo ona w ogóle rzadko chodziła do szkoły, ale jak już była, to jej nigdy nie przegapił. kiedyś była ruda. pulchniejsza i w ogóle.

Lodzia ziewnęła, wzięła pod ramię Janka i wyszczerzyli się do Romana, który nie odrywał wzroku od Lodzi, wątpliwe, czy w ogóle ujął w kadrze Janka, może najwyżej daszek z jego czapki. za nimi stał hotel, duży, posępny i opuszczony. wyglądał jak horror, bo się już w nim nie nagrzeją, nie wyśpią i nie najedzą. to był koniec i było zimno.

Roman odprowadził Lodzię wzrokiem i naprawdę do samochodu. Renata już czekała w środku, coraz mniejsza, zjadana przez raka i senność. wsiadł Janek, resztki słońca wypalały dziury w hotelowych oknach. odezwał się silnik, który brzmiał prawie jak Roman, bulgotał, bełkotał, wypluł bluzgi czarnych spalin i odjechali w dal.

miasto poddało się ochoczo. zdumione i zachwycone tym, że po raz pierwszy w historii nikt o nie nie walczy, natychmiast popadło w ruinę. ponieważ nikt za nie nie umierał, nie przeprowadzał ofensyw, defensyw, ani krwawych kapitulacji, miasto po chwilowej dezorientacji samo padło na wznak, na płasko i żałośnie. posypało się gruzu, posypało się cegieł i kurzu. zapanowała beztroska szarość.

tata ma zapas papierosów. pokazuje Soni bogate zbiory, ale nie zamierza jej częstować, więc już wiadomo, że trzeba będzie podkradać jak za dawnych czasów.

rozmawiają. jej też nagle się odechciewa wyjeżdżać. kładzie się na kanapie i beztrosko drzemie. bo jednak nic już nie musi, nic już nie trzeba. może sobie dać spokój z chorymi ambicjami i wymaganiami, bo już nic nie da się zrobić i to wcale nie z jej winy. starała się, ale i tak wszystkie decyzje zostały podjęte za nią i za jej plecami. niczego już w życiu nie uda jej się osiągnąć, choćby nawet bardzo, bardzo chciała. jest bezsilna. nic się nie da zrobić.

śni sobie, że siedzi w jakimś bloku na opustoszałym osiedlu. trawa dookoła jest zasuszona, budynki są stare i śmierdzące. w całym mieście nie ma chyba nikogo poza nią i jeszcze dwojgiem ludzi, którzy tylko na potrzeby snu grają jej znajomych, bo nigdy ich nie widziała na jawie. muszą uciekać, bo dookoła bloku grasują strażę. biegną więc nocą tak jakoś w dół, do ciemności jakby. rozdzielają się, dwie osoby i Sonia sama. ci strażnicy łapią ją oczywiście, ale ryczy i tłumaczy, że uciekała, żeby jej nie zobaczyli, bo się

wstydzi. i puszcza ją.

tata mówi, że w lodówce ma lody Cassatte. w telewizji już tylko prószy śnieg. w radiu nadają ostatni utwór, a przed opuszczeniem studia puszcza relację z pobytu Ojca świętego w kraju.

zakładają czapki i rękawiczki, i z tego śniegu, co z telewizji zaczął się wyprószać na podłogę, lepią bałwana, no ale to nie jest zimny śnieg, jest tylko metaliczny taki, słabo się szczepia w większe masy, rzezi przy ugniataniu. niby wyjęty ze swego ekosystemu, a wciąż szumi telewizorem. spoglądają przez okno, a raczej Sonia spogląda. tata uważa, że nic szczególnego się nie dzieje i ona powoli też zaczyna podzielać to zdanie. skoro nie ma nic do oglądania w TV, tata włącza Wigilię '94 na wideo. Sonia dalej spogląda przez okno. słucha muzyki na słuchawkach. gusta muzyczne Soni nie są nazbyt rozbudowane. ma tylko jedną płytę, z której słucha tylko jednej piosenki, którą chciałyby zjeść. albo się z nią przespać i mieć dzieci, najlepiej samczyka i samiczkę, żeby się muzycznie rozmnażali i zrobili więcej takich kawałków. wtedy to słuchanie miałoby może jakiś sens, byłaby dumna i byłaby na youtube, a nie że tylko zasypia w słuchawkach. ta jej jedyna piosenka nazywa się *the past is a grotesque animal*, tak. a płytę dostała od Mileny na urodziny. wysłuchała jej najpierw parę razy, ale jak to bywa z muzyką, którą się pierwszy raz słyszy, stworzyła ona tylko ścianę dźwięku, na tle ściany, o którą Sonia zwykle się opierała leżąc pogrzebana pod kołdrą i gruzami swojej przyszłości przegrywanej każdego dnia po kilka razy. to tak jak z ludźmi. czasem liczy się pierwsze wrażenie i nie lubimy ludzi których nie znamy. dopiero jakąś nieokreśloną ilość czasu później ta ściana dźwięku też zaczęła się na nią sypać, spore kawałki tekstu i muzycznego tynku powpadały jej do uszu i w

ten sposób zorientowała się, że rozpoznaje już jedną piosenkę i że jej się ona podoba. ustawiła sobie zatem loop i raczyła się utworem wizualizując sobie piękne historie wyrastające z enigmatycznego tekstu tego fundamentalnego dla niej kawałka. rychło stał się on jej hymnem, co prawda nie stała przy nim na baczność, ale słuchając go rosła w siłę, salutując mu z rękoma podpierającymi głowę o poduszkę i nucąc fałszywie. ile razy trzeba wysłuchać utworu, żeby sobie zadośćuczynić, zaspokoić się nim? dużo razy.

odbior tej piosenki zmieniał się w miarę słuchania. ostatnio na przykład cały czas czeka aż on zaśpiewa słowo „parhelion”. brzmi tak zwinnie i akuratnie. wcześniej czekała na frazę „i'm telling you theres nothing to it”, ze względów kojących, ale też na lekki dowcip w głosie. już nie może się doczekać następnego odkrycia. obszar jej poszukiwań nie jest wielki, ale bogaty. jakiś czas później jej ciekawość dokonała ekspansji na kolejny kawałek z tego samego albumu. nie był zły. słuchała ich na przemian przez jakieś kilka miesięcy. potem doszedł kolejny, ale to już było za dużo, poczuła, że się rozdrabnia, że czasem jej się mylą. dla niej ten śpiewający siedział w pudełku jej odtwarzacza i był jej niewolnikiem i najbliższym przyjacielem, przewidywalnym, na każde zawołanie, lepszym niż pies. to on ją wyprowadzał na spacer, bo jeżeli już musiała wyjść z domu, to ze słuchawkami w uszach i z tym kawałkiem grzmiącym histerycznie; czuła się mocniejsza, rozszerzało ją coś nieokreślonego, chciała przekroczyć swoje ciało, ale nie chodziło wcale o taniec, tylko o coś, co jest niemożliwe i przez to frustrujące, ale jednocześnie nadawało to bierny pęd jej osobie. wszystko to działo się jednak w środku i niewtajemniczeni nie mieli pojęcia o wojnach i apokalipsach rozgrywających się w jej głowie, nieruchomo opierającej się o brudną szybę tramwaju. z końcem utworu wszystko to się kończyło, nędzny żywot kazał jej ocknąć się w dowolnym miejscu, w jakim się akurat znajdowała, w toalecie

szkolnej, przemykając przed wzrokiem ludzi i pomników po parkowych krzakach, albo w kolejce po gumę do żucia. było to uczucie złe, którego szybko trzeba było się pozbyć, więc Sonia włączała wszystko od początku i wielka iluzja zacierała ręce, znów pochłaniała ją, szczęśliwą, przesuwającą granicę między nią a resztą świata o jeszcze kawałek, o jeszcze te dziesięć minut. była to jej ulubiona po spaniu sztuczka, mistrzowski trik, na który nabierali się wszyscy, a zwłaszcza ona sama.

teraz stoi dalej w oknie i sobie obserwuje zwierzątka domowe, które porzucone luzem biegają po ulicach. tu i ówdzie przebiegają stadka chomików i świnek morskich, po raz pierwszy stając się stworzeniami stadnymi, czego nikt nie odnotowuje, bo nikogo już nie ma. na powierzchni kałuż pływają do góry brzuchem złote rybki i gupiki, które są podskubywane przez nagle padlinożerne kanarki. z ulic i podwórzy dobiega różnej barwy i wysokości kwik wszechgatunkowej rui. psy oddają się nieskrępowanej kopulacji między sobą, oraz z mniejszymi i słabszymi od siebie. trup śle się gęsto, zwłaszcza koci. muchy przeżywają najwyższy w swej musiej historii skok wyżu demograficznego, praktycznie nie nadążają ze składaniem jaj, bo nim się z nich wyklują muchy, już same jaja składają kolejne jaja; na kocich trupach (bo odchodów jakoś nie ma z czego produkować) powstają pączkujące wykwyty, piękne jak drożdże pod mikroskopem. gdyby trochę zaczekano i nie ewakuowano się w takiej panice, w wyniku tych anomalii odkrytoby gatunek muchy syjamskiej. dwa czułki, podwójna ilość wchłanianego gówna, jeden odwłok. za to królestwo ptaków chyli się ku upadkowi. nie mają co jeść. przyzwyczajone do miejskiego śmietnika, łatwej i tuczającej stołówki, odwykły już od kombinowania z pokarmem, od wydlubywania z ziemi glist i innych dżdżownic. ich dzioby widocznie się

skurczyły, stały się mniej chwytne i nieporadne, a wszystko to, cała ta przyspieszona ewolucja, miała miejsce na przestrzeni ostatnich miesięcy.

może ludzie też starzeliby się szybciej albo może wszystko to jest jakąś katastrofą czasoprzestrzenną. jednak prawdziwa zwierzęca apokalipsa dopiero ma nadejść. pod poziomem całego miasta, a zwłaszcza w dwóch jego punktach, pod dwoma ogrodami zoologicznymi kłębią się w poziomnych czeluściach pokolenia szczurów o drzewie genealogicznym niebotycznie rozgałęzionym i bogatym, o koronie zaczynającej powoli kipieć nad poziom miasta: pierwsze szczurze przecieki studzienkami kanalizacyjnymi to alarm, że pod miastem panuje kryzys. podczas gdy korona tego szczurzo-botanicznego nowotworu gubi ze swego szczytu pierwsze szczurze listki, korzeń tkwi gruby i rozgałęziony, wryty głęboko pod powierzchnią miasta, które jako główny żywiciel szczurzej populacji powoli kruszeje. nie da się już z jego dziur i zakamarków wygmerać resztek jedzenia, bo miasto zostało zaatakowane przez własnej produkcji próchnicę. bezszybne okna powiększają się nierównomiernie i chropowato, odsłaniając dźwiska cegieł i ubytki w elewacji. całe domy i kamienice same zjadają się z głodu. samotrawienie okazuje się ciężkostrawne, więc w dziurach po chodnikach zalegają sterty gruzu i kamieni, naturalne miejskie plomby. wszystko jest głodne. to zoo jest główną stołówką dla plagi szczurów, która już niedługo zacznie jadać na mieście.

niektóre z dzikich zwierząt same się wydostały na wolność, niektóre powypuszczali ludzie, Sonia nie widziała ich zbyt wiele szczerze mówiąc, tylko jakieś mały niedaleko centrum. bardziej to wszystko słychać. razem z psimi jękami rozkoszy tworzy się kakofonia na miarę katarynki, której dźwięku nigdy nie słyszała, ale to na pewno to, albo gorzej. wszystko jest głodne i chce zapładniać, albo zostać zapłodnione.

ziemia też. nie padają deszcze, bo zapowiedzi meteorologiczne nie są już przeprowadzane dla tego miasta i w ogóle tego kraju, nie wiadomo jaka jest pogoda, w ogóle nie ma żadnej pogody. funkcjonowanie wszystkich czynników pogodowych, które mogłyby pomóc w prognozowaniu, zostały nieodwołalnie zawieszane w obowiązkach, zasady termodynamiki siadły, rtęć już dawno zastygła w termometrach, nie czuć czy jest zimno czy ciepło. światło słoneczne nie jest w stanie przedrzeć się przez systematycznie gęstniejącą chmurę pyłu, kurzu i brudu wydobywającego się zewsząd. potęgujące ten smog, urywające się co jakiś czas balkony dosypują do gęstej atmosfery suchą ziemię doniczkową i sadzę z ostatniej zimy nie uprzątniętą przez co leniwszych. te klęski balkonów, upadki dachówek i kominów dowodzą, że przynajmniej grawitacja działa bez zarzutu, że jedynym prawem jakie wciąż obowiązuje w tym mieście i w tym kraju jest niepodważalne i nienaruszalne prawo fizyki. później okazuje się do którego z obozów należy to prawo, najpewniej jednak do obu, do obozu za i do przeciw, a raczej w ogóle do wszystkich opcji, jest to haniebne lizodupstwo i konformizm.

na rogu ulicy świeci jeszcze szyld Banku Millennium, więc udało mu się doczekać końca świata, a w niektórych oknach, tam gdzie nie pogasili światła, wciąż jeszcze mruga żarówka, albo się właśnie z sykiem przepala. gazem śmierdzi coraz mniej, bo już odcięli, a my się przyzwyczailiśmy. ciężko i gęsto jest tylko za niektórymi oknami, ale tego nie widać, tylko sobie można wyobrazić, trochę powąchać jeszcze. Sonia patrzy na byłą piekarnię, która się mieściła na rogu ulicy, a papież akurat kłamie w radiu, że to właśnie tam kupował po szkole kremówki. opakowania od różnych produktów spożywczych walające się po ulicach; robią to już od dłuższego czasu i pewnie wszystkie daty ważności wydrukowane na nich są już dawno czasem przeszłym. bo czas też się popsuł, jakoś nie wiadomo kiedy było wczoraj.

wszystko wędnie z braku pogody. nie ma słońca, nie ma deszczu, ani wiatru, ani świeżego powietrza, jest tylko ciężka zawiesina, stara, niezmieniana, niewietrzona, gęsta już i lepka od brudu jak galaretka. owady umierają na ulicach, przysiadają na chwilę na chodnikach, żeby zorientować się w sytuacji, ale zapominają po co przysiadły i ich krótkie życie mija im w dziurze płyty chodnikowej, na niedopałku kiepa, albo na zaschniętej koronce plwociny. na balkonie u taty cmentarzysko, muchy tu przychodzą umierać. umierają z głodu, pszczoły gubią się z braku danych, nic już nie pachnie, ani nie śmierdzi, wszystko ma siwo-szary kolor. później okazuje się, że grają z ojcem w czarno-białym filmie, że nawet przedmioty tracą kolor, że dookoła są szумы i nie ma zapachów ani smaków. ale tak będzie dopiero w czasach, gdy jej ulubionym kawałkiem z jej jedyne albumu będzie ostatni utwór, którego istnienia na razie nawet nie podejrzewa. będzie to konieczność, bo w okresie niekończącej się i stabilnej melancholii i monotonii utwór numer 5 stanie się jej wrogiem. będzie nakłaniał ją do wielkich czynów, do przemyśleń i wyjścia z domu, a wtedy z domu się już nie będzie dało wyjść, bo klatka schodowa będzie ruiną, zostaną chyba uwięzieni, a może nawet już nie będzie tej całej kamienicy.

Sonia wspomina teraz wszystkie te dziewczyny, którymi się zachwycała w poczekalniach u lekarza, na przystankach, na pasach i w tramwajach i chciała nimi być na chwilę i tworzyła w myślach ich biografie i CV i zgadywała ich hobby i wyobrażała je sobie w sytuacjach intymnych i poważnych, w toalecie, i musiała uważać, żeby nie gapić się w nazbyt oczywisty sposób. ma już wyćwiczone mięśnie oczu, mogłaby się siłować na spojrzenie, umie nawet zobaczyć co jest za nią, nie odwracając głowy. i myśli o tym gdzie one teraz są. przegląda swoje notatki i rysunki.

potem jedzą lody, ona zostawia na dnie miski rodzynki, bo nie lubi. małe pomarszczone wypierdki. oblizuje wszystkie palce. patrzy na swój niedawno rozcięty kompasem kciuk, który już się zasklepił, zaskorupił i pokrył przezroczystą błonką suchej, złączającej skóry. przegapiła ten proces, zawsze przegapia. mówi tacie: chodź obetnę ci paznokcie, uczeszę włosy i zniosę cię po schodach. na dół. windą nie, bo już stanęła na dobre między drugim a trzecim piętrem. w środku spał albo nie żył mały piesek jak tu szłam schodami na górę, a to już było kilka dni temu.

ale. tata mówi, że nie. że będziemy słuchać zgrzytu noży o puste talerze.

natchnieni filmem z Wigilii, sadzimy na balkonie jakieś nasiona znalezione w szufladzie kuchennego stołu, w szufladach kuchennych stołów są zawsze najdziwniejsze rzeczy. może wyrośnie z tego drzewko bożonarodzeniowe, może zdąży do świąt, ozdoby będą z papieru toaletowego i obierek po pomarańczach o sztucznym zapachu Visolvitu. a może na skutek powszechnej anomalii, choinka wyrośnie od razu obwieszona bombkami i podduszona złotym łańcuchem.

zamiast przebaczenia wigilijnego będą opłatki z białego papieru ściernego, którego Sonia znalazła pełno w tej samej szufladzie. będą to opłatki pozwalające pozbyć się śladu po spiralach linii papilarnych, a przez to gwarantujące brak dowodów na czyny popełnione wobec bliskich i dalekich.

film z kasety cicho szumi. chyba najciszej ze wszystkiego, a i tak go słyszać. klawisz fast forward nie działa, a my czekamy na ten fragment jak

tata pokazuje do kamery, że dostał pod choinkę Old Spice i ten kadr tak trwa przez może minutę. to mocny fragment, cichy, pełen napięcia, ale dobry na koniec. za siedem minut wyłączą prąd. ale nie. pst. już poszło.

